3–4/2019

Nowa Europa Wschodnia

www.new.org.pl Dwumiesięcznik maj–sierpień 3–4 (65) / 2019 ISSN 1899-5543 Indeks 245534 Cena 19,90 zł (w tym 5% VAT)

Zełeński was zaskoczy

Dmitrij Razumkow

Armenia w pułapce realnej polityki

Strzemżalska | Kubiak | Krzysztan

Małgorzata Rejmer

ALBANIA: KRANIEC KRAŃCÓW

Antoni Radczenko

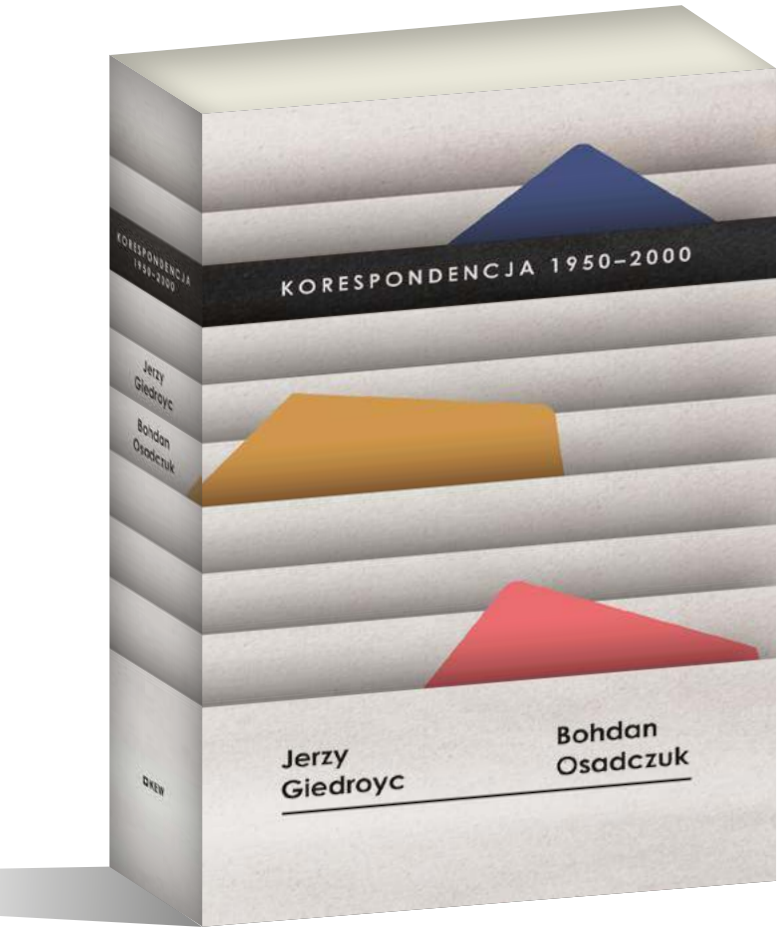
Koniec epoki Dalii Grybauskaitė

Wojciech Górecki

Nazarbajew nadal trzyma karty w ręku

eprasa.pl 53cf282579

REKLAMA



Do kupienia
na stronie
www.kew.org.pl

Oprawa twarda,
liczba stron **938**

54,90 zł ~~84,90 zł~~

KEW

Kolegium Europy Wschodniej
im. Jana Nowaka-Jeziorańskiego
we Wrocławiu

Nowa Europa Wschodnia

New Eastern Europe

KORESPONDENCJA
1950–2000
Jerzy Giedroyc i Bohdan Osadczuk

Ataman i Redaktor.
Pół wieku sprawy polsko-ukraińskiej

Pod redakcją
Bogumiły Berdychowskiej i Marka Żebrowskiego

eprasa.pl 53cf282579

Nowa Europa Wschodnia

eprasa.pl 53cf282579

Sprostowanie. W tekście Jadwigi Rogoży, *Teatr na barykadach*, opublikowanym w numerze 2/2019, został błędnie rozwinięty skrót Instytutu Literackiego im. M. Gorkiego. Zamiast Mikołaja Gorkiego powinien znaleźć się Maksym Gorki. Redakcja przeprasza za błąd autorkę tekstu oraz czytelników.

eprasa.pl 53cf282579



Maria K. Popek

Zachód w ukraińskim zwierciadle

Ostatnio uwaga świata była skierowana na Ukrainę w 2014 roku – teraz ponownie za wschodnią granicą dochodzi do zmian o charakterze historycznym, a w ich centrum znalazł się komik Wołodymyr Zełenski. Doświadczenia politycznego nie ma, a rolę w serialu *Sługa narodu*, w którym wciela się w ukraińskiego prezydenta z przypadku, trudno uznać za odpowiednie przygotowanie do objęcia najwyższego urzędu w państwie. Złośliwi mówią, że Ukraińcy mylą fikcję z rzeczywistością, przyjmują, że Zełenski będzie tak dobrym prezydentem jak grany przez niego Wasyłyj Hołoborod'ko. Nie to jest jednak źródłem popularności komika, który był w stanie wyprzedzić weteranów ukraińskiej sceny politycznej. Wysokie poparcie dla „sługi narodu" jest wyrazem tego, jak bardzo Ukraińcy są zmęczeni oligarchami, korupcją oraz brakiem obiecywanych od Majdanu przeobrażeń. Nie widzą w Zełenskim komika czy Hołoborod'ki, a człowieka spoza kasty politycznej, nieuwikłanego w afery, gotowego coś zmienić. Pytanie, czy na lepsze, czy na gorsze.

Zewsząd słychać paternalistyczne głosy, że Ukraińcy są niepoważni i wybierają na prezydenta błazna w sytuacji największego kryzysu od uzyskania niepodległości. Chyba zapominamy, że w ostatnich wyborach prezydenckich w Polsce ponad 20 procent poparcia zyskał były lider zespołu rockowego Piersi. Czy Zachód jest lepszy? Donald Trump czy Beppe Grillo także pokazują, że Ukraina nigdy nie była tak blisko bieżących nurtów polityki zachodniej. Zełenski dołącza do coraz liczniejszego pochodu populistów maszerującego przez Europę.

Popatrzmy jednak optymistycznie. Wybory nad Dnieprem przypominają nie te w wydaniu rosyjskim, w których na rok przed głosowaniem wiadome są wyniki, bliżej im do modelu zachodniego, gdzie wprawdzie są faworyci, jednak do końca nie można być pewnym, kto zwycięży. Wbrew narracji Petra Poroszenki, Ukraińcy nie stanęli przed wyborem między nim a Władimirem Putinem, a cofnięcie czasu przed 2014 rok wydaje się scenariuszem nierealnym. Nie ma miejsca na Ukrainie dla nowego Wiktora Janukowycza. Prorosyjscy kandydaci okazali się właściwie bez znaczenia, podobnie rozmywa się tradycyjny podział kraju na południowy wschód oraz północny zachód. Niemałe poparcie dla Zełenskiego także w tych obwodach na zachodzie, w których wygrał „Król Czekolady", pokazuje, że komik ma szansę być prezydentem całej Ukrainy.

Krzysztof Popek

eprasa.pl 53cf282579

Spis treści

Rozmowa numeru

Rozmowa z Adolfem Juzwenką **To niełatwe, ale możliwe** 7

Publicystyka

Piotr Andrusieczko **Prezydent z ludu** 22
Mateusz Kubiak **Miękka emancypacja** 28
Aneta Strzemżalska **Karabaska sztama** 37
Bartłomiej Krzysztan **Miesiąc miodowy już się skończył** 45
Rozmowa z Szachinem Hadżijewem **Pokój musi kiedyś nadejść** 52
Anna Żamejć **Hashtag za wolność** 56
Rozmowa z Giorgim Tabagarim **Walczymy o równość i akceptację** 64
Wojciech Górecki **Wywiad z Nazarbajewem** 73
Antoni Radczenko **Duże ambicje i trochę sprzeczności** 81
Rozmowa z Linasem Kojalą **Jednak u nas nie jest źle** 90
Marcin Kaczmarski **Marsz z przeszkodami** 97

Rozmowa

Rozmowa z Małgorzatą Rejmer **Albania: kraniec krańców** 103

Historia

Leszek Szerepka **Kozacy na planecie Kaukaz** 113
Rozmowa z Agatą Maksimowską **Birobidżan – ziemia obiecana** 121
Rozmowa z Grzegorzem Motyką **Ryszard Torzecki: pasja i profesjonalizm** 128

Kultura

Rozmowa z Maksimem Krongauzem
Słowa rapowane, słowa płynące z duszy 137

Reportaż

Maciej Falkowski **Ermenistan** 148

eprasa.pl 53cf282579

Recenzje

Cornelius Ochmann **Wojtyła, czyli prometeizm w Watykanie** 163
O książce Pawła Kowala *Testament Prometeusza. Źródła polityki wschodniej III Rzeczypospolitej*

Piotr Bajor **Energetyczna układanka** 167
O książce Piotra Maciążka *Stawka większa niż gaz. Ukryta wojna o niepodległość Polski*

Maciej Robert **Elementarz czeskości** 170
O książce Jiřiego Grušy *Czechy. Instrukcja obsługi*

Krzysztof Popek **Ostygły kocioł bałkański** 173
O książce Kapki Kassabovej *Granica. Na krawędzi Europy*

Tomasz Filipiak **Birobidżan: odległa ziemia obiecana** 176
O książce Agaty Maksimowskiej *Birobidżan. Ziemia, na której mieliśmy być szczęśliwi*

Wojciech Wojtasiewicz **W sam raz na pierwszy raz** 179
O książce Igora Sokołowskiego *Białoruś dla początkujących*

Sonia Knapczyk **Żelazna miotła** 182
O książce Petera Whitewooda *Czystka Stalina w Armii Czerwonej*

Marcin Gaczkowski **Spotkanie po latach** 184
O książce *Obertyn. Opowieści o życiu miasteczka* (*Обертин,* ויטרעבאָ. *Оповіді про життя містечка*)

Martyna Słowik **Luksusowy pociąg z chaosem na pokładzie** 187
O książce Torbjørna Færøvika *Orient Express. Świat z okien najsłynniejszego pociągu*

Łukasz Grzesiczak **Tribute to Václav Burian** 189
O książce Jana Jeništy i Anny Militz *Budoucím čtenářům starých novin. Výbor polonistických textů Václava Buriana z let 1981–2014*

eprasa.pl 53cf282579

Nowa Europa Wschodnia

Dwumiesięcznik

Wydanie zostało dofinansowane przez
MIASTO WROCŁAW

www.wroclaw.pl

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania. Redakcja ceni sobie swobodę wypowiedzi i różnorodność opinii, dlatego teksty publikowane w „Nowej Europie Wschodniej" nie muszą być zgodne z poglądami Wydawcy ani Redakcji. Rozpowszechnianie materiałów redakcyjnych bez zgody Wydawcy jest zabronione. Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść zamieszczanych materiałów promocyjnych.

REDAKCJA
Andrzej Brzeziecki (redaktor naczelny), Sonia Knapczyk, Małgorzata Nocuń (zastępca redaktora naczelnego), Krzysztof Popek, Sławomir Popowski, Zbigniew Rokita, Wojciech Wojtasiewicz, Kamila Zimnicka (korekta)

WSPÓŁPRACUJĄ
Piotr Andrusieczko, Adam Balcer, Kuba Benedyczak, Jan Brodowski, Kamil Całus, Maciej Falkowski, Wojciech Górecki, Iwona Kaliszewska, Piotr Kępiński, Wojciech Konończuk, Bohdana Kostiuk, Kamil Kłysiński, Tomasz Kułakowski, Grzegorz Nurek, Piotr Oleksy, Piotr Pogorzelski, Witalij Portnikow, Jadwiga Rogoża, Ziemowit Szczerek, Andrzej Szeptycki, Marcin Wojciechowski, Andrzej Zaręba (rysunki)

PRENUMERATA
prenumerata@new.org.pl
Informacja o prenumeracie:
www.new.org.pl

WINIETA I PROJEKT GRAFICZNY
Piotr Grzyb

SKŁAD, ŁAMANIE I OKŁADKA
Małgorzata Chyc | AT Wydawnictwo

ADRES REDAKCJI I WYDAWCY
Kolegium Europy Wschodniej
im. Jana Nowaka-Jeziorańskiego
we Wrocławiu
Zamek Wojnowice,
ul. Zamkowa 2, 55-330 Wojnowice
tel. +48 71 341 71 97
e-mail: office@kew.org.pl
www.kew.org.pl
Prezes Zarządu: Jan Andrzej Dąbrowski

„Nowa Europa Wschodnia"
ul. Szlak 26/12A
30-001 Kraków
redakcja@new.org.pl
www.new.org.pl

ISSN: 1899-5543
ISSN: 2084-3992 (online)
Cena 19,90 zł (w tym 5% VAT)
Nakład 2400 egz.
Druk: Media Studio Reklamy Drukarnia,
Aleja Kołłątaja 73, Będzin 42-500

eprasa.pl 53cf282579

To niełatwe, ale możliwe

Z Adolfem Juzwenką, dyrektorem Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, rozmawiają Wojciech Konończuk i Piotr Kosiewski

NOWA EUROPA WSCHODNIA: Podkreśla Pan często, że nie myśli o Kresach. Dlaczego?

ADOLF JUZWENKO: Ossolineum po wojnie przeniesiono ze Lwowa do Wrocławia. Niemal dwie trzecie ossolińskich zbiorów zatrzymano we Lwowie. Troska o ich bezpieczeństwo i dostępność do nich jest dla Zakładu Narodowego we Wrocławiu sprawą najważniejszą. A Kresy to historia, i to odległa historia.

Rzeczpospolita przedrozbiorowa była państwem wielonarodowym. Od unii z Litwą, do której doszło w końcu XIV wieku, w jej granicach znalazły się ziemie Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa Litewskiego; Korona i Litwa.

Litwa przyjęła chrzest. Królem polskim został Władysław Jagiełło; pierwszy Jagiellon na polskim tronie. Litwa przed chrztem zastanawiała się, czy nie przyjąć prawosławia. Wybierając Kościół rzymskokatolicki, wybrała Europę. Prawosławie związałoby ją z Rosją. Rzeczpospolita nie miałaby wtedy Kresów. Unia dała Rzeczpospolitej trzy wieki, z których dumni mogli być zarówno mieszkańcy Korony, jak i Litwy.

Moskwa nigdy się z tym nie pogodziła, konsekwentnie dążyła do osłabienia Rzeczpospolitej. Na przełomie XVII i XVIII wieku wykorzystywała jej słabość. Wojska rosyjskie – na przemian z pruskimi plądrowały jej terytorium. Sto lat później sprzedajne elity Rzeczpospolitej same ułatwiły zaborcom zawładnięcie jej ziemiami. Dziedzictwo Rzeczpospolitej, którym chlubią się Polacy, Ukraińców wprawia w zakłopotanie.

Galicja Wschodnia po 1775 roku została wcielona do habsburskiej Austrii. Ossolineum w roku 1817 Józef Maksymilian Ossoliński ustanowił we Lwowie, który był stolicą habsburskiego kraju. Inicjatywa Ossolińskiego została zaakceptowana przez cesarza.

Zakład Narodowy zaszczepiał Polakom pamięć o historii wielonarodowej Rzeczpospolitej. Poczdamska Polska kresów nie ma. Pozostałe we Lwowie zbiory otaczamy opieką, bo są częścią naszego narodowego dziedzictwa. By stała się ona czymś trwałym, satysfakcjonującym obydwie strony, konieczna jest współpraca Ossolineum z ukraińskim Lwowem.

eprasa.pl 53cf282579

A to jest w ogóle możliwe?

Tak – pokonując wzajemne nieufności. Z Ukraińcami Ossolineum współpracuje od dwudziestu lat. Podczas tej współpracy pamiętamy o tym, co w ostatnim stuleciu determinowało stosunki między narodami dawnej Rzeczpospolitej. Przypomnę, że od połowy XIX wieku już nie tylko Polacy dążyli do zbudowania własnego suwerennego państwa: o własne państwo zaczęli się ubiegać także Ukraińcy. Po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku Polska w kwietniu 1920 roku uznała Ukrainę; Piłsudski i Petlura zawarli sojusz wojskowy. Wyprawa kijowska nie przyniosła jednak Ukrainie niepodległości. W granicach II Rzeczpospolitej znalazły się ziemie, z których Ukraińcy nie zrezygnowali. Wprawdzie nie udało im się wtedy stworzyć państwa, nie przestali jednak do tego dążyć. Zabiegi o to nie zakończyły się ich sukcesem także w czasie II wojny światowej. Pogłębiły jedynie dzielącą obydwa narody przepaść. Dopiero po upadku Związku Sowieckiego powstała niepodległa Ukraina.

Zaakceptowaliśmy nowe granice, uznaliśmy, że są nieodwracalne. Czy jednak myślimy o Ukraińcach jak o partnerach?

Ukrainę, nie dlatego, że jesteśmy ukrainofilami, winniśmy traktować jak strategicznego partnera. Chce ją sobie podporządkować Rosja. Nie powinniśmy jej tego ułatwiać. Rozmawiając z Ukraińcami o dziedzictwie, zachowajmy cierpliwość i starajmy się, by napięcia polityczne w stosunkach między nami nie doprowadziły do ich zerwania.

Może trzeba zatem uznać polsko-ukraińskie dziedzictwo za wspólne?

Na to się zgodziliśmy. W latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku powołana została Polsko-Ukraińska Międzynarodowa Komisja ds. Dziedzictwa Utraconego i Bezprawnie Przemieszczonego. Ale do dzisiaj nie udało jej się ustalić nie tylko tego, co uznać za wspólne dziedzictwo, ale także jak rozumieć bezprawne przemieszczenie. Czy Archiwum Towarzystwa Naukowego Szewczenki i Ossolineum są wspólnym dziedzictwem? Pierwsze stworzyli Ukraińcy, drugie Polacy. Obok zbiorów bezprawnie przemieszczonych, przedmiotem naszego zainteresowania powinny być także zbiory bezprawnie zatrzymane.

Po II wojnie światowej uległy zmianie granice państwowe. Nie zapominajmy, że doszło wtedy także do masowych przesiedleń ludności. Ustalone po I wojnie światowej granice Polski były granicami suwerennego państwa.

Niemcy i Związek Sowiecki, w 1939 roku napadając na Polskę i dokonując jej kolejnego rozbioru, nie działały zgodnie z prawem międzynarodowym, ale go złamały. Bez rozwikłania

eprasa.pl 53cf282579

tych historycznych sporów trudno racjonalnie rozmawiać o dziedzictwie.

Posiedzenia Komisji odbywają się rzadko. Rezultatów jej pracy nie widać, choć obydwie strony zdają sobie sprawę, że należy szukać rozwiązań kompromisowych.

Od kilkunastu lat dyskutujemy o archiwum zakładowym Ossolineum i archiwum Towarzystwa Naukowego im. Tarasa Szewczenki. Archiwum ZNiO po II wojnie światowej zostało we Lwowskiej Narodowej Naukowej Bibliotece im. Wasyla Stefanyka, choć Ossolineum przeniesiono do Wrocławia. Archiwum Towarzystwa im. Szewczenki wywiezione zostało w czasie wojny do Niemiec. Po wojnie odnaleziono je na Dolnym Śląsku. Część tego archiwum przekazano Bibliotece Narodowej w Warszawie, część przeniesiono do Ossolineum. W 2004 roku wystąpiliśmy na posiedzeniu Komisji z wnioskiem o wymianę Archiwum Ossolineum na Archiwum Towarzystwa Naukowego im. Szewczenki. Nie udało się jednak wtedy osiągnąć porozumienia, mimo że dyrektor Biblioteki Narodowej w Warszawie, dyrektor Ossolineum, jak i dyrektor Biblioteki Stefanyka godzili się na to.

Historia powtórzyła się w 2015 roku.

W czerwcu 2015 roku podczas kolejnego posiedzenia komisji, które odbyło się po Majdanie, uznaliśmy, że się uda. I rzeczywiście się udało.

Komisja wnioskowała, by rządy ukraiński i polski zaleciły wymianę. Nim jednak ukraińscy członkowie komisji dolecieli do Kijowa, we Lwowie uznano to niemal za zdradę.

Jakie były argumenty?

Na chwilę zmieńmy temat.

Trzy tygodnie po tych decyzjach Komisji na budynku Lwowskiej Narodowej Naukowej Biblioteki im. Wasyla Stefanyka odsłanialiśmy tablicę z informacją, że w latach 1827–1940 w budynku tym miał swą siedzibę Zakład Narodowy im. Ossolińskich. Identyczna tablica, z innym tekstem, odsłaniana tam była w maju 1928 roku podczas obchodów stulecia otwarcia Ossolineum. W czasach sowieckich tablica została zdjęta. Starania, wspierane zresztą przez Bibliotekę Stefanyka, o zgodę na tablicę odsłoniętą w czerwcu 2015 roku trwały kilka lat. Nie można było jednak tego zrobić bez zgody władz Lwowa. Mer Andrij Sadowyj był sprawie przychylny. Sprzeciwiła się temu rada Lwowa, w której większość miała partia Swoboda. Wydawało się, że podjęcie rozmów z partią nacjonalistyczną nie ma sensu, bo ona na pewno nie wyrazi na to zgody. Zdecydowaliśmy się jednak na te rozmowy. W lecie 2012 roku Ukraina i Polska organizowały mistrzostwa Europy w piłce nożnej.

Przyjechałem do Lwowa w czerwcu, w dniu, w którym we Wrocławiu roz-

eprasa.pl 53cf282579

grywany był mecz Polski z Rosją. Mer Sadowyj z konsulami polskim, czeskim i rosyjskim zaprosili na wspólne oglądanie tego meczu w piwnicach lwowskiego browaru.

Liderzy lwowskiej Swobody przyszli na mecz z policzkami pomalowanymi na biało-czerwono. Od tej pory rozmowy toczyły się w zdecydowanie lepszej atmosferze. Wprawdzie od czerwca 2012 roku do lipca 2015 roku minęły aż trzy lata, ale udało nam się jednak wynegocjować zgodę na tablicę z informacją w trzech językach: ukraińskim, polskim i angielskim.

Przypomnę także dyskusję podczas ossolińskiego spotkania we Lwowie, które miało miejsce wiele lat temu. Rozważany był problem przystąpienia Ukrainy do Unii Europejskiej. W spotkaniu uczestniczył konsul rosyjski. Zabierając głos, zasugerował, by podjęcie przez Ukrainę decyzji w tej sprawie poprzedzone zostało referendum na całej Ukrainie. Na sali zapadła cisza. Postanowiłem ją przerwać: „Panie konsulu – wtrąciłem – chyba Pan zapomniał o charakterze swego urzędu. Zgodzi się Pan ze mną, że to nie rosyjski konsul winien decydować o sposobie podjęcia decyzji w tej sprawie". Dostałem gromkie oklaski.

Czyli Polskę i Ukrainę jednoczy sprzeciw wobec imperializmu rosyjskiego.

Tak, choć często i jedni, i drudzy jakby zapominają o nim.

Teraz wróćmy do sprawy wymiany archiwum Ossolineum na archiwum Towarzystwa Szewczenki. Po uroczystości odsłonięcia tablicy ossolińskiej na budynku Biblioteki Stefanyka podeszli do mnie reporterzy telewizji lwowskiej z pytaniem, co sądzę o zgodzie Polsko-Ukraińskiej Komisji na wymianę archiwów.

Byłem współwnioskodawcą tej wymiany – odpowiedziałem – więc wiadomo, co o tym sądzę. Co wy o tym sądzicie? Jesteśmy tym zaskoczeni – odpowiedzieli. Jak Komisja powołana do zajmowania się sprawami dziedzictwa utraconego i bezprawnie przemieszczonego mogła proponować wymianę archiwum Ossolineum, które pozostało tam gdzie było, na archiwum Towarzystwa Szewczenki, które w czasie wojny zostało wywiezione przez Niemców ze Lwowa. To archiwum winno wrócić do Lwowa bez jakiegokolwiek ekwiwalentu.

I co Pan im odpowiedział?

Że jest pewien kłopot. Ja zostałem przemieszczony w czasie wojny. Jak sądzicie, prawnie czy bezprawnie? – zapytałem. Oni zaniemówili i rozmowa się skończyła. Wciąż podkreślam, że historii nie można upraszczać. Granice zmienione zostały po wojnie, a inicjatorem zmian był Stalin. Zachód zapłacił za sowiecki udział w wojnie z Niemcami terenami aż po Łabę. Po 1989

eprasa.pl 53cf282579



Archiwum KEW

Adolf Juzwenko: Ossolineum już od dwustu lat ułatwia zdobywanie wiedzy, poznawanie Polski, zwłaszcza jej historii. Przygotowujemy się do budowy siedziby, funkcjonującego w strukturach ossolińskich, Muzeum Książąt Lubomirskich. Przed kilkoma laty wznowiło swoją działalność Wydawnictwo Ossolineum. W tym roku najstarsza w Polsce seria wydawnicza – Biblioteka Narodowa – obchodzi jubileusz stulecia. Ossolińska oferta jest i będzie urozmaicona, wsparta unikatowymi źródłami.

roku powojennych granic Polacy nie zakwestionowali. Nikt rozsądny ich nie podważa.

Między Ukraińcami a Polakami toczy się spór historyczny o to, co działo się po zakończeniu I wojny światowej i spór ten będzie trwać jeszcze długo. W 1918 roku o własne państwa walczyli i Polacy, i Ukraińcy.

Rzeczpospolita utraciła niepodległość u schyłku XVIII wieku. W XIX wieku Polacy walczyli o jej niepodległość. W tym samym czasie zaczęli o swojej niepodległości myśleć także Ukraińcy. To był główny powód wybuchu polsko-ukraińskiej wojny w 1918 roku. Przypomnijmy, że po klęsce zaborców do zbrojnego konfliktu doszło także z Litwą. W okresie międzywojennym Litwini na Kowieńszczyźnie stworzyli państwo, które szczelnie odizolowało się od Polski. Tam odtwarzali swe elity; naród odrodził się z pnia chłopskiego. Ukraińcy znaleźli się w trudniejszej sytuacji. W Galicji Wschodniej nie było miejsca na ukraińskie Kowno.

Nie było szansy na to, by stał się nim Lwów. We Lwowie Polacy byli w zdecydowanej większości.

Czy to strach wśród społeczeństwa i elit ukraińskich przed przeszłością Lwowa, która w istotnej części jest polska, nie jest najważniejszym powodem obecnych problemów?

eprasa.pl 53cf282579

To nie jest strach. Część mieszkańców Lwowa nie bardzo wie, co z tą przeszłością zrobić. Rzeczpospolitą międzywojenną zapamiętali jako państwo opresyjne i nieprzyjazne. Historię tego okresu rysują w czarnych kolorach. Dlatego niechętnie mówią i piszą o polskim udziale w rozwoju tego miasta.

Wśród Polaków natomiast często spotykamy nadętą bezmyślność. W ostatnim roku nawet otwarci na Polskę Ukraińcy nie mogli zrozumieć, o co chodzi w nowelizacji ustawy o IPN. Zresztą nie tylko oni, wielu Polaków także. Dobrze, że zakwestionował ją Trybunał Konstytucyjny. Długo jednak odczuwać będziemy jej szkodliwy wpływ na polsko-ukraińskie stosunki.

Nad tym, by darzyć się wzajemnym zaufaniem, Ossolineum i Biblioteka Stefanyka pracują od lat. Od chwili, kiedy przestaliśmy mówić o rewindykacji, a postawiliśmy na kopiowanie zbiorów, rozpoczęła się współpraca, której owoców nie sposób przecenić. Wydajemy wspólne publikacje. W trakcie pracy nad nimi uczymy się szacunku do historii. Nieufności do końca się nie pozbyliśmy, ale temu służą rozmowy i merytoryczne dyskusje. Na nasze relacje historia i polityka mają duży wpływ, ale nie doprowadziły one do ich załamania.

Lwów był miejscem symbolicznym dla obu narodów. Mamy jednak doświadczenie Wrocławia. Dlaczego wrocławianie zaakceptowali je jako swoje miasto? Niedawno Pan dyrektor wspomniał o „Solidarności" jako momencie przełomowym dla zadomowienia się wrocławian.

Ukraińcy nie mają wątpliwości, że Lwów jest ich. Uważają, że należał także do nich w okresie międzywojennym. Różnica pomiędzy polskim stosunkiem do Wrocławia a ukraińskim do Lwowa polega na tym, że my do Wrocławia wróciliśmy po kilkuset latach, oni zaś we Lwowie byli, chociaż nie mieli swojego państwa. My we Wrocławiu zaczynaliśmy wszystko od nowa. Miasto przejęliśmy bez niemieckich mieszkańców. Ich miejsce zajęli polscy przesiedleńcy, także ze Lwowa. Poza tym nie bez znaczenia było to, że powojenna Polska choć nie była suwerenna, była Polską.

Ukrainę z Lwowem po wojnie Moskwa wcieliła do Związku Sowieckiego. My dążyliśmy do zmiany ustroju komunistycznego państwa, im nie pozwolono nawet myśleć o suwerenności.

„Solidarność" dała Polakom nadzieję na odsunięcie od władzy komunistów. Nadzieja ta zawładnęła umysłami zdecydowanej większości Polaków. Mieszkańcy Wrocławia, podobnie jak w całej Polsce, poczuli się gospodarzami w swoich miastach i brali za nie odpowiedzialność.

eprasa.pl 53cf282579

Czy był taki moment po 1945 roku, że Ukraińcy poczuli, że Lwów jest ich miastem?

Stało się to po 1990 roku. Zaczęła się wtedy historia suwerennej Ukrainy. Ale niektórzy Ukraińcy we Lwowie zachowywali się tak, jakby ze strony polskiej ich państwu groziło niebezpieczeństwo. Prowadzone w tym czasie ossolińskie rozmowy szły jak po grudzie.

Kiedy po II wojnie światowej na ziemiach zachodnich zniknął lęk przed Niemcami?

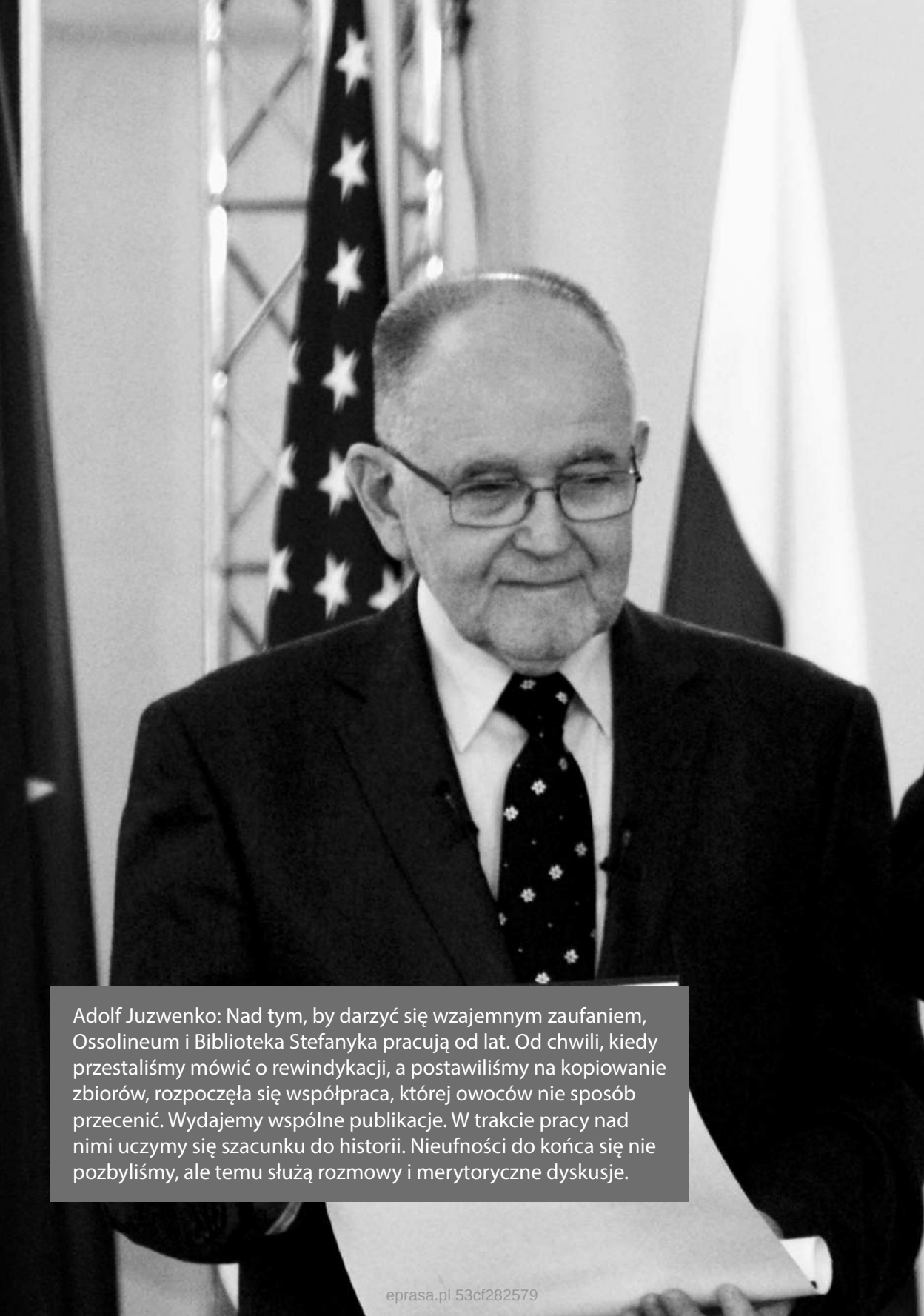
To był proces; za czasów Gierka otwarta została granica z Niemiecką Republiką Demokratyczną. Niemcy zaczęli odwiedzać miejscowości przygraniczne po polskiej stronie. Fotografowali się na tle swych dawnych domów. Wielu Polaków bało się ich powrotu. Obawy nie wyrastały z realnego zagrożenia, a z przekonania, że Niemcy nie wyrzekną się tych ziem, bo od stuleci do nich należały. Niemałe znaczenie miało też to, że Polakom trudno było się na tej niemieckiej przestrzeni zadomowić.

Sam w czasie studiów chętnie jeździłem do Warszawy czy Krakowa, by zanurzyć się w ojczystej historii. W Przemyślu z przyjemnością słuchałem bałaku lwowskiego. Czy tęskniłem do Lwowa? Nie, tęskniłem za ojcowizną.

Pochodzę ze wsi podolskiej. Lwowa przed wyjazdem na Zachód nigdy nie widziałem. Wśród moich znajomych nie było zbyt wielu lwowian. W latach siedemdziesiątych zaprzyjaźniłem się z Romanem Aftanazym, ossolińskim kustoszem, autorem jedenastotomowych *Dziejów rezydencji na dawnych kresach Rzeczypospolitej*. W 1973 roku zaprosił mnie do siebie. Swoje ciasne mieszkanie w betonowym bloku na ósmym piętrze zamienił w komnatę szlachecką. Miałem poczucie, że znalazłem się w innym świecie. Jedliśmy kolację. Kiedy na stole pozostało już tylko wino, podeszliśmy do okna, skąd podziwialiśmy panoramę Wrocławia nad Odrą. Kustosz, patrząc na nią, mówił jakby do siebie: „Wrocław twoje miasto, Odra twoja rzeka, k… twoja mać". Był lwowianinem. To, co powiedział, nie było jednak wyrazem tęsknoty za Lwowem. Dla niego Lwów, który znał, dawno przestał istnieć. W swoim dzienniku pod datą 13 kwietnia 1946 roku zanotował: „dziś podjąłem kartę ewakuacyjną (…) otrzymałem dokument stwierdzający moje prawo powrotu do kraju, poczułem się po prostu głupio. W pewnym momencie żal mi się zrobiło oddanych sowieckich papierów, bo według nich byłem Polakiem, obywatelem Lwowa. Według nowego dokumentu natomiast stałem się cudzoziemcem we… Lwowie".

Wróćmy do dziedzictwa. Pan dyrektor podkreśla, że restytucja nie jest możliwa. Choć *de iure* państwo z niej nie zrezygnowało.

eprasa.pl 53cf282579



Adolf Juzwenko: Nad tym, by darzyć się wzajemnym zaufaniem, Ossolineum i Biblioteka Stefanyka pracują od lat. Od chwili, kiedy przestaliśmy mówić o rewindykacji, a postawiliśmy na kopiowanie zbiorów, rozpoczęła się współpraca, której owoców nie sposób przecenić. Wydajemy wspólne publikacje. W trakcie pracy nad nimi uczymy się szacunku do historii. Nieufności do końca się nie pozbyliśmy, ale temu służą rozmowy i merytoryczne dyskusje.

eprasa.pl 53cf282579



Archiwum KEW

Adolf Juzwenko z Rafałem Dutkiewiczem prezydentem Wrocławia w latach 2002–2018.

Powstało biuro Ossolineum we Lwowie. Jednym z głównych jego zadań jest digitalizacja zbiorów, które tam pozostały. Udało się Panu zawrzeć odpowiednią umowę z Biblioteką im. Stefanyka.

Biuro pełnomocnika powstało w 2005 roku. Umowę o skanowaniu podpisaliśmy w kwietniu 2005 roku. Zdawaliśmy sobie sprawę, że przed skanowaniem zbiory powinny być poddane konserwacji i opracowaniu. Gdybyśmy jednak taką procedurę zastosowali, to upłynęłoby wiele lat, nim byśmy do tego przystąpili. Zaczęliśmy więc kopiować materiały, które porządkujemy i opracowujemy we Wrocławiu.

Jak zaawansowane jest skanowanie zbiorów Biblioteki im. Stefanyka?

Jesteśmy bardzo bliscy skończenia skanowania rękopisów. Skanujemy prasę, zwłaszcza te tytuły, których nie ma w polskich bibliotekach. Zdigitalizowaliśmy polską dziewiętnasto- i dwudziestowieczną prasę emigracyjną. Niektóre polskie dzienniki, na przykład „Gazetę Olsztyńską", którą Ossolineum miało dzięki Wojciechowi Kętrzyńskiemu. Chcemy zeskanować też zbiory sztuki: rysunki, grafiki.

Wszystko to jest objęte umową?

Umowa zawarta w 2005 roku jest ciągle aktualizowana. Wpisujemy do niej te zbiory, które naszym zdaniem winny być skopiowane.

To są już miliony skanów?

W tym momencie blisko 5 milionów. I wydaliśmy na to ponad 8 milionów złotych.

Kiedyś skanowanie zostanie skończone, co wtedy?

Mam nadzieję, że wtedy oryginały poddamy konserwacji i opracowaniu. Przyjdzie też czas na dokładne opracowanie lwowskich zbiorów Muzeum Książąt Lubomirskich. Priorytetem będzie projekt muzealny oparty na założeniu: muzeum we Wrocławiu, magazyny we Lwowie.

Czy to jest realne?

Tak.

Odpowiednia umowa nie została jednak jeszcze zawarta?

Ale do tej pory żadna lwowska instytucja nie odmówiła współpracy przy tym projekcie. Współpracujemy z: Lwowską Galerią Sztuki, Muzeum Historycznym, Muzeum Religii, Muzeum Etnografii, Biblioteką Stefanyka…

Trzeba przypomnieć, że w 1940 roku Sowieci dokonali komasacji wszystkich tamtejszych zbiorów, a potem je podzielili. Dawne zbiory Ossolineum są dzisiaj rozproszone w kilku lwowskich instytucjach.

eprasa.pl 53cf282579

Nikt dzisiaj nie zabrania lwowskim muzeom wypożyczać nam swoje zbiory. Tak dzieje się we współczesnym świecie. Kolekcje ossolińskie pozostały we Lwowie, ale nie przestały być historycznymi kolekcjami ossolińskimi. We Lwowie nie kwestionuje się tego. Razem z Lwowską Galerią Sztuki wydaliśmy katalog zorganizowanej we Lwowie i we Wrocławiu wystawy zatytułowanej *Muzeum Książąt Lubomirskich. Nie/zapomniana historia*. Taras Wozniak, dyrektor Lwowskiej Galerii Sztuki, traktuje naszą współpracę jako swego rodzaju fenomen.

Polityka i trudne relacje polityczne nie wpływają na współpracę Ossolineum ze Lwowem?

Nie. Większe problemy wiążą się z biurokratycznymi procedurami. Ale udaje nam się je rozwiązywać.

Ossolineum będzie płacić za wypożyczanie zbiorów?

Bez tego się nie obędzie. A środki na to są konieczne. Konserwacja, opracowanie, udostępnianie i przekazywanie ich kolejnym pokoleniom to nasz obowiązek. Nie możemy traktować współpracy kulturalnej z ukraińskim Lwowem bez historycznej refleksji. We Lwowie pozostały zbiory sztuki, bez nich zubożylibyśmy historię Polski, nie mówiąc o historii Ossolineum. Lwowskie instytucje są niedofinansowane. Pieniądze pomagają i nam, i im rozwiązać problemy.

W 2006 roku pomogliśmy Bibliotece im. Stefanyka wyremontować Pałac Baworowskich, przekazaliśmy na to niemal 700 tysięcy złotych, w połowie były to środki pozyskane ze zbiórki publicznej. Początkowo dyrektorzy lwowskich instytucji patrzyli sceptycznie na ten pomysł. Mówili: „Polacy nie dadzą na to pieniędzy". Odpowiadałem: nie wiem, ale postaram się ich do tego przekonać. Wierzyłem w to i okazało się, że miałem rację. Zbiórka pomogła także w przełamaniu ukraińskiej nieufności do nas.

Ta suma porównywalna jest z ceną jednej trzeciej rękopisu *Pana Tadeusza*, jaką Ossolineum zapłaciło rodzinie Tarnowskich.

Przypomnijmy, że Tarnowscy sprzedali *Pana Tadeusza* za naprawdę niską cenę. Był to bardziej dar dla Ossolineum niż sprzedaż. W zakupie pomógł wrocławski samorząd. A dzięki zbiórce wyremontowany został budynek dawnej Biblioteki Baworowskich, gdzie zgromadzone są ossolińskie zbiory sztuki. Poprawiliśmy warunki ich przechowywania i udostępniania. Biblioteka Stefanyka z niedowierzaniem przyjęła gotowość udzielenia jej bezinteresownej polskiej pomocy. Dyrektor, kiedy to zaproponowałem, zapytał: ale co pan zechce w zamian?

Od dawna zastanawialiśmy się w Ossolineum nad tym, co ułatwiłoby naszą współpracę z Lwowską

eprasa.pl 53cf282579

Biblioteką, w której pozostały zbiory Zakładu. Dlatego nie miałem kłopotu z kontynuowaniem rozmowy. Zapytałem, czy po wyremontowaniu budynku dyrektor Biblioteki zgodzi się, by jedna z sal nosiła imię Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Odpowiedział, że tak, i po skończeniu remontu w sali wystawienniczej pojawiła się tablica informująca o tym.

Zdawałem sobie sprawę, że współpracę Ossolineum z Biblioteką Stefanyka ułatwiłaby obecność we Lwowie pełnomocnika ZNiO. Zapytałem więc dyrektora Biblioteki, czy takiego pełnomocnika przyjąłby i czy w wyremontowanym budynku znalazłby pomieszczenie na jego biuro. Kiedy i na to się zgodził, zaproponowałem, by w Bibliotece Stefanyka odbywały się spotkania i wykłady organizowane przez dyrektorów Biblioteki i Ossolineum, które służyłyby tworzeniu klimatu dla polsko-ukraińskiego dialogu i żeby nazwać je ossolińskimi spotkaniami we Lwowskiej, Narodowej, Naukowej Bibliotece im. Stefanyka.

Dyrektor Biblioteki uznał to za dobry pomysł. Wszystko to, co się wtedy stało, zmieniło nasze wzajemne relacje. Od tej pory staliśmy się sobie potrzebni: oni nam, bo ułatwiają naszą opiekę nad ossolińskimi zbiorami, my im, bo wspomagamy ich w modernizacji ich obiektów, w których przechowywane są nie tylko nasze zbiory.

Ostatnio staramy się uzyskać grant z europejskiego programu przygranicznego. Nie mogliśmy sami o to wystąpić. Do tego potrzebna była polska placówka mająca swą siedzibę w powiecie sąsiadującym z Ukrainą. Udało się nam namówić Muzeum w Przeworsku, by wspólnie z Biblioteką Stefanyka przygotowało we Lwowie wystawę. A po wystawie sprzęt na nią zakupiony pozostałby we lwowskiej Bibliotece. Dzięki temu polepszyłyby się jej warunki ekspozycyjne.

Jakiś czas temu wicepremier Piotr Gliński nie był przekonany, czy ma przyjąć zaproszenie i wziąć udział w ossolińskim spotkaniu we Lwowie. Poprosiłem, by pojechał i zobaczył, co we Lwowie robimy. Pojechał i wziął udział w spotkaniu, na które przyszło niemal dwieście osób i które odbyło się w bardzo dobrej atmosferze.

Polskie instytucje w ostatnich latach przeszły zasadniczą zmianę – od infrastruktury po zarządzanie. Czy naszą racją stanu nie jest pomoc tamtejszym instytucjom w modernizacji, bo bez niej współpraca będzie coraz trudniejsza, a wręcz niemożliwa?

Tak. Myślę, że to jest konieczne. Zachodnioukraińskie placówki bez tego się nie obejdą. Przyjeżdżający do Ossolineum goście ze Lwowa są pod ogromnym wrażeniem tego, co oglądają, i nie ukrywają, że na takie zmiany u siebie nie mogą liczyć.

eprasa.pl 53cf282579



Archiwum KEW

Adolf Juzwenko z prezesem KEW Janem Andrzejem Dąbrowskim.

A czym ma być Ossolineum za dziesięć lat we Wrocławiu i we Lwowie?

Mam nadzieję, że uda się powołać oddział Ossolineum we Lwowie jako oddział zagraniczny. Praca takiego oddziału budowałaby wzajemne zaufanie, służyłaby współpracy, wspólnemu opracowywaniu zbiorów, organizowaniu wystaw i wykładów poświęconych wspólnemu dziedzictwu.

Czym miałby się ten oddział Ossolineum zajmować?

Zbiorami. Ich ochroną, konserwacją, porządkowaniem. Winniśmy także pomagać w konserwacji zbiorów ukraińskich. Powstanie oddziału winno także służyć podnoszeniu jakości udostępniania kolekcji ukraińskich.

I mieli warunki finansowe (i świadomość), by dbać o własne i wspólne dziedzictwo, a nie jest to łatwe. Ossolineum proponowało wspólny projekt wystawienniczy w setną rocznicę wojny polsko-ukraińskiej. Niestety to się nie udało.

Chcieliśmy zrobić wystawę *Prawem naszym niepodległość*. Miała ona pokazywać, że i Polska, i Ukraina miały w 1918 roku do niej prawo. Właściwie to miały być dwie równoległe wystawy – Polacy pokazaliby swoją historię, Ukraińcy zaś swoją. Dodatkowo były planowane dyskusje,

eprasa.pl 53cf282579

wystawy, panele polsko-ukraińskie. Nie chodziło o zorganizowanie stulecia niepodległości we Lwowie, lecz o wspólną rozmowę o latach 1918–1919. Zaprezentowanie polskiego i ukraińskiego punktu widzenia. Niestety to się nie udało. Lwowscy muzealnicy poparli projekt, ale przeciwni temu byli niektórzy ukraińscy politycy.

Czy w Pana wizji oddział Ossolineum we Lwowie zajmowałby się tylko zbiorami ossolińskimi?

Nie tylko. Winien być czymś w rodzaju pomostu pomiędzy dwoma narodami, które mają za sobą kilka wieków wspólnej, trudnej historii.

Taką instytucję – paradoksalnie – powołali we Lwowie Austriacy. Mowa o powstałym w 2004 roku Centrum Historii Miejskiej Europy Środkowo-Wschodniej; świetnie funkcjonującej instytucji badawczo-edukacyjnej.

Austriacy są inaczej traktowani. Na nich Ukraińcy są otwarci. Pamiętam swój pierwszy wyjazd do Lwowa. Rozmawiałem wtedy z profesor Łarysą Kruszelnicką, ówczesną dyrektorką Biblioteki im. Stefanyka, osobą wykształconą, świetnie mówiącą po polsku, ale ogromnie wobec Polaków nieufną; odwołującą się do doświadczeń z dwudziestolecia międzywojennego, która wielkie nadzieje wiązała ze współpracą Ukrainy z Austrią.

Czym ma być Ossolineum we Wrocławiu?

Tym, czym jest dzisiaj.

Czyli?

Skarbcem, do którego kolejne polskie pokolenia, tak jak we Lwowie i teraz we Wrocławiu, będą sięgać, by wzbogacać swą wiedzę i formować tożsamość. Duże znaczenie będzie mieć sposób udostępniania zbiorów. Ossolińskie Muzeum Pana Tadeusza pokazuje, w jakim kierunku pójdą zmiany. Jego multimedialna ekspozycja pomaga zrozumieć historię Polaków od końca XVIII do przełomu XX i XXI wieku, od rozbiorów do zrzucenia jarzma komunizmu.

By było to polskie miejsce pamięci?

Miejsce pamięci o historii Polski i jej europejskich korzeniach, a także o historii Lwowa i Wrocławia, miast, które po II wojnie światowej zmieniły przynależność państwową. W 2013 roku w czasie remontu Ossolineum odnaleźliśmy pod gruzami jednego z dziedzińców obelisk upamiętniający poległych podczas I wojny światowej 183 absolwentów i profesorów niemieckiej szkoły, która miała siedzibę w budynku dzisiejszego Ossolineum. Pomyślałem wtedy, że jeśli my staramy się, by we Lwowie z szacunkiem traktowano polską przeszłość, we Wrocławiu z szacunkiem winniśmy traktować przeszłość niemiecką.

eprasa.pl 53cf282579

Obelisk udało się odsłonić. Na uroczystość przyjechał między innymi Norman Davies. Opowiedział o tym, jak Uniwersytet w Oksfordzie po I wojnie światowej uczcił pamięć poległych na jej frontach swoich brytyjskich absolwentów. Zrobił to, zawieszając na swych murach tablicę z ich nazwiskami. A w 2004 roku w dziewięćdziesiątą rocznicę wybuchu wojny zawiesił tablicę z nazwiskami poległych w niej niemieckich absolwentów Oksfordu.

Podobną funkcję pełni obelisk w ogrodzie Ossolineum. Wśród poległych uczniów są też wcieleni do armii niemieckiej Polacy z zaboru pruskiego. Dziś to miejsce jest odwiedzane, zwłaszcza przez niemieckich turystów, z uznaniem wyrażających się o odnowieniu i ponownym postawieniu obelisku.

A czy Ossolineum może w przyszłości, za dekadę na przykład, stać się miejscem, w którym tłumaczy się historię Polski przyjezdnym ze Wschodu i z Zachodu?

Jestem przekonany, że zainteresowanie tożsamością europejskich narodów, ich historią, kulturą i sztuką nie zaniknie. Pojawią się nowe środki przekazu oraz formy prezentacji przeszłości, które ułatwią przygotowanie ekspozycji, a także korzystanie ze zbiorów.

Ossolineum już od dwustu lat ułatwia zdobywanie wiedzy, poznawanie Polski, zwłaszcza jej historii. Przygotowujemy się do budowy siedziby, funkcjonującego w strukturach ossolińskich, Muzeum Książąt Lubomirskich. Przed kilkoma laty wznowiło swoją działalność Wydawnictwo Ossolineum. W tym roku najstarsza w Polsce seria wydawnicza – „Biblioteka Narodowa" – obchodzi jubileusz stulecia. Ossolińska oferta jest i będzie urozmaicona, wsparta unikatowymi źródłami.

Adolf Juzwenko jest dyrektorem Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Historyk, doktor nauk humanistycznych, autor licznych prac naukowych i artykułów dotyczących stosunków polsko-rosyjskich. Działacz opozycji demokratycznej w czasach PRL. Przewodniczący Rady Kolegium Europy Wschodniej im. Jana Nowaka Jeziorańskiego we Wrocławiu. Laureat Nagrody „Rzeczpospolitej" im. Jerzego Giedroycia w 2018 roku.

eprasa.pl 53cf282579

Prezydent z ludu

Piotr Andrusieczko

Komik Wołodymyr Zełenski w krótkim czasie przebył drogę od prezydenta z ludu (Hołobrod'ki, którego gra w serialu *Sługa Narodu*) do pretendenta na urząd prezydenta Ukrainy.

Start Zełenskiego w wyborach prezydenckich wywrócił prognozowane scenariusze. Rok przed elekcją przewidywano starcie przedstawicieli starego systemu politycznego: prezydenta Petra Poroszenki i Julii Tymoszenko.

Zełenski to wciąż wielka niewiadoma w ukraińskiej polityce. Przeciwnicy zarzucają mu związki z oligarchą Ihorem Kołomojskim, a ten jest skonfliktowany z Petrem Poroszenką. Zełenski został nawet nazwany przez Poroszenkę „marionetką" oligarchy. On sam tłumaczy, że relacje biznesowe między jego studiem producenckim Kwartał 95, a telewizją oligarchy 1+1 są przejrzyste, dodaje, że wcześniej jego produkcje pojawiały się na innych kanałach telewizyjnych, a te na Ukrainie należą do różnych oligarchów.

Wielu wyborców widzi w nim wybawiciela od patologii toczących ukraińskie państwo, kogoś niezwiązanego z obecnymi elitami politycznymi. Są tacy, dla których Zełenski to po prostu narzędzie, za pomocą którego można zniszczyć obecny system polityczny. Dla większości Zełenski to jednak wielka niewiadoma. Kto za nim stoi? Kto wspiera? Finansuje?

Zełenski niechętnie spotyka się z dziennikarzami. Rolę pośrednika często odgrywa główny technolog polityczny jego sztabu Dmitrij Razumkow. To syn zmarłego polityka Ołeksandra Razumkowa, który w latach 1997–1999 pełnił funkcję zastępcy szefa Rady Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony Ukrainy, stał też na czele Centrum Badań Ekonomicznych i Politycznych, które zostało nazwane jego imieniem.

Z Dmitrijem Razumkowem spotykam się w sztabie kandydata Zełenskiego, albo jak kto woli Komandy Ze. Przy komputerach siedzą i pracują młodzi ludzie, przechodzimy do przeszklonego gabinetu, z którego widać biuro. Transparentność kampanii wyborczej Zełenskiego będzie często podkreślana w rozmowie.

eprasa.pl 53cf282579

Polityk Zełenski – wielki eksperyment

PIOTR ANDRUSIECZKO: Właśnie wróciłem z badań krwi na obecność substancji psychoaktywnych, poddali im się Petro Poroszenko i Wołodymyr Zełenski. Zastanawiam się, czy to nie sprowadza trochę polityki do absurdu, a jak minimum *show*...

DMITRIJ RAZUMKOW: To raczej polityka, którą określiłbym „przejrzystą". Myślę, że każdy kandydat na urząd prezydenta powinien być otwarty. Są oczywiście kwestie osobiste, dotyczą rodziny, relacji z bliskimi, religii. Jednak to, co może wpływać na podejmowanie decyzji dotyczących przyszłości państwa, w tym zdrowie, powinno być podawane do opinii publicznej. Tym bardziej jeśli nie ma się nic do ukrycia, a jest się oblewanym błotem – tak było z Zełenskim.

Jaki był początek Zełenskiego jako polityka? Kiedy stwierdził, że zajmie się tą dziedziną życia? Wiemy, że partia *Sługa Narodu* była założona jeszcze pod koniec 2017 roku.

Tutaj bardziej kompetentny byłby Iwan Bakanow, założyciel i szef partii.

A jeśli chodzi o samego Zełenskiego, to na pewno tego typu myśli pojawiły się u niego wcześniej. Chęć dokonania zmian w kraju cechuje nie tylko jego, ale zapewne 99 procent obywateli Ukrainy, którzy nie mają nic wspólnego z wielką polityką, chcą jednak, żeby ich państwo było lepsze.

Start w wyborach zaczął być dyskutowany rok temu. Kiedy podjęto ostateczną decyzję? Zełenski powiedział, że wystartuje w noc sylwestrową 2018/2019, uczynił to w telewizji 1+1. A on swoich słów nigdy nie cofa.

Wielu interesuje kwestia, która jest z tym powiązana – jak jego nazwisko znalazło się w sondażach przedwyborczych? Mówi się, że ktoś mógł specjalnie je „przepchnąć".

Myślę, że rzeczywiście mogło tak być. Nie było to jednak sprawką ani Zełenskiego, ani Swiatosława Wakarczuka [lidera popularnego zespołu Okean Elzy, którego również uwzględniono w sondażach – przyp. P.A.]. Nagle w ankietach pojawiło się dwóch działaczy społecznych z nienaganną reputacją; prawdopodobnie ktoś chciał zobaczyć, jaka będzie reakcja na nowe twarze w polityce. A ta była całkiem dobra. Socjolodzy zaczęli uwzględniać w badaniach ich nazwiska, a my zaczęliśmy obserwować wzrost ich notowań. Najpierw jednego Wakarczuka, a potem Zełenskiego. Podkreślmy jednak: Wakarczuk to niezupełnie nowa twarz w polityce – był deputowanym i pokazał się z nie najlepszej strony. Jego kariera zakończyła się złożeniem mandatu. Zełenski to rzeczywiście nowe nazwisko.

Wzrost zaskoczył samego Zełenskiego?

Nie, liczyliśmy na wzrost i zakładaliśmy, że będzie wysoki. Wybory to nie

eprasa.pl 53cf282579

olimpiada, tu liczy się zwycięstwo, nie udział.

Kiedy Pan dołączył do zespołu? To była Pana inicjatywa czy propozycja wyszła od Zełenskiego?

W październiku 2018 roku spotkałem się z Zełenskim. To była najbardziej niezwykła rozmowa w moim życiu. Zazwyczaj podczas takich spotkań opowiada się, kim się jest, co się robi, jak, i dlaczego. Tu było inaczej. Bardzo dużo mówił on, opowiadał o swojej wizji zmian. Dwa dni później zacząłem pracować w pomieszczeniu, w którym teraz rozmawiamy.

A jeśli mowa o zespole, to kto znajduje się w nim dzisiaj, kto wspiera Zełenskiego?

Są doradcy, współpracownicy. Były minister Ołeksandr Danyluk zajmuje się kwestiami międzynarodowymi, gospodarką i finansami. Irina Wenediktowa, doktor nauk prawnych, odpowiada za relacje z mediami. Rusłan Stefanczuk konsoliduje prace grup eksperckich. Iwan Bakanow jest szefem sztabu i przewodniczącym partii Sługa Narodu.

A jakie są kryteria doboru współpracowników, doradców Zełenskiego?

Wartości moralne i zawodowe. Zazwyczaj wybiera się ludzi według zasady „swój – cudzy". Tutaj ten podział nie funkcjonuje. Są oczywiście ludzie o dosyć długim stażu znajomości z Zełenskim, na przykład Iwan Bakanow, można go traktować jako „swojego", ale odpowiada on wszystkim kryteriom, które stawiane są innym. Nie działamy według zasady „przyjaciołom wszystko, wrogom prawo".

Jest Pan technologiem politycznym, obserwował Pan wcześniejsze wybory na Ukrainie, może również przy nich pracował. Czy widoczna jest różnica między tymi wyborami i poprzednimi?

To absolutnie inne wybory. Różnią się wszystkim. Poczynając od kandydata, który pochodzi spoza systemu i startuje właśnie po to, by ten skorodowany system zmienić, a kończąc na sztabie.

Wcześniej sztaby miały strukturę piramidy: szef sztabu, zastępcy, technolodzy polityczni, potem prawnicy, ludzie odpowiedzialni za współpracę z regionami kraju i specjaliści od promocji. Tutaj tego nie ma, granice pełnomocnictw i koleżeńskiej pomocy się przecinają. I dobrze, często świeże idee można usłyszeć od osób, które nie brały udziału w kampaniach wyborczych. A wszystkie kluczowe decyzje podejmowane są w obecności Wołodymyra.

A można go przekonać, że nie ma racji?

Tak, przyznaje, że się mylił. Tak było na przykład z pierwszym spotkaniem z dziennikarzami Radia Swoboda [Zełenski ze złością zareagował na pytania o jego biznes w Rosji – przyp. P.A.]. Przeprosił, powiedział, że to był błąd.

eprasa.pl 53cf282579



Ярослав Бурдовицин (CC BY-SA 4.0) commons.wikimedia.org

Dmitrij Razumkow: Podczas kampanii wzywaliśmy ludzi, żeby szli do wyborów. Jeśli nie chcieli oddać głosu na Zełenskiego, mogli zagłosować na innego kandydata. Oddanie głosu jest obywatelskim obowiązkiem. Nie prowadziliśmy brudnej kampanii. Wyjątkowość tych wyborów polega na tym, że wzrosła frekwencja wśród młodych ludzi. To zasługa Zełenskiego.

eprasa.pl 53cf282579

Kiedy obmyślaliście kampanię wyborczą, korzystaliście z doświadczenia zagranicznego, na przykład z Włoch...

Nie, nie korzystaliśmy! Krąży wiele takich dziwnych historii, mówi się, że czerpaliśmy z doświadczeń kampanii Donalda Trumpa i Emmanuela Macrona. Wiele rzeczy w naszej kampanii było robionych na Ukrainie po raz pierwszy. I w dużym stopniu to zasługa właśnie samego Wołodii.

Co to za rzeczy?

Nigdy nie było tak otwartej kampanii. Nawet jeśli mowa o dostępie dziennikarzy do kandydata [co prawda, sam kandydat rzadko spotyka się z dziennikarzami – przyp. P.A.]. Choćby teraz znajdujemy się w prawdziwym sztabie, który naprawdę pracuje. A jak to wygląda u innych? Zazwyczaj jest sztab „biały" i „czarny". Spróbuj wpaść tak na ulicę Turowską [znajduje się tam sztab partii Batkiwszczyna – przyp. P.A.]. Tutaj nikt nie każe przechodzić przez bramki, nie przeprowadza się rewizji osobistej. Szef sztabu przed chwilą się z nami przywitał. Pokazujemy, co robimy.

Zełenski jest bardzo aktywny w sieciach społecznościowych...

Mamy ograniczone środki finansowe, a ten mechanizm przekazywania informacji jest najtańszy i najefektywniejszy. Wykorzystujemy jeszcze telewizję, trochę bilbordy i różne inne formy agitacji. Nasza kampania wyborcza jest najtańsza. Podczas pierwszej tury wyborów wydaliśmy około 90 milionów hrywien, co daje około 3 miliony 700 tysięcy dolarów. Według ocen moich kolegów, kampania naszych oponentów kosztowała od 150 do 300 milionów dolarów.

Są tacy, którzy twierdzą, że Zełenski mógłby wygrać te wybory bez telewizji.

Nie, nie zgadzam się. Ukraińscy wyborcy czerpią (według różnych ocen) około 75–80 procent informacji z telewizji. Internet, wyłączając sieci społecznościowe, przekazuje informacje dla 30–40 procent społeczeństwa. Z sieci społecznościowych informacje czerpie 25–30 procent. Dlatego bez telewizji byłoby nam ciężko [należąca do oligarchy Ihora Kołomojskiego telewizja 1+1 od lat transmituje programy Kwartału 95 i wyprodukowane przez studio Kwartał 95 seriale – przyp. P.A.]. Agitację bezpośrednią należy zawsze prowadzić, nawet w niedużym stopniu.

Wiecie, kto jest wyborcą Zełenskiego, robiliście jakieś badania?

Nie mamy grupy do celowej. Podczas kampanii wzywaliśmy ludzi, żeby szli do wyborów. Jeśli nie chcieli oddać głosu na Zełenskiego, mogli zagłosować na innego kandydata. Udział w wyborach jest obywatelskim obowiązkiem. Nie prowadziliśmy brudnej kampanii.

Wyjątkowość tych wyborów polega na tym, że wzrosła frekwencja wśród młodych ludzi. To zasługa Zełenskiego. Dla-

eprasa.pl 53cf282579

czego? W przeszłości starano się, żeby młodzież nie głosowała: „twój głos się nie liczy"; „lepiej odpoczywaj". Ale to młodzi będą żyć w tym kraju, przy całym szacunku do Polski, nie chcę, żeby wyjeżdżali do was. Mam dwóch synów i chcę, żeby żyli tutaj. W Zełenskim młodzież zobaczyła swojego kandydata – człowieka, na którego są gotowi oddać głos.

Zełenski to wielki eksperyment. Nikt w Europie nic nie wie o polityku Zełenskim.

A czy w Europie wiedzieliście, że nasi politycy, których popieraliście i którzy w przeszłości wybory wygrywali, są zamieszani w korupcję? Wiedzieliście, że będą okradali armię? Nie śmiejecie się, oglądając obrady naszego parlamentu? Mówią, że Kwartał 95 to cyrk. Kwartał 95 to nudna opera w porównaniu z Radą Najwyższą. Europa pomaga nam w walce z rosyjską agresją i jedyne, o co prosi od pięciu lat, to: „zróbcie proszę reformy". „Zajmijcie się w pierwszej kolejności korupcją". Pięć lat mija i nic. Nasi politycy są przekonani, że jak już zostanie się wybranym, to od razu coś trzeba ukraść. Zełenski jest z innej bajki. Zaskoczy was.

Dmitrij Razumkow jest analitykiem specjalizującym się w kwestiach ukraińskiej polityki wewnętrznej.

eprasa.pl 53cf282579

Miękka emancypacja

Mateusz Kubiak

Minął rok od zmiany władzy w Armenii. Przez cały ten czas Nikol Paszinjan niezmiennie podkreśla, że nie zakłada rewolucji w polityce zagranicznej kraju. Mimo to Erywań stara się zbalansować swoje relacje z Moskwą, co rodzi zauważalne niezadowolenie Kremla.

Gdy w Armenii wybuchła rewolucja, jednym z najczęściej zadawanych pytań było, czy i w jaki sposób zareagują Rosjanie. Pytanie uzasadnione, bo jeszcze pół roku wcześniej Nikol Paszinjan opowiadał się za wyjściem Armenii z Euroazjatyckiej Unii Gospodarczej, zaś sam Kreml co do zasady wrogo odnosi się do zrywów społecznych w swoim sąsiedztwie. Co więcej, w tym konkretnym przypadku chodziło przecież o główny rosyjski przyczółek na Kaukazie Południowym: uzależniony od Rosjan tak militarnie, jak i gospodarczo. Ostatecznie Moskwa powstrzymała się od zdecydowanych reakcji, prowadząc jedynie zakulisowe konsultacje z obiema stronami: dotychczasowymi elitami oraz obozem Nikola Paszinjana. Można przypuszczać, że efektem tych rozmów mogło być nieformalne przyzwolenie Kremla na zmianę władzy w zamian za gwarancje respektowania rosyjskich wpływów przez nową ekipę. Jeżeli rzeczywiście tak było, Rosjanie najpewniej wątpią dziś, do jakiego stopnia ów *deal* zostanie dotrzymany. Armeński rząd, choć przywiązany do „strategicznego sojuszu" z Rosją, głosi bowiem konieczność sanacji kraju, która w wielu przypadkach będzie również uderzać w interesy Wielkiego Brata.

Kłopotliwe rozliczenia

Po pierwsze, nieufność Rosjan budzą walka armeńskiego rządu z korupcją i nadużyciami (również w rosyjskich spółkach) oraz starania na rzecz rozliczenia uprzednich, powiązanych z Moskwą elit. Z perspektywy Kremla działania te mogą po części uderzać w rosyjski wizerunek czy prestiż. Przede wszystkim jednak wskazują one na wprowadzenie w Armenii nowych „reguł gry": grożą więc Rosjanom ograniczeniem dotychczasowych wpływów, mierzonych przy tym również siecią powiązań nieformalnych.

Najgłośniejszym przykładem napięć w tym obszarze pozostaje prowadzone od niespełna roku postępowanie w sprawie krwawo stłumionych protestów wybor-

eprasa.pl 53cf282579

czych w marcu 2008 roku w Erywaniu. Wydarzenia te nie zostały bowiem do tej pory w żaden sposób rozliczone, jeżeli nie liczyć wyroków dla organizatorów rzeczonych demonstracji, w tym samego Paszinjana, który również trafił przed laty do więzienia. W rezultacie pociągnięcie do odpowiedzialności uprzednich decydentów stało się jednym z priorytetów obecnego rządu, pomimo że od początku doskonale zdawano sobie sprawę (czego dowiodły ujawnione w internecie podsłuchy), iż wywoła to sprzeciw Moskwy.

Jeszcze latem ubiegłego roku, przy osobistym zaangażowaniu Nikola Paszinjana, ogłoszono nakaz aresztowania byłego prezydenta Roberta Koczarjana, byłego ministra obrony Mikajela Harutjunjana oraz byłego szefa stołecznego garnizonu Jurija Chaczaturowa. Tak jak przewidywano, w żadnym z wymienionych przypadków nie spotkało się to z aprobatą ze strony Kremla: Koczarjan pozostaje powiązany z rosyjskimi elitami (sam mówi o „chemii" i bliskiej relacji z Władimirem Putinem), Harutjunjan uzyskał jeszcze w 2002 roku rosyjskie obywatelstwo (notabene posiadał je więc nielegalnie, będąc również później ministrem obrony Armenii), zaś Chaczaturow w momencie aresztu pełnił funkcję… sekretarza generalnego Organizacji Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym. W rezultacie rosyjska dyplomacja dała wyraźnie do zrozumienia, że umowna „czerwona linia" została przekroczona. W sprawę zaangażował się zarówno szef MSZ Siergiej Ławrow, jak i Władimir Putin, którego rzecznik poinformował o prywatnym telefonie prezydenta Rosji do Roberta Koczarjana. Choć celem Putina miało być rzekomo tylko złożenie życzeń urodzinowych, to nikt nie miał chyba wątpliwości, że był to zarazem czytelny sygnał dla władz w Erywaniu. Zwłaszcza, że niemal równocześnie rosyjskie media podały też, że w ramach retorsji Rosjanie mogą wycofać się z uprzednio uzgodnionej, preferencyjnie kredytowanej dostawy uzbrojenia do Armenii.

Nowe „reguły gry" grożą Rosjanom ograniczeniem dotychczasowych wpływów w Armenii, w tym również sieci powiązań nieformalnych.

Niezależnie od wspomnianej sprawy dotyczącej wydarzeń z marca 2008 roku, armeńskie służby uruchomiły też postępowanie w kwestii możliwych nadużyć w rosyjskich spółkach-monopolistach: Gazprom Armenia oraz w Kolejach Południowokaukaskich, stanowiących własność Kolei Rosyjskich. Obie te firmy, podobnie jak inne aktywa, zostały przejęte przez Rosjan na szczególnie korzystnych warunkach za rządów poprzedniej ekipy: w tych konkretnych przypadkach w ramach rozliczenia armeńskiego zadłużenia lub w zamian za obietnice inwestycji w infrastrukturę. Począwszy od tego czasu wyżej wymienione spółki, jak się wydaje, funkcjonowały z naruszeniem prawa, dopuszczając się między innymi przestępstw podatkowych.

eprasa.pl 53cf282579

W ubiegłym roku armeńskie służby ogłosiły bowiem, że Gazprom Armenia miał unikać zapłaty kilkunastu milionów dolarów podatku oraz manipulować danymi na temat ilości przesyłanego surowca. Z kolei w odniesieniu do Kolei Południowokaukaskich wciąż bada się możliwość wystąpienia szeregu nadużyć, w tym zaniedbań w realizacji założonego dekadę temu programu inwestycyjnego o wartości ponad pół miliarda dolarów. W rezultacie, jak nietrudno się domyślić, same zainteresowane spółki (lub kontrolujące je koncerny w Moskwie) wyraziły sprzeciw wobec armeńskich działań. Choć dochodzenie wciąż się toczy, to już do tej pory spekulowano na temat możliwości ograniczenia inwestycji przez Gazprom Armenia lub rezygnacji z dalszej działalności w przypadku Kolei Południowokaukaskich. Na jedno lub drugie Erywań nie może sobie zaś dziś bezboleśnie pozwolić.

Niepożądane reformy

Jednocześnie Rosjanie mogą obawiać się także ewentualnego powodzenia zapowiadanych przez Paszinjana reform, które w założeniu powinny prowadzić do wzmocnienia armeńskiej gospodarki, ale także – jej dywersyfikacji. Trzeba bowiem wiedzieć, że przez lata doszło do nieprawdopodobnej wręcz penetracji kraju przez rosyjski kapitał, który zyskał kontrolę choćby nad wspomnianą koleją oraz sektorem gazu, jak również nad produkcją i przesyłem energii (tu akurat poziom uzależnienia został w ostatnich latach ograniczony) lub telekomunikacją. Skalę zjawiska dobrze oddają statystyki: przykładowo jeszcze dziewięć lat temu amerykańscy dyplomaci odnotowywali, że do rosyjskiego kapitału należało aż 500 z 800 największych armeńskich spółek. Co więcej, także obecnie sami Rosjanie „przypominają", że posiadają udziały w nawet 75 procentach wszystkich firm w Armenii. Jeżeli dodać do tego, że także armeńscy oligarchowie-monopoliści siłą rzeczy często bazują na współpracy z Rosją, to wówczas nie może dziwić, że proklamowana przez Nikola Paszinjana „rewolucja gospodarcza" uderza w interesy Moskwy.

Zależność tę obrazuje chociażby energetyka, w której przypadku Armenia nie mogłaby obyć się bez współpracy z rosyjskimi spółkami, dostarczającymi większość gazu, paliw samochodowych oraz całość paliwa jądrowego na potrzeby funkcjonującej w kraju elektrowni atomowej. Co więcej, przez lata Rosjanie przejęli również istotną część infrastruktury: sieć przesyłową i dystrybucyjną gazu (w tym interkonektor Armenia–Iran), szereg elektrowni oraz sieć wysokiego napięcia. W rezultacie, choć część z wyżej wymienionych aktywów została w 2016 roku sprzedana armeńsko-rosyjskiemu oligarsze Samwelowi Karapetjanowi, to poziom uzależnienia energetycznego kraju od Rosji pozostaje bardzo wysoki. Sytuację tę mógłby potencjalnie zmienić deklarowany przez Paszinjana program: deklaracje dynamicznego

eprasa.pl 53cf282579

rozwoju fotowoltaiki w kraju, starania na rzecz zwiększenia dostaw gazu z Iranu (oraz uruchomienia jego tranzytu przez armeńskie terytorium), a także rozmowy z zachodnimi spółkami (a nie tylko z Rosatomem) na temat nowej elektrowni jądrowej.

Patrząc zupełnie przekrojowo, można także wskazywać na ogólną reformę armeńskiej gospodarki i administracji, choć do rzeczywistego rozwiązania systemowych problemów w kraju – zapaści demograficznej, wieloletniego drenażu mózgów czy rozwarstwienia społecznego – wciąż jeszcze daleka droga. Być może więc z perspektywy Moskwy większym zagrożeniem pozostaje rewolucja, która zaszła w myśleniu Ormian o polityce. Choć jeszcze przed ubiegłorocznymi protestami w kraju rozwijało się społeczeństwo obywatelskie, to jednak układ polityczny w Armenii pozostawał raczej zabetonowany.

Mimo zastrzeżeń Moskwa podtrzymuje ścisłą współpracę z Erywaniem: do Armenii w dalszym ciągu trafia rosyjskie uzbrojenie.

Tymczasem doraźnym efektem zmiany władzy wiosną 2018 roku stał się wysyp nowych kandydatów i ugrupowań – tak na poziomie ogólnokrajowym, jak i samorządowym. Z jednej strony sytuacja ta oczywiście utrudnia Rosjanom penetrację armeńskiej sceny politycznej, z drugiej natomiast stanowi niebezpieczny z punktu widzenia Kremla przykład dla Rosjan. O tym zaś, że zmiana, która dokonała się w Armenii, może być także atrakcyjna dla rosyjskiego obywatela, niech świadczy fakt, że w grudniowym głosowaniu na polityka roku wśród czytelników gazety „Wiedomosti" wygrał właśnie Nikol Paszinjan, wyprzedzając między innymi Władimira Putina.

Rosyjska odpowiedź

Na potwierdzenie tezy, że rosyjskie władze nie darzą armeńskich partnerów szczególnym zaufaniem, można przytaczać wiele argumentów. Wskazywać na to mogą brak gratulacji po zwycięstwie Paszinjana w przyspieszonych wyborach parlamentarnych ze strony Moskwy oraz czytelne sugestie rosyjskiego MSZ, wprost wskazującego na potrzebę „przewidywalności, (…) stałości (…) i wzajemnego zrozumienia" w relacjach z Armenią. Jakie zatem działania podejmują w tej sytuacji Rosjanie?

Przede wszystkim, mimo wszelkich zastrzeżeń, Moskwa podtrzymuje ścisłą współpracę z Erywaniem: do Armenii w dalszym ciągu trafia rosyjskie uzbrojenie (w tym nowoczesne myśliwce Su30-SM sprzedane na początku 2019 roku po cenach wewnątrzrosyjskich), oba państwa dyskutują o nowych inwestycjach, zaś Nikol Paszinjan pozostaje jednym z najczęściej rozmawiających z Władimirem Putinem zagranicznych polityków. Dzieje się tak nawet pomimo wysyłanych co pewien czas

eprasa.pl 53cf282579

przez Kreml „sygnałów ostrzegawczych". Wydaje się bowiem, że właśnie w takich kategoriach należałoby odczytywać przywoływany już „prywatny" telefon Władimira Putina do aresztowanego Roberta Koczarjana (powtórzony zresztą przy okazji życzeń noworocznych), nienotyfikowane ćwiczenia rosyjskich wojsk w armeńskim Giumri, które w zeszłym roku wywołały popłoch wśród okolicznych mieszkańców, czy krytyczne wobec Paszinjana publikacje powiązanych z Kremlem mediów.

Jednocześnie nie mniej ciekawe wydaje się to, co można wyłowić z przekazu medialnego na temat rosyjskich prób utrzymania powiązań i kontaktów w „nowej Armenii". W tym kontekście można wskazywać na organizację seminariów ekspercko-politycznych, kuluarowe rozmowy rosyjskich polityków i dyplomatów w armeńskim parlamencie czy podpisanie umowy o współpracy przez putinowską Jedną Rosję z partią Kwitnąca Armenia oligarchy Gagika Carukjana. Najbardziej frapującym projektem wydaje się przy tym powołany do życia jesienią ubiegłego roku Klub Łazariewski – platforma kontaktowa obu państw, nosząca swoją nazwę od ormiańskiej rodziny Łazariewów, szukającej przed stuleciami szans dla swojego narodu właśnie we współpracy z Rosją. Klub funkcjonuje pod przewodnictwem Konstantina Zatulina, wiceprzewodniczącego Komisji ds. Integracji Euroazjatyckiej w Dumie Państwowej i skupia oligarchów, publicystów, polityków oraz inne osoby publiczne. Warto zauważyć, że w strukturach forum szczególnie reprezentowane są albo osoby związane z poprzednio rządzącymi elitami Armenii, albo głoszące jednoznacznie prokremlowskie poglądy. Nie dziwi to jednak, jeśli wziąć pod uwagę, że Zatulin jeszcze w czasie ubiegłorocznej armeńskiej rewolucji oceniał, że dojście do władzy Paszinjana negatywnie odbije się na współpracy obu państw. Co zresztą znamienne, podobny projekt, Klub Gribojedowski, funkcjonował już w Armenii przed kilkoma laty – dokładnie wtedy, kiedy Serż Sarkisjan, wbrew Wielkiemu Bratu, starał się doprowadzić do stowarzyszenia kraju z Unią Europejską.

Na pierwszy rzut oka w relacjach na linii Erywań–Moskwa dzieje się dobrze, jeżeli jednak przyjrzeć się im dokładniej, wówczas widać całe spektrum potencjalnych punktów zapalnych. Armenia pod rządami Nikola Paszinjana najpewniej będzie dalej starała się utrzymać strategiczne wsparcie Rosjan, choć na korzystniejszych niż w przeszłości warunkach. Otwarte pozostaje przy tym pytanie, jak długo taki stan rzeczy będzie się utrzymywać. Wydaje się, że armeńska „miękka emancypacja" spod rosyjskiej dominacji będzie z czasem prowokować Moskwę nie tyle do złagodzenia, ile do zwiększenia nacisku na władze w Erywaniu.

Mateusz Kubiak jest politologiem, pracuje jako analityk rynków energetycznych. Prowadzi blog „Kaukaz Kaukaz", poświęcony wydarzeniom z regionu.

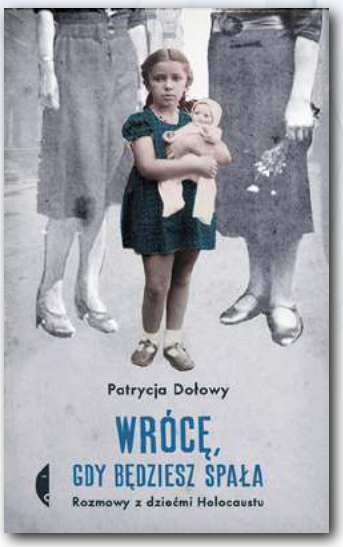
eprasa.pl 53cf282579

REKLAMA

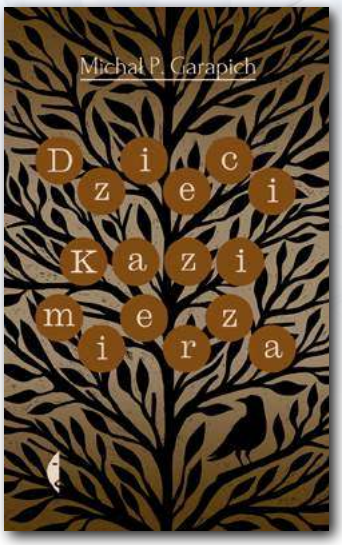
Oblicza Europy



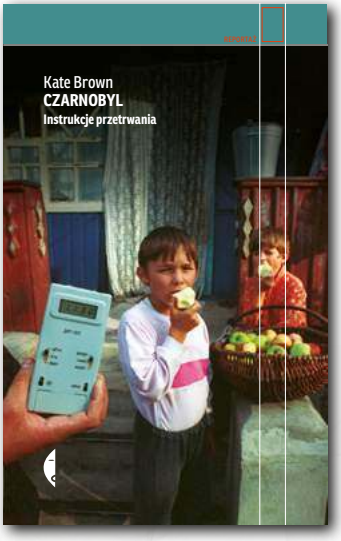
Opowieść o życiu w beskidzkiej wsi. Literacki hołd dla małej ojczyzny



Historie żydowskich matek, przybranych matek i ocalonych dzieci



Jedyna w swoim rodzaju odpowiedź na stwierdzenie „wszyscyśmy z chłopów”

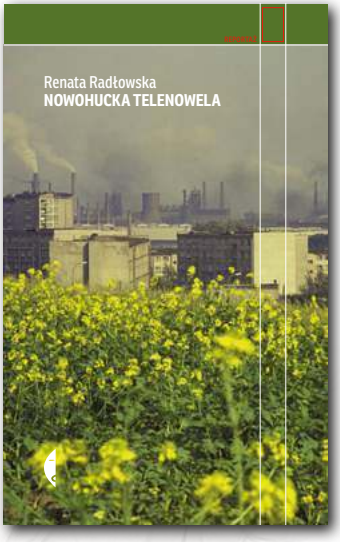


Tł. Tomasz Gałązka

Wstrząsająca i niekończąca się historia tuszowania katastrofy



Rzetelna relacja z polskich misji pokojowych w krajach byłej Jugosławii



Nowe rozszerzone wydanie reportaży z Nowej Huty

PRZEGLĄD POLITYCZNY
CHIDUSZ.COM
SPECIAL OPS
Nowa Europa Wschodnia
CZARNE.COM.PL
eprasa.pl 53cf282579

REKLAMA



XII KONKURS PRAC HISTORYCZNYCH im. Olega Kena

Fascynujesz się najnowszą historią i kulturą?

Bliskie są ci Polska, Rosja, kraje Europy Środkowej i Wschodniej?

Jesteś ciekawym świata studentem lub doktorantem?

Jeśli odpowiedź brzmi TAK, wyślij nam swoją pracę do 31.10.2019 r.

Atrakcyjne nagrody czekają na laureatów!

SZCZEGÓŁY:
sanktpetersburg.polskijinstitut.gov.pl, petersburg@instytutpolski.org

Organizatorzy:

Instytut Polski Sankt Petersburg

Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia

СПбИИ РАН

Актуальная наука Конкурс

Patroni medialni:

New Eastern Europe

Nowa Europa Wschodnia

eprasa.pl 53...

REKLAMA

ŚWIADECTWA POLSKA XX WIEK

MICHAŁ RÖMER

Dzienniki 1911–1945

Świadectwo imponujące – wiele tysięcy stron pokrytych gęstym maczkiem – powstawało codziennie przez 34 lata. A w nim utrwalona wspólna historia Polaków i Litwinów. Autor dzienników, Michał Römer (prawnik, publicysta, działacz społeczny i polityczny, wolnomularz) był postacią znakomitą. Wyprzedzał swój czas, umiał wyjątkowo celnie uchwycić istotę otaczającej go rzeczywistości. Dzięki niemu dziś można zrozumieć polsko-litewskie doświadczenie XX wieku.

6-tomowa edycja dzienników Michała Römera, obejmująca lata 1911–45, przedstawia – obok spraw największej wagi – także codzienność epoki, kwestie społeczne i obyczajowe.

Edycja naukowa ze wstępem dr. hab. Rimantasa Miknysa i prof. dr. hab. Leszka Zasztowta.

TOM 1	TOM 2	TOM 3	TOM 4	TOM 5	TOM 6
1911–1913	*1914–1915*	*1916–1919*	*1920–1930*	*1931–1938*	*1939–1945*



Książki do nabycia w Ośrodku KARTA i księgarni internetowej | ksiegarnia.karta.org.pl
w specjalnej cenie za komplet: 200 zł

E-booki dostępne na portalach ibuk.pl, publio.pl, woblink.pl, virtualo.pl

WYDAWCA

Ośrodek Karta

PUBLIKACJA FINANSOWANA ZE ŚRODKÓW

NARODOWY PROGRAM ROZWOJU HUMANISTYKI

PZU FUNDACJA

eprasa.pl 53cf282579

REKLAMA

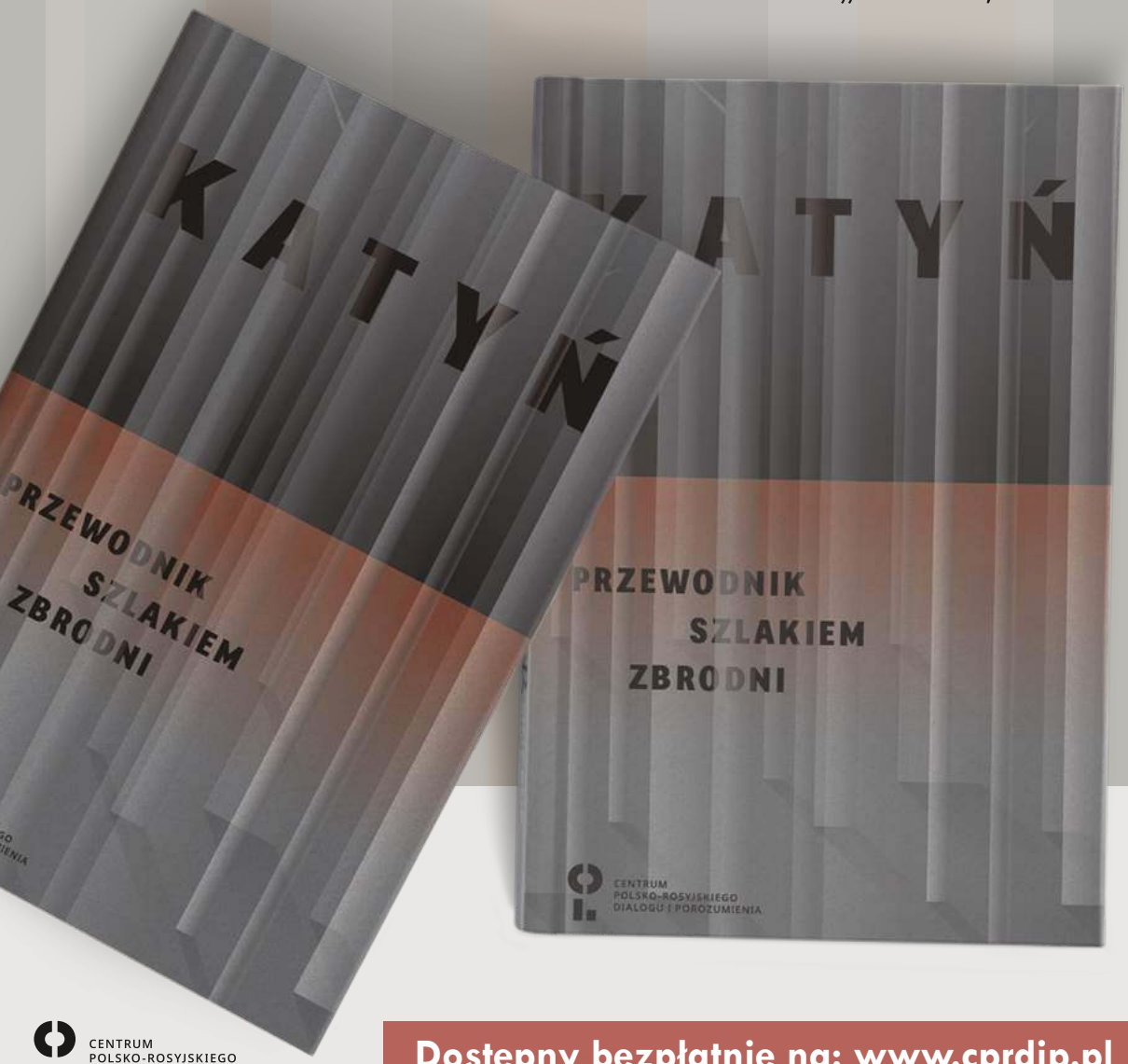
NOWOŚĆ

Opisuje nie tylko Polski Cmentarz Wojenny w Katyniu, ale także historię i geografię Zbrodni Katyńskiej. Publikacja zarówno dla tych, którzy planują wyjazd do Katynia, jak i dla tych, którzy nigdy tam nie pojadą.

To przewodnik inny niż wszystkie.

Katyń. Przewodnik szlakiem Zbrodni – to trafny pomysł. Katyń należy do historii nie tylko Polski, lecz i Rosji. Przewodnik pomoże polskim czytelnikom zrozumieć, w jakim punkcie swojej historii znajduje się współczesna Rosja.

dr Aleksandr Gurjanow, Stowarzyszenie „Memoriał", Moskwa



CENTRUM
POLSKO-ROSYJSKIEGO
DIALOGU I POROZUMIENIA

Dostępny bezpłatnie na: www.cprdip.pl

eprasa.pl 53cf282579

Karabaska sztama

Aneta Strzemżalska

Wznowienie bezpośredniego dialogu pomiędzy zwaśnionymi republikami, wyraźny spadek starć zbrojnych w regionie objętym konfliktem oraz zainicjowanie kontaktów azerbejdżańsko-ormeńskich na poziomie obywatelskim powinny wpłynąć na obniżenie poziomu agresji pomiędzy stronami i budowę wzajemnego zaufania.

Rok 2018 był przełomowy dla Kaukazu Południowego pod wieloma względami. Na pierwszy plan oczywiście wysuwa się armeńska rewolucja. W jej rezultacie doszło do wznowienia zerwanych w 2012 roku działań dyplomatycznych pomiędzy Baku i Erywaniem na rzecz uregulowania konfliktu o Górski Karabach. Od ostatniego lata odbyły się aż cztery spotkania pomiędzy ministrami spraw zagranicznych Armenii Zorabem Mnacakanjanem i Azerbejdżanu Elmarem Mamedjarowem: trzy w 2018 roku (w lipcu, wrześniu i grudniu) i jedno w 2019 roku (w styczniu). Dwukrotnie – podczas Rady Szefów Państw WNP w Duszanbe we wrześniu minionego roku oraz podczas Światowego Forum Ekonomicznego w Davos w styczniu – rozmawiali ze sobą prezydent Azerbejdżanu Ilham Alijew i premier Armenii Nikol Paszinjan.

Rozmowy szefów zwaśnionych republik miały nieformalny charakter i ich szczegóły pozostają tajemnicą. Przełomowy w danej sytuacji może być natomiast fakt, że do oficjalnego spotkania pomiędzy niezwaśniony stronami doszło 29 marca w Wiedniu. Prezydent Ilham Alijew i premier Nikol Paszinjan, mimo braku jednomyślności w sprawie rozwiązania konfliktu, dwie godziny spędzili na rozmowach *têtе â tete*. Czy dają one szanse na rozwiązanie konfliktu w najbliższej przyszłości?

Nowa perspektywa

Restart stosunków pomiędzy zwaśnionymi stronami był możliwy z kilku powodów. Rewolucja armeńska jest najistotniejszym z nich – materializują się w niej zmiany społeczne, jakie zaszły w republice w ostatnich latach. W konsekwentnym dążeniu do wymiany elit politycznych i poprawy sytuacji wewnętrznej swojego kraju Ormianie nie dali się zastraszyć widmem kolejnej otwartej wojny z Azerbejdżanem o Górski Karabach. A warto pamiętać, że karabaski straszak był niejednokrotnie wykorzystywany przez uprzednie władze do neutralizacji niezadowolenia społecznego.

eprasa.pl 53cf282579

Objęcie rządu przez mającego wysoki kapitał społeczny Nikola Paszinjana przydało Armenii geopolitycznej podmiotowości. Trzon nowo utworzonego rządu stworzyli ludzie młodzi (w momencie wybuchu karabaskiego konfliktu w 1988 roku Nikol Paszinjan miał zaledwie trzynaście lat), niewywodzący się z rządzącego do tej pory klanu karabaskiego i nieuwikłani w poradzieckie półlegalne struktury. Zatem początkowo krytycznie nastawione do rewolucyjnych wydarzeń władze w „nowej Armenii" szybko dostrzegły szansę na reaktywację rozmów na temat Górskiego Karabachu. Towarzyszyło im kreowanie lepszego (mniej wrogiego) wizerunku Armenii w azerbejdżańskich mediach, a nawet wizyta robocza bakijskiego dziennikarza w Erywaniu.

Światełko w tunelu dostrzegła również Grupa Mińska, wyspecjalizowana komórka Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie – ważnej regionalnej struktury, skoncentrowanej na zapobieganiu konfliktom w Europie i Azji Środkowej. Grupa Mińska OBWE została powołana w 1992 roku właśnie w celu rozwiązania konfliktu o Górski Karabach. Kraje współprzewodniczące: Rosja (Igor Popow), Stany Zjednoczone (Andrew Schofer) i Francja (Stephane Visconti) wraz z osobistym przedstawicielem do spraw konfliktu karabaskiego przewodniczącego OBWE w Europie (od samego początku funkcję tę pełni Andrzej Kasprzyk) do dziś są głównymi inicjatorami i gwarantami pokojowego dialogu pomiędzy zwaśnionymi stronami.

Koncepcje pokojowe

Zasadniczą zasługą Grupy Mińskiej OBWE jest wynegocjowanie podpisania zawieszenia broni w 1994 roku pomiędzy Azerbejdżanem a Armenią. Niestety końcowe rozwiązanie konfliktu nie zostało osiągnięte, mimo że przez dwadzieścia pięć lat działalności członkowie Grupy wypracowali kilka różnych formatów pokojowych. Najważniejsze z nich – i jednocześnie wzajemnie wykluczające się, bo popierane przez skonfliktowane strony – to pakietowa i etapowa koncepcje zawarcia porozumienia. Obie podkreślają konieczność zaprzestania działań zbrojnych, stawiają na równoległą jedność terytorialną Azerbejdżanu i prawa do samostanowienia Karabachu oraz uwzględniają nierówny status objętych wojną terytoriów, które *de facto* weszły w granice samozwańczej republiki. Mowa tu o samym Karabachu, którego rubieże pokrywają się z utworzonym przez władze radzieckie Nagorno-Karabachskim Obwodem Autonomicznym, zamieszkanym w większości przez Ormian, a także tak zwanymi terenami okupowanymi – siedmioma powia-

Objęcie rządu przez posiadającego wysoki kapitał społeczny Nikola Paszinjana przydało Armenii geopolitycznej podmiotowości.

eprasa.pl 53cf282579

tami otaczającymi Karabach, zamieszkanymi przez Azerbejdżan i do wojny będącymi integralną częścią ich republiki.

Koncepcja pakietowa koncentruje się na określeniu statusu Karabachu na mocy referendum przeprowadzonego po wycofaniu armii armeńskiej i karabaskiej z terytoriów okupowanych wokół Karabachu, z uwzględnieniem ludności azerbejdżańskiej, zamieszkującej Karabach w momencie wybuchu konfliktu. W koncepcji etapowej z kolei nadanie ostatecznego statusu Karabachowi jest uważane za kwestię drugoplanową. Priorytetowe jest natomiast zwrócenie Azerbejdżanowi terytoriów okupowanych wokół Karabachu (oprócz korytarza laczyńskiego łączącego Armenię z Karabachem), powrót uchodźców, a także odblokowanie tras komunikacyjnych (przede wszystkim linii kolejowej z Nachiczewania do Azerbejdżanu) i zniesienie blokady ekonomicznej Armenii.

Rozwiązanie etapowe stało się podstawą tak zwanych zasad madryckich – ramowego planu porozumienia pokojowego, przegotowanego przez Grupę Mińską OBWE i podpisanego przez prezydentów Armenii i Azerbejdżanu w 2007 roku. To właśnie na jego realizację ponownie zaczęła naciskać społeczność międzynarodowa po tym, jak zimą tego roku Azerbejdżan i Armenia zapowiedziały gotowość do wznowienia pertraktacji na najwyższym szczeblu.

Stanowisko Baku

Oficjalne stanowisko Grupy Mińskiej zdaje się bliższe bakijskiemu. O taki werdykt Baku usilnie zabiegało przez ostatnie miesiące. Drobne, acz liczne zmiany wewnątrzustrojowe, a także masowe zwolnienia opozycjonistów przed największym świętem w republice, Nowruzem, pozwalają sądzić, że w Azerbejdżanie mamy do czynienia z czymś na wzór pierestrojki. A stawka jest duża. Pokojowe odzyskanie przez prezydenta Ilhama Alijewa chociażby części terytoriów okupowanych wokół Karabachu zapewniłoby mu ogromny wzrost poparcia społecznego i na długie lata zagwarantowałoby pozycję lidera narodu. Azerbejdżańskie władze proponują zatem, że w zamian za zwrot powiatów wokół Karabachu (podawana jest różna liczba, od trzech do wszystkich siedmiu) gotowi są iść na kompromis i poprzeć wniosek karabaskich Ormian o samostanowienie, ale w ramach symbolicznej jedności terytorialnej Azerbejdżanu. Jedność terytorialna Azerbejdżanu jest zasadniczym warunkiem Baku, akceptowanym przez właściwie całą społeczność międzynarodową (łącznie z Organizacją Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym, którego Armenia jest członkiem, a Azerbejdżan nie).

Inne elementy normowania sytuacji w Karabachu, takie jak powrót uchodźców do Karabachu, nie są przedmiotem obecnych pertraktacji.

eprasa.pl 53cf282579



Biorąc pod uwagę oficjalne stanowisko Erywania i Baku, trudno zakładać, że szybkie rozwiązanie konfliktu O Karabach jest na wyciągnięcie ręki. Niemniej jednak powinniśmy docenić wypracowane do tej pory osiągnięcia. Należą do nich wznowienie bezpośredniego dialogu pomiędzy zwaśnionymi republikami. Prezydent Ilham Alijew i premier Nikol Paszinjan, mimo braku jednomyślności w sprawie rozwiązania konfliktu już kilkakrotnie ze sobą rozmawiali.

President.az (CC BY 4.0) commons.wikimedia.org

eprasa.pl


LD
OMIC
UM
ED TO
HE STATE
ORLD

– Karabach prowadzi swoją wewnętrzną, a nawet zagraniczną politykę, utrzymuje ścisłe kontakty z Armenią oraz innymi państwami regionu, takimi jak Gruzja czy Iran. Czyli *de facto* działa jak niezależny podmiot państwowy – zarysowuje wizję nowej podmiotowości Karabachu redaktor naczelny azerbejdżańskiej Agencji Informacyjnej „Turan" Mehman Alijew. – Z Azerbejdżanem łączy go symboliczna jedność terytorialna oraz dotacje finansowe, w rozmiarze pozwalającym na funkcjonowanie oficjalnych struktur. Do Karabachu wchodzą siły rozjemcze państw postronnych, niezaangażowanych bezpośrednio w konflikt (nie może być to między innymi Rosja, Turcja), pod auspicjami OBWE. Żadne z nich nie mogą przekraczać 30 procent całości międzynarodowych sił pokojowych – dodaje specjalista, zapewniając, że swoją wiedzę czerpie z kręgów bliskich głowie państwa.

Stanowisko Erywania

Dla Erywania z kolei jakakolwiek ugoda z Baku, zakładająca pozostanie Karabachu w formalnych granicach Azerbejdżanu lub zwrócenie postrzeganych jako strefa buforowa terytoriów okupowanych wokół Karabachu, do niedawna nie wchodziła w rachubę. Warto pamiętać, że dwaj prezydenci: Lewon Ter-Petrosjan (1991–1998) i Serż Sarkisjan (2008–2018), którzy dopuszczali taki scenariusz – pierwszy otwarcie, pertraktacje drugiego do dziś są owiane tajemnicą – stracili posady. Prowadzenie wspomnianych we wstępie rozmów pokojowych może wskazywać na zmianę tego stanowiska.

Działania rządu Nikola Paszinjana w sprawie Karabachu jak na razie są dość asekuracyjne. Premier i część jego najbliższego otoczenia przyznają, że Armenia otrzyma możliwość rozwoju politycznego i ekonomicznego tylko wtedy, kiedy upora się z konfliktem karabaskim i tym samym uniezależni od rosyjskiego protektoratu. Niemniej jednak do tej pory premier uciekał od oficjalnych deklaracji, że zgadza się na proponowany przez Grupę Mińską scenariusz pokojowy. Jako alternatywę proponował zmianę formatu negocjacji, polegającą na ponownym włączeniu do procesu pokojowego strony karabaskiej. Próby przełożenia odpowiedzialności za prowadzenie negocjacji karabaskich z premiera na inny podmiot na dzień dzisiejszy zostały odrzucone przez Grupę Mińską. Jednak lobbowanie tego pomysłu pomogło politykowi zyskać na czasie i przekonać do swojej osoby karabaskie władze. Teraz przyszedł czas na wypracowanie konsensusu w erywańskich elitach politycznych.

Rosja, prowadząc bliską współpracę z obiema kaukaskimi republikami, w dalszym ciągu jest głównym rozdającym karty w regionie.

eprasa.pl 53cf282579

Politolog Stepan Grigorjan wątpi, by stanowisko Grupy Mińskiej podzielała duża część armeńskiej sceny politycznej, a nawet jeśli tak jest, to z obawy o podważenie swojej pozycji będą woleli uniknąć otwartych deklaracji.

– Ośrodek decyzyjny polityki międzynarodowej Armenii jest oparty na kilku filarach – oprócz najważniejszej osoby w republice, premiera, są to minister spraw zagranicznych, pierwszy doradca premiera, a także zastępca premiera – wylicza ekspert. – Nowa władza nie może także bagatelizować wpływów poprzedniej ekipy rządzącej. Były prezydent Robert Koczarjan (1998–2008), druh prezydenta Władimira Putina, został co prawda aresztowany, ale siły oddziaływania gorących zwolenników niepodległego Karabachu w Armenii nie można bagatelizować – kontynuuje Grigorjan.

Powściągliwość premiera nie wynika jedynie z wewnątrzrepublikańskiego układu sił. Okoliczności wycofania się z życia publicznego byłego prezydenta Serża Sarkisjana po raz kolejny udowodniają, że armeńskie elity polityczne są zakładnikami społeczeństwa, którego przedstawiciele nierzadko i dobrowolnie gotowi są oddać życie w imię idei „Wielkiej Armenii". Wiceszef National Defense Research University of Armenia Benjamin Pogosjan zauważa jednak, że wyjście z impasu gospodarczego stało się najważniejszym punktem w walce o fotel premiera podczas ostatnich wyborów parlamentarnych.

– W grudniu ubiegłego roku społeczeństwo świadomie wybrało opcję polityczną, która rozwój państwa przedkłada nad kwestie terytorialne. Teraz bardzo dużo będzie zależało od polityki informacyjnej państwa oraz stopnia zaufania do obecnych władz. Jest to czynnik wprost proporcjonalny do poprawy stopy życiowej obywateli – konkluduje politolog.

Rosja w grze

Warto jeszcze zwrócić uwagę na pozycję Moskwy. To, że jest ona kluczowym członkiem Grupy Mińskiej OBWE, nie znaczy, że szczerze dąży do rozwiązania konfliktu karabaskiego. Aktywność Rosji w ramach struktur europejskich wynika przede wszystkim z chęci utrzymania kontroli nad procesem negocjacyjnym i możliwości realizacji takich scenariuszy, które są jej najbardziej na rękę. Kontrola regionu jest szczególnie ważka w obliczu większego zaangażowania krajów zachodnich (w szczególności USA i Niemiec) w kaukaskie problemy po zmianie władzy w Armenii.

Wielu armeńskich i azerbejdżańskich ekspertów zgadza się co do kwestii, że Kreml dąży jedynie do zmiany *status quo* Karabachu, a nie ostatecznego rozstrzygnięcia problemu. Plan Ławrowa, zakładający ustępstwa terytorialne ze strony Armenii na korzyść Azerbejdżanu, miał na celu przekupić Baku, by dołączyło do krem-

eprasa.pl 53cf282579

lowskich sojuszy wojskowych (Organizacja Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym) i/lub ekonomicznych (Euroazjatycka Unia Gospodarcza). W podzięce za „pośrednictwo" Rosja miała wprowadzić na „sporne terytoria" swoje „siły pokojowe". Armeński analityk Stepan Safarjan uważa, że Azerbejdżan był o krok od zawarcia porozumienia z Moskwą.

– Alijew był skłonny podpisać plan Ławrowa i zostać członkiem OUBZ w zamian za gwarancje, że Karabach nigdy nie będzie niepodległym państwem – mówi armeński analityk. – Nie otrzymał ich jednak.

Chociaż plan Ławrowa ostatecznie spalił na panewce podczas armeńskiej rewolucji, Rosja nie zrezygnowała ze swoich wpływów na Kaukazie. Mehman Alijew zaznacza, że relacje rosyjsko-azerbejdżańskie rozwijają się zgodnie z oczekiwaniami Moskwy (w sferach ekonomicznej, bezpieczeństwa i militarnej) i w ostatnim czasie stały się jeszcze bardziej partnerskie, a nie konfrontacyjne. Także początkowo bojowo nastawiony Nikol Paszinjan kontynuuje wyznaczoną przez byłego prezydenta Serża Sarkisjana politykę. Poprawne relacje z Moskwą zwiększają szanse Erywania na rozwój karabaskich wydarzeń zgodny z jego interesami. Z kolei Rosja, prowadząc bliską współpracę z obiema kaukaskimi republikami w dalszym ciągu jest głównym rozdającym karty w regionie.

Biorąc pod uwagę oficjalne stanowisko każdej ze stron, trudno zakładać, że szybkie rozwiązanie konfliktu jest na wyciągnięcie ręki. Niemniej jednak powinniśmy docenić wypracowane do tej pory osiągnięcia. Należą do nich wznowienie bezpośredniego dialogu pomiędzy zwaśnionymi republikami, wyraźny spadek starć zbrojnych w regionie objętym konfliktem (w tym mniejsza liczba ofiar śmiertelnych), zainicjowanie nowej polityki medialnej i historycznej oraz zarodki „dyplomacji narodowej" mającej na celu reaktywację kontaktów azerbejdżańsko-armeńskich na poziomie obywatelskim.

Realizacja tych działań w wymiernym czasie powinna wpłynąć na obniżenie poziomu agresji pomiędzy stronami i budowę wzajemnego zaufania. Jeśli sytuacja dalej będzie rozwijać się w tym kierunku, na horyzoncie pojawi się światełko nadziei, że wojna karabaska zostanie zażegnana. Póki co jeszcze go nie widać.

Aneta Strzemżalska jest antropolożką kulturową, specjalizuje się w społeczno-politycznych procesach na Kaukazie Południowym. Współpracownik naukowy Uniwersytetu Europejskiego w Sankt Petersburgu.

eprasa.pl 53cf282579

Miesiąc miodowy już się skończył

Bartłomiej Krzysztan

Zbyt wiele wydarzeń określano za wcześnie mianem rewolucji. Stagnacja w Mołdawii, Kirgistanie, a także niejednoznaczna w ocenie sytuacja Gruzji kilkanaście lat po „rewolucyjnej zmianie" skłaniają do ostrożniejszej oceny wydarzeń w Armenii.

Niewątpliwie to, co wydarzyło się w Armenii wiosną 2018 roku, nosiło znamiona rewolucji. Świadczą o tym przede wszystkim nagłość i zaskoczenie towarzyszące marszowi Nikola Paszinjana z Giumri do Erywania. Z pewnością również masowość i oddolność obywatelskiego nieposłuszeństwa w połączeniu z dynamiką i rewolucyjnym poczuciem czasu, o którym opowiadali zaangażowani uczestnicy wydarzeń, pozwalają na splecenie rzeczywistości z teorią. Nie zagłębiając się zbytnio w zróżnicowane i często sprzeczne rozważania nad istotą rewolucji, trzeba również dodać, że niespodziewany i pokojowy upadek, wydawałoby się, skonsolidowanego systemu oligarchicznego na rzecz ruchu postulującego demokratyzację i oczyszczenie życia publicznego, spełnia definicję rewolucji. Przynajmniej na tym poziomie aksamitna rewolucja w Armenii była odwróceniem wcześniejszego porządku.

Jest jeszcze kwestia zmiany mentalności społeczeństwa. Obywatele Armenii od prawie dwóch dekad pogrążali się w apatii. Nie widząc możliwości innej polityki, zgadzali się na kontynuację skorumpowanego systemu rządów grup interesu skupionych wokół Republikańskiej Partii Armenii. Poziom frustracji osiągnął punkt krytyczny wraz z decyzją Serża Sarkisjana o przyjęciu teki premiera po zakończeniu mandatu prezydenckiego. To przekształciło kumulowane przez lata pokłady apatii i frustracji w zaangażowaną dezaprobatę i szybką zmianę władzy. Nie ulega wątpliwości, że kilka tygodni wiosny 2018 roku miało rewolucyjny charakter. Perspektywa roku pozwala jednak na rewizję konsekwencji tamtego zrywu.

Demokratyczna wysepka

Rewolucja w Armenii wydarzyła się, pozornie, w najmniej spodziewanym momencie. W kwietniu 2017 roku Republikańska Partia Armenii wraz z przybudów-

eprasa.pl 53cf282579

kami – partią oligarchy Gagika Carukjana oraz Armeńską Federacją Rewolucyjną, zapewniły sobie stabilną większość w parlamencie. Moment nie był przychylny również w kontekście sytuacji międzynarodowej. Najbliżsi sąsiedzi Armenii – Turcja, Azerbejdżan, Rosja, a także po części Gruzja, pogrążają się stopniowo w coraz mocniejszych autorytaryzmach.

Jednocześnie populistyczny zwrot ku skumulowanej, suwerennej władzy silnej jednostki widać w szerszej przestrzeni Europy Środkowej i Wschodniej, a także w Azji Centralnej.

Zatem sam czas miał znaczenie dla pozytywnego odzewu, z jakim rewolucja spotkała się na Zachodzie. Armenię określono światełkiem nadziei w świecie coraz chętniej odwracającym się od demokratycznych wartości. Nie tylko jednak moment uczynił ormiańską wiosnę wyjątkową. Pytanie tylko, czy czyni ją rewolucją w dłuższej perspektywie.

Przede wszystkim rewolucja była pierwszą w przestrzeni posowieckiej, która miała całkowicie oddolny charakter – na ulice wyszli ludzie wykluczeni z uczestnictwa we wcześniejszym systemie władzy.

W Armenii nie zaistniał czynnik wiążący dla kolorowych rewolucji, a więc sprzeciw ze strony reformistycznego skrzydła poprzedniego systemu, ani inicjatywy opozycyjnych polityków. Konsekwencją kolorowych rewolucji była całkowita (przynajmniej na początku) jednostronna zmiana władzy, a w dłuższej perspektywie – stworzenie nowej sieci relacji władzy i grup interesu (w której przynajmniej część dawnego reżimu jednak się odnalazła). W Armenii widać raczej chęć zbudowania społecznego i politycznego konsensusu, który stanowić ma podstawę nowego systemu, a przede wszystkim nowej tożsamości ormiańskiej, opartej na całkowitej zmianie mentalnej.

Nie oznacza to oczywiście oddzielenia przeszłości grubą kreską przebaczenia, czego potwierdzeniem są aresztowania byłego prezydenta Roberta Koczarjana czy Jurija Chaczaturowa, byłego sekretarza generalnego Organizacji Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym. Oskarżenia jednak, co ważne, związane są z protestami w marcu 2008 roku, kiedy w wyniku interwencji wojska na ulicach Erywania zginęło dziesięć osób, a w kraju wprowadzono stan wyjątkowy. Proces i komemoracja w marcu 2019 roku są symboliczne, gdyż tworzą nową państwową mitologię – ze społeczeństwa nie wyklucza się nikogo, poza tymi, którzy podnoszą rękę na jedność narodu.

W poszukiwaniu narodowej zgody

Działanie oparte na poszukiwaniu konsensusu wynika przede wszystkim z doświadczenia. Aksamitna rewolucja nie była jednostkowym przygodnym wydarzeniem, ale konsekwencją ponad trzydziestu lat doświadczenia, którego korzeni trze-

eprasa.pl 53cf282579

ba się doszukiwać jeszcze w Ruchu Karabaskim. Specyfiką armeńskiego systemu po upadku Związku Sowieckiego było cykliczne jednoczenie wokół drażliwych kwestii, w pokojowych i pozbawionych przemocy protestach wokół zagadnień dalekich od kluczowych mechanizmów armeńskiej polityki. Intensyfikacja takich działań nastąpiła w czasie ostatniej dekady pod rządami Sarkisjana. Ormianie, przede wszystkim lepiej wykształceni i sytuowani mieszkańcy Erywania, protestowali przeciwko brakowi polityki ekologicznej, podwyżkom cen prądu (Elektryczny Erywań w 2015 roku), kwestiom pracy i ekonomicznego wykluczenia czy w obronie praw kobiet.

Aksamitna rewolucja była kumulacją tych protestów z wykorzystaniem tych samych narzędzi. Aktywność Paszinjana po odejściu Sarkisjana skupiła się na pertraktacjach pomiędzy parlamentem zdominowanym przez reprezentantów dawnego reżimu oraz społeczeństwem obywatelskim w poszukiwaniu konsensualnego rozwiązania sporu. Dopiero kiedy kontynuacja zmian zapowiedzianych w czasie rewolucji stała się niemożliwa ze względu na opór w parlamencie, Paszinjan zdecydował się na przedterminowe wybory, a więc również zmianę w ramach systemu, a nie rewolucyjne odrzucenie.

Niechęć do zemsty

Współpracownicy i doradcy Paszinjana podkreślają, że rewolucja nie miała również personalnego charakteru, ale była sprzeciwem wobec wewnętrznych nadużyć systemu. Sarkisjan był jedynie najbardziej wyrazistym reprezentantem znienawidzonego reżimu. Jednakże apatia i frustracja kumulowane przez lata nie były skierowane wyłącznie przeciwko abstrakcyjnemu establishmentowi (jak miało to miejsce przykładowo w Gruzji). Wynikały one z psychologicznej niechęci Ormian do samych siebie i niemożności stworzenia wydolnego i sprawiedliwego systemu, a także z utrwalanej przez dwadzieścia lat legitymizacji, jaką ormiańskie społeczeństwo nagradzało klientelistyczny system stworzony przez republikanów. Podstawową ideą protestów było zlikwidowanie tego systemu przez „rewolucję miłości i solidarności", a konsekwencją przywrócenie Ormianom godności, jedności i wiary w samych siebie. Paszinjan od samego początku własnej misji (bo tak też postrzega swoją rolę) buduje obraz siebie jako polityka, który reprezentuje wszelkie dobro, przeciwko wszelkiemu złu poprzedniego reżimu. Wychodząc z takiego założenia, wpisuje się w zakładany konsensus i niechęć do zemsty, a jednocześnie

Paszinjan gra w otwarte karty: demokratyzacja – tak, ale na naszych zasadach. Prozachodniość – nie, bo nie przynosi wymiernych rezultatów.

eprasa.pl 53cf282579

zamyka się w antyideologicznym modelu ukształtowanym w ciągu ostatnich dwudziestu lat.

Państwo bez ideologii

Armenia republikanów była państwem pozbawionym ideologicznych sporów, co również czyniło ją wyjątkową w świecie odradzających się radykalizmów. System polityczny przed rewolucją określić można było mianem klientelistycznej fasadowej demokracji, która opierała się na specyficznie ormiańskim naiwnym nacjonalizmie.

Formalnie gospodarka była wolnorynkowa, ale system klanowych i biznesowo-politycznych zależności, brak transparentności i typowy posowiecki oligarchiczny neoliberalizm powodowały jej całkowite zamknięcie. Jednocześnie tendencja neoliberalizmu do harmonijnego współistnienia z systemem autorytarnym świetnie się w Armenii sprawdzała. Fasadowość demokracji objawiała się w formalnie uczciwych wyborach (co potwierdzają kolejne raporty OBWE), niemniej kupowanie głosów i polityczna korupcja nie były postrzegane nawet jako problem, choć definiowały system. Państwo w takiej formie było wszędzie. To wokół sprzeciwu wobec tych nadużyć skonsolidowała się wspólnota rewolucyjna. Sam sukces Paszinjana w dużej mierze wynikał z jego całkowitego odcięcia od wszelkiej ideologii, a więc opierał się na… sprzeciwie bez ideologii wobec braku ideologii. Paszinjan wielokrotnie podkreślał, że odcina się od wszelkim „-izmów". Odrzucenie tradycyjnego, zachodniego pojmowania liberalizmu, socjalizmu czy nacjonalizmu wynikało z jego chęci reprezentowania „dobrych praktyk" przeciwko „złym nawykom", niezależnie od ich ideologicznych korzeni.

Krytycznie oceniana jest otwartość Paszinjana na sugestie ze strony biznesu przy jednoczesnym lekceważeniu głosu aktywistów społecznych, którzy stanowili trzon rewolucji.

Nowa-stara polityka ekonomiczna

Jednakże chęć ucieczki od ideologii nie oznacza, że ideologia finalnie nie dościgne uciekającego. I tak też się stało. Jeszcze w kampanii przed wyborami parlamentarnymi udało się Paszinjanowi trwać przy postawie antyideologicznej, jednak pierwsze decyzje po legitymizacji rewolucji przez wybory w grudniu 2018 roku odsłoniły założenia Paszinjana. Program przegłosowany na początku lutego zakłada przede wszystkim walkę z korupcją jako priorytetowe działanie rządu. Jest to bezpośrednie odwołanie do podstawowego hasła ubiegłorocznych protestów. Najważniejszym in-

eprasa.pl 53cf282579

strumentem tej walki ma być nowo utworzona niezależna instytucja monitorująca przypadki korupcji.

Druga z podstaw nowej ekonomii jest znacznie bardziej niejasna. Wedle niej, rolą rządu jest „czynienie życia obywateli lepszym i kreowanie bardziej korzystnych warunków dla ich szczęścia". Aby to uczynić, obywatele powinni bardziej zaangażować się w życie publiczne przez aktywność ekonomiczną, a rząd powinien sprawiać, że będą mieli bardziej realną możliwość czynienia zmian. Zatem to ludzie są bardziej odpowiedzialni za zmiany, a nie rząd i jego aktywna polityka ekonomiczna. Taki sposób definiowania polityki ekonomicznej nie odbiega od wcześniejszych działań republikanów.

Część ormiańskich analityków zwraca uwagę, że Paszinjan skłania się coraz wyraźniej ku liberalnej wizji odnowy Armenii, w programie, który premier określa mianem „ekonomicznej rewolucji". Program gospodarczy ma opierać się na liberalnym modelu gospodarki, który, zdaniem wielu, wspierając się na abstrakcyjnych koncepcjach, ma skutkować odcięciem się rządu od odpowiedzialności. Jednocześnie Paszinjan wielokrotnie w swoich wypowiedziach dawał do zrozumienia, że bieda nie jest kwestią strukturalną, ale raczej konsekwencją braku aktywności ludzi. Krytycznie w Armenii oceniana jest również otwartość Paszinjana na sugestie ze strony biznesu, przy jednoczesnym lekceważeniu głosu aktywistów społecznych, którzy stanowili trzon rewolucji.

Stawia to pod znakiem zapytania tak chętnie podkreślaną przez premiera solidarność społeczną. Jednocześnie wśród opinii publicznej i ekspertów pojawia się również sporo głosów uznających, że pięcioletni program zasadniczo nie zawiera żadnej konkretnej wizji aktywnej polityki ekonomicznej, a jedynie reakcyjną walkę z zastanymi nieprawidłowościami. Jakkolwiek likwidacja zgubnych konsekwencji dwudziestoletnich rządów republikanów jest koniecznością, ważne jest również opracowanie konkretnego planu zmian, czego w koncepcji Paszinjana nie ma. Zatem ekonomiczna rewolucja zdaje się rewolucją wyłącznie z nazwy.

Pułapka geopolityki

Skupienie się na kwestiach wyłącznie wewnętrznych nie oznacza, że nie przynosi ono pewnych konsekwencji dla polityki zagranicznej. A w niej także objawia się pewna kontynuacja i niechęć wobec odrzucenia przeszłości. Wynika to również z oddolności procesu rewolucji, której konsekwencje można zauważyć w działaniach ekipy Paszinjana. W przeciwieństwie do rewolucji róż czy tulipanów, a także odmiennego w charakterze Euromajdanu, ormiańska rewolucja była praktycznie pozbawiona zewnętrznego wpływu i zaangażowania nieormiańskich ośrodków. Nie

eprasa.pl 53cf282579

dotyczy to wyłącznie Zachodu, ale również państwa najbardziej zainteresowanego, a więc Federacji Rosyjskiej, która wyraźnie potrzebowała czasu na wymyślenie nowej polityki wobec Armenii. Armenia nie zaciągnęła u nikogo długu wdzięczności. Wręcz przeciwnie, w kontekście tendencji ostatnich lat – powolnego, ale coraz wyraźniejszego wycofywania się europejskich i amerykańskich instytucji z kaukaskiej republiki – Armenia pozostawiona sama sobie nie chce i nie może radykalnie zmieniać kursu geopolitycznego. Zachód nigdy nie był zainteresowany faktycznym zapewnieniem bezpieczeństwa Armenii, nigdy też, chociażby w ramach Partnerstwa Wschodniego, nie realizowano na miejscu jakościowych inwestycji, zauważalnych na poziomie społecznym. Rosja, a nawet Iran, a ostatnio również Chiny, są wyraźnie obecne. Nie powinno więc dziwić, że narracja Paszinjana, a także oczekiwania społeczne nie mają nic wspólnego ze zmianą prozachodnią.

Paszinjan od samego początku gra więc w otwarte karty: demokratyzacja tak, ale na naszych zasadach, prozachodniość zdecydowanie nie, bo pragmatyka i doświadczenie nauczyły nas, że nie przynosi to wymiernych rezultatów.

Jednocześnie w wypowiedziach i działaniach premiera wielokrotnie objawiała się niechęć, a także niemożność wobec zmiany polityki zewnętrznej. Podczas spotkań z Władimirem Putinem Paszinjan regularnie powtarza, że rewolucja w Armenii nie miała nic wspólnego z jej pozycją w strukturach Euroazjatyckiej Unii Gospodarczej i innych kierowanych przez Moskwę międzynarodowych stowarzyszeniach. W licznych wywiadach premier podkreśla, że rewolucja była zrywem godności i jej konsekwencją nie będzie na pewno zmiana geopolitycznej strategii Erywania.

Zmiana w Armenii okazuje się znacznie mniej rewolucyjna niż wówczas, gdy Nikol Paszinjan postawił pierwszy krok w swojej kilkunastodniowej wędrówce do Erywania.

Jednakże wewnętrzne działania związane choćby z walką z korupcją wyraźnie wpływają na zewnętrzny odbiór jego polityki. Rola Armenii w Organizacji Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym została mocno ograniczona po aresztowaniu Chaczaturowa oraz po odosobnionym sprzeciwie Armenii wobec propozycji wyboru Stanislava Zasa (szefa Narodowej Rady Obrony Białorusi) na nowego sekretarza generalnego. Wzrastająca izolacja Armenii ma być redukowana przez większe zaangażowanie w prorosyjskie inicjatywy, choćby przez wysłanie regimentu medycznego do Syrii w ramach wsparcia rosyjskich operacji.

Mimo starań Erywania Moskwa nie traktuje Paszinjana i jego ekipy na równi z wcześniejszym reżimem, czego symbolicznym przykładem były publiczne życzenia urodzinowe przesłane oskarżonemu Koczarjanowi przez Putina dzień po wizy-

eprasa.pl 53cf282579

cie Paszinjana w Moskwie. Rosja nadal ma i będzie mieć zarówno strategiczne, jak i biznesowe interesy w Armenii, i to ona w dalszym ciągu dyktuje warunki uzależnionemu od jej wsparcia Erywaniowi.

Paszinjan wyraźnie nie zdaje sobie jeszcze sprawy, a może to mieć dla niego poważne konsekwencje, że polityka zagraniczna jest funkcją polityki wewnętrznej, a całkowite rozgraniczenie, jakie proponuje, jest niemożliwe do osiągnięcia. Sam premier jest również zakładnikiem dwóch kwestii zewnętrznych, które w Armenii niezmiennie regulują wewnętrzne rozgrywki polityczne, a więc kwestii Górskiego Karabachu i relacji z Turcją. Jego otwarta postawa do negocjacji z Azerbejdżanem oraz chęć nowego dialogu z Turcją „bez żadnych wstępnych warunków", już spotkała się z krytyką wśród radykalnych grup weteranów wojny karabaskiej, a nawet polityków jego własnego ugrupowania. Zatem w tym aspekcie paradoks sprowadza się do tego, że nawet gdyby istniała chęć rewolucyjnej zmiany, zbyt wiele okoliczności powoduje konieczność utrzymania *status quo*.

Demony przeszłości

Aksamitna rewolucja nie powinna być z pewnością pozbawiana ogromnego znaczenia, które przyniosła pogrążonej w zapaści Armenii, wypełnionej tkwiącymi w apatii i frustracji, nienawidzącymi samych siebie obywatelami. Rewolucja z pewnością przywróciła Ormianom godność i obiecała budowę solidarnego społeczeństwa. Wiosenny wiatr zmian oraz społeczna niezgoda na przekraczanie granic politycznej przyzwoitości wydają się ożywcze w kontekście światowego kryzysu demokracji.

Jednak po roku rewolucja okazuje się znacznie mniej rewolucyjna niż wówczas, gdy Nikol Paszinjan postawił pierwszy krok w swojej kilkunastodniowej wędrówce do Erywania. Armenia pozostaje zakładnikiem demonów przeszłości – nierozwiązanego konfliktu o Górski Karabach, nieuregulowanych stosunków z Turcją czy niechcianego, a koniecznego sojuszu z Rosją. Jednocześnie powracają również najbardziej destrukcyjne elementy w polityce wewnętrznej – naiwny nacjonalizm czy nastawione na neoliberalne warunki relacje gospodarcze.

W poszukiwaniu wizerunku uniwersalnego lidera Paszinjan wpadł w pułapkę realnej polityki. A coraz wyraźniejsza krytyka sugeruje, że miodowy miesiąc rewolucji już się skończył.

Bartłomiej Krzysztan jest asystentem w Instytucie Studiów Politycznych PAN. Zajmuje się antropologią polityki, pamięcią, tożsamością oraz współczesnymi problemami politycznymi na Kaukazie Południowym i w Azji Centralnej.

eprasa.pl 53cf282579

Pokój musi kiedyś nadejść

Z Szachinem Hadżijewem, azerbejdżańskim dziennikarzem agencji informacyjnej Turan, rozmawia Mateusz Kubiak

MATEUSZ KUBIAK: W lutym spędził Pan pięć dni w Armenii, rozmawiając z miejscowymi politykami i ekspertami. Choć od formalnego podpisania zawieszenia broni mija właśnie ćwierć wieku, to ciężko mi sobie przypomnieć analogiczne inicjatywy... Podobny przypadek miał miejsce w 2005 roku, ale wówczas azerbejdżański dziennikarz odwiedził Górski Karabach, a nie Armenię.

SZACHIN HADŻIJEW: Oczywiście prowadzono już w przeszłości szereg podobnych projektów we współpracy z zagranicznymi grantodawcami czy organizacjami międzynarodowymi: OBWE, Radą Europy… W tym jednak przypadku chodziło o coś innego. To była prywatna, niezależna inicjatywa, którą realizowaliśmy na miejscu, bez zewnętrznego wsparcia.

Można więc mówić o wyjątkowości tego projektu?

W zasadzie tak, ponieważ od pięciu, sześciu lat brak jest jakichkolwiek kontaktów pomiędzy oboma stronami. Oczywiście, relacje azerbejdżańsko-armeńskie wcześniej również były złe, jednak od tego momentu zauważalny stał się dodatkowy regres. Powodem była decyzja polityczna: wcześniej miały miejsce wizyty studyjne, współpraca trzeciego sektora, po czym wszystko zostało wstrzymane. Najbardziej jaskrawym przejawem tej tendencji stała się „wojna czterodniowa" w kwietniu 2016 roku. To był kulminacyjny moment.

Sam pomysł wyjazdu zrodził się jeszcze rok temu, prawda? Rozumiem, że nie było łatwo go zrealizować?

Pomysł pojawił się jeszcze przed zmianą władzy w Armenii, jednak wszystkie potrzebne zgody zostały wydane dopiero po aksamitnej rewolucji. Chcę podkreślić, że potrzeba było kilku miesięcy, by uzyskać stosowne pozwolenie od azerbejdżańskich władz oraz akredytację armeńskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Zgoda ze strony Erywania została zresztą nawet tymczasowo wycofana w związku z przyśpieszonymi wyborami parlamentarnymi. Nie chciano, by moja wizyta przypadła na okres kampanii wyborczej w listopadzie ubiegłego roku.

Czy przez cały ten czas, kiedy starał się Pan o pozwolenie na wyjazd, odradzano Panu podróż?

W sytuacji, w której wizyty obywateli w drugim państwie są zabronione, tak jak

eprasa.pl 53cf282579

ma to miejsce teraz, prośba o pozwolenie na podróż wywołuje zdumienie. Władze pytały mnie, czy zwariowałem, co tak naprawdę mam zamiar robić w Armenii, ale nie dostawałem konkretnej odpowiedzi. Czekałem kilka miesięcy bez żadnej pewności, czy zgoda zostanie wydana.

Koniec końców, udało się, jednak sygnał był czytelny – lepiej, żebym był ostrożny, ponieważ nikt nie będzie za mnie nadstawiał karku. Niezależnie od tego myślę, że w ogóle nie dostałbym pozwolenia, gdyby nie optymizm, jaki zapanował po odsunięciu od władzy Serża Sarkisjana.

Optymizm?

W ubiegłym roku w Armenii i w Azerbejdżanie zrodziły się oczekiwania związane z dojściem do władzy Nikola Paszinjana. Władze w Baku nigdy nie ukrywały swojego nastawienia do poprzedniej ekipy: nazywały Sarkisjana zbrodniarzem wojennym, a jego reżim faszystowską juntą. W Azerbejdżanie pojawiła się nadzieja, że Paszinjan może zaproponować coś nowego, a sam konflikt może zostać rozwiązany w sposób pokojowy.

Czy zatem możemy mówić o szansie na przełom? Pana wizyta w Armenii wpisuje się w obserwowaną aktywizację rozmów pomiędzy obo-ma stronami...

Niestety, jestem dziś sceptykiem. W czasie pobytu w Armenii szukałem odpowiedzi na pytanie, czy zachodzące zmiany objęły również nastroje społeczne. W Azerbejdżanie uważa się, że problemem był Serż Sarkisjan, który nie chciał pokojowego uregulowania konfliktu. Tymczasem mówiłbym o dodatkowej wręcz radykalizacji społeczeństwa – potwierdzali to zarówno politycy, eksperci, jak i zwykli ludzie. W Armenii panuje brak zaufania do Azerbejdżan.

Pytałem również moich rozmówców prowokacyjnie: „Jeśli uznalibyśmy niepodległość Górskiego Karabachu, czy jesteście w zamian gotowi oddać otaczające go terytoria?". Odpowiedź była zawsze przecząca. Zresztą sami ormiańscy politycy mówili mi, że jeśli jakikolwiek rząd w Erywaniu zgodzi się w pierwszej kolejności oddać ziemię, to wówczas nie przetrwa nawet dwudziestu czterech godzin… Jak możemy mówić o uregulowaniu konfliktu, jeśli Armenia wyklucza zwrot okupowanych terytoriów?

Jednak chyba także azerbejdżańskie władze nie przetrwałyby zbyt długo, gdyby pierwsze poszły na ustępstwa względem drugiej strony?

Spójrzmy na to w ten sposób: trzydzieści lat temu postulaty Ormian sięgały przyłączenia Górskiego Karabachu, względnie kwestii niepodległości dla ówczesnej Armeńskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Dziś jednak słyszymy już nawet nie o samym Karabachu, ale również o sąsiednich regionach zajmujących dwukrotnie większą powierzchnię… Oczywiście, że to jest niemożliwe, by jakakolwiek ekipa zgodziła się na niepodległość Górskiego Karabachu, nie mó-

eprasa.pl 53cf282579

wiąc już nawet o niepodległości regionu, poszerzonego o zajęte przez Ormian sąsiednie terytoria.

Czyli mamy pat?

Znajdujemy się w martwym punkcie. Z naszej perspektywy możliwe są jedynie rozmowy na temat określenia przyszłego statusu tego regionu w ramach azerbejdżańskiego państwa. To jednak jest nie do przyjęcia dla strony ormiańskiej.

A dopuszczenie do stołu rozmów przedstawicieli „Republiki Górskiego Karabachu", o czym regularnie wspomina w swoich wystąpieniach Nikol Paszinjan? Czy to mogłoby coś zmienić?

To nie jest problem uczestnictwa w procesie negocjacyjnym. Jeszcze w 1992 roku, kiedy powstała Grupa Mińska OBWE [wówczas KBWE – przyp. M.K.], zapisano, że stronami rozmów pokojowych są Armenia i Azerbejdżan. Ludność Górskiego Karabachu – zarówno ormiańska, jak i azerbejdżańska – jest natomiast stroną bezpośrednio zaangażowaną i również może w nich uczestniczyć. Mimo to władze w Erywaniu mówią wyłącznie o ormiańskiej populacji Karabachu. Pamiętajmy, że Azerbejdżanie stanowili około jednej czwartej ludności regionu w czasie, kiedy doszło do wybuchu konfliktu.

Wracając do Pańskiego projektu z ostatnich miesięcy, jakie pojawiały się wówczas reakcje? Zapewne spotkał się Pan z krytyką obu stron?

Tak, krytyka nadeszła z obu stron, choć w większym stopniu od Ormian. Opinia publiczna w Armenii w większości uznała mnie za azerbejdżańskiego szpiega, część reagowała wręcz panicznie. W tamtejszych mediach nie znalazłem ani jednej pozytywnej oceny mojego projektu, zaś ze strony polityków lub ekspertów padały one wyłącznie w prywatnej rozmowie, nigdy publicznie.

Nikt nie przyznałby się do tego na szerszym forum?

W czasie swojego pobytu w Armenii przeprowadziłem wywiad z jednym z armeńskich parlamentarzystów. Natychmiast oskarżono go o zdradę, jednak tylko dlatego, że wskazał on na potrzebę gotowości do kompromisu po obu stronach. Musiał przedstawić własną wersję wywiadu, byle tylko zachować twarz.

Przytoczę jeszcze jeden przykład: kiedy wyruszałem w podróż, łącznie kontaktowało się ze mną około dwudziestu pięciu armeńskich dziennikarzy. Zainteresowanie ze strony tamtejszych mediów było duże, ale kiedy ostatecznie opublikowano materiały na temat mojego projektu, okazało się, że zawierają one wyłącznie „bezpieczne" dla Ormian treści. Tak, by można było odebrać je jako proormiańskie lub przynajmniej neutralne.

A negatywne głosy w samym Azerbejdżanie?

Tutaj reakcje nie były tak jednoznaczne. Pojawiły się głosy krytyki: wskazywa-

eprasa.pl 53cf282579

no, że mój pobyt w Armenii to w zasadzie akceptacja armeńskiej okupacji, być może mająca również swoje drugie dno… Ale część z moich kolegów dziennikarzy oceniła to przedsięwzięcie pozytywnie. Także w prywatnych rozmowach podkreślali, że być może chcieliby zrealizować podobne w przyszłości.

Zachęcał Pan armeńskich dziennikarzy do analogicznej podróży?

Nie wiem, czy mieli tego typu plany i czy rzeczywiście byli zainteresowani wyjazdem do Azerbejdżanu. Gdy zadawałem to pytanie, w ich odpowiedziach dominowała niechęć. Wskazywali na bezsensowność takiego wyjazdu oraz na kwestie bezpieczeństwa: „Jak mielibyśmy wykonywać swoją pracę, jeśli nie moglibyśmy nawet swobodnie poruszać się po mieście?".

Gdzie zatem szukać szans na porozumienie, choćby w długiej perspektywie? Na czym budować wzajemne zaufanie?

To jest ten sam rodzaj konfliktu jak na Bliskim Wschodzie, pomiędzy Izraelem a Palestyną. W ich przypadku konflikt trwa już siedemdziesiąt lat, ale wciąż brak jakiegokolwiek pomysłu na pokój. Wszystko zawiodło. Z nami jest podobnie – by znaleźć rozwiązanie, potrzeba głębokich przemian.

To znaczy?

Przede wszystkim atmosfera, klimat do rozmów. Powinny pojawić się nowe idee, społeczeństwa obywatelskie w obu krajach muszą być aktywne, musimy zrozumieć, że możemy żyć normalnie – mamy przecież bogatą historię pokojowej koegzystencji. Wcześniej przez setki lat żyliśmy razem, dzielimy mentalność, tradycje, muzykę, kuchnię… Ten „bagaż" z przeszłości powinien stać się bazą dla przyszłych kontaktów. To zajmie wiele czasu, ale ten proces musi kiedyś się rozpocząć.

Może szansą jest nowe pokolenie, urodzone już po „gorącej" fazie konfliktu w latach dziewięćdziesiątych?

Niestety niekoniecznie. Młodsi słyszą przede wszystkim propagandę, która nie pomaga rozwiązać konfliktu w sposób pokojowy. Zazwyczaj mówi się im o tradycyjnej wrogości oraz braku podstaw do porozumienia.

Czy zatem wierzy Pan w pokój?

Tak, to jest możliwe. Będzie o to bardzo ciężko, jednak pokój musi kiedyś nadejść. Prędzej czy później, ale jest to nieuniknione.

Szachin Hadżijew jest dziennikarzem związanym od początku lat dziewięćdziesiątych z agencją informacyjną Turan, uważaną za główne niezależne medium w Azerbejdżanie. Zimą odwiedził Erywań, gdzie przeprowadził wiele wywiadów z ormiańskimi rozmówcami.

eprasa.pl 53cf282579

Hashtag za wolność

Anna Żamejć

O aresztowaniu Mehmana Husejnowa zapomniano. W Azerbejdżanie nie takie rzeczy bowiem już widziano. Ale wkrótce kraj poznał ten znak: „#FreeMehman". Sprawa dwudziestosiedmioletniego blogera za kratkami zatrzęsła azerską polityką.

W Azerbejdżanie wielu ludzi przywykło do polityki wzmożonych represji. Przez ostatnie dwie dekady prawa obywatelskie nie były dla władz priorytetem, a sytuacja pogorszyła się znacząco po ukraińskiej rewolucji na Majdanie. W 2014 roku rząd w Baku, obawiając się zamieszek, postanowił przykręcić śrubę niezależnym organizacjom, aktywistom i dziennikarzom, słowem – każdemu, kto, w dobrej czy złej wierze, krytykował władzę. Na fali aresztowań do więzienia trafiła elita obywatelskich działaczy, polityków opozycji, a nawet reporterów. Większość wyszła dwa lata później dzięki międzynarodowej presji, ale na ich miejsca szybko trafili mniej znani aktywiści, o których świat miał się nie dopominać. Według miejscowych działaczy praw człowieka, do marca 2019 roku, w azerskich więzieniach znajdowała się ponad setka osób, które za kratki trafiły za dysydencką postawę wobec rządu.

Jednym z nich był do niedawna Mehman Husejnow, dwudziestosiedmioletni bloger i fotoreporter. Za granicą mało rozpoznawany, ale w kraju, z niemal półmilionowym audytorium, uchodzący za wpływowego blogera i pogromcę skorumpowanych polityków. W sfingowanym procesie w 2017 roku wlepiono mu dwa lata więzienia. Na wolność miał wyjść na wiosnę tego roku, ale w styczniu postawiono naprędce zmontować dodatkowe zarzuty za rzekomy atak na strażnika więziennego, żeby na wszelki wypadek jeszcze trochę posiedział. Władze liczyły na to, że przekręt ujdzie płazem; w końcu nie pierwszy i nie ostatni raz miałoby się w Azerbejdżanie chyłkiem zatrzymać kogoś za kratkami. Mało kto jednak się spodziewał biegu wydarzeń, które nastąpiły po ogłoszeniu informacji o nowych zarzutach. Sprawa Mehmana Husejnowa miała teraz wywołać w Azerbejdżanie prawdziwe polityczne trzęsienie ziemi.

Uzbrojony w Obiektyw

Mehman Husejnow dorastał w cieniu starszego o trzynaście lat brata Emina Husejnowa, który do czasu prześladowań w 2014 roku był w Baku jednym z czołowych działaczy obywatelskich i obrońców praw dziennikarzy.

eprasa.pl 53cf282579

– Mój młodszy brat miał niespełna piętnaście lat, kiedy po raz pierwszy przyszedł do naszego biura, Instytutu na Rzecz Wolności i Bezpieczeństwa Reporterów – mówi Emin Husejnow, który od 2015 roku sam mieszka na uchodźstwie w Szwajcarii. – Na początku pomagał w produkcji lekkich treści, organizował z naszymi współpracownikami flash moby i inne rozrywkowe wydarzenia. Szybko jednak pojął, że dla ludzi ważniejsze od realiów politycznych są kwestie socjalne.

Młodego Husejnowa zafascynował aparat fotograficzny i kamera, które wkrótce stały się jego podstawowymi narzędziami pracy.

Po raz pierwszy został na krótko zatrzymany w czerwcu 2012 roku po konkursie Eurowizji w Baku, na którym zasłynął materiałami ukazującymi brutalność policji. Tydzień później sam został oskarżony o napaść na funkcjonariusza z użyciem… aparatu.

– Wszczęto przeciwko niemu postępowanie za rzekome pobicie. Dobre sobie! Mehman miał powalić funkcjonariusza służb specjalnych, który wyglądał jak Robocop – wspomina Emin.

Zarzuty stały się jednocześnie pretekstem do zakazu wyjazdu za granicę i odmowy wydania dokumentów tożsamości. Bez dowodu osobistego i paszportu Mehman stał się de facto więźniem we własnym kraju, choć nikt nie raczył go o tym poinformować. O zakazie podróży dowiedział się dopiero na lotnisku w Baku, w czerwcu 2013 roku, gdy szykował się do wylotu do Norwegii, gdzie miał odebrać nagrodę Grend Bucerius Free Press za wybitną twórczość dziennikarską.

Mehman Husejnow jest może mało rozpoznawany za granicą, ale w kraju, z niemal półmilionowym audytorium, uchodzi za wpływowego blogera i pogromcę skorumpowanych polityków.

Brak możliwości podróżowania nie przeszkodził jednak młodemu Husejnowowi rozwijać pasji.

W 2013 rok Mehman założył alternatywną platformę publicystyczną Sancaq, Agrafkę, z kanałem na YouTubie stroną na Facebooku i kontem na Instagramie, na których publikował fotografie i wideoreportaże na gorące tematy społeczno-polityczne. Z uporem zestawiał pałace skorumpowanych oficjeli z biedą zwykłych mieszkańców. W jednym z materiałów ujawnił, że pracownicy, zatrudnieni do budowy wartej kilka milionów dolarów willi posła, nie otrzymali połowy wynagrodzenia. Dopiero po publikacji reportażu wypłacono im zaległe należności.

– Dzięki Agrafce połowa ludzi w Azerbejdżanie rozpoznawała Mehmana. Nie zajmował się tradycyjnym dziennikarstwem śledczym w prasie, ale za to jego materiały wideo na YouTubie potrafiły przyciągnąć prawie pięciomilionową widownię.

eprasa.pl 53cf282579



Instytut na Rzecz Wolnosci i Bezpieczenstwa Reporterow

Zapytany o to, jak zmienił się Azerbejdżan pod jego nieobecność, Mehman Husejnow odparł, że, choć system polityczny jest, jaki był, pozytywna transformacja nastąpiła w samym społeczeństwie: zaczęto głośniej i odważniej domagać się swoich praw.

Prostym językiem mówił o korupcji na szczytach władzy i nepotyzmie – opowiada Emin Husejnow.

Młody bloger nadepnął na odcisk wielu wysoko postawionym oficjelom i najwyraźniej w końcu ktoś stracił cierpliwość. Wszak w autorytarnym Azerbejdżanie wytykanie rządzącym korupcji było i jest niebezpiecznym zajęciem.

9 stycznia 2017 roku w biały dzień w centrum Baku nieumundurowani funkcjonariusze wepchnęli Mehmana wprost z ulicy do samochodu. Blogera zwolniono następnego dnia z mandatem w wysokości stu euro za stawianie oporu policji. Roztrzęsiony opowiadał potem dziennikarzom o brutalnym przesłuchaniu i torturach, których doświadczył na komisariacie. W odpowiedzi prokuratura nieoczekiwanie postawiła mu zarzuty zniesławienia funkcjonariuszy. Niecałe dwa miesiące później w naprędce przygotowanym procesie Mehmana Husejnowa skazano na dwa lata więzienia.

Zanim poszedł za kratki, zdążył jeszcze opublikować podszyty satyrą materiał, który łamał kolejny temat tabu.

Po nominacji Mehriban Alijewej, żony prezydenta kraju, na stanowisko pierwszego zastępcy prezydenta, młody bloger przeprowadził uliczną sondę, w której pytał przypadkowych przechodniów, czy gdyby byli dyrektorami firm, również zaoferowaliby swoim małżonkom podobną pozycję. Nie wszystkim jednak było do śmiechu.

Strajk głodowy

O aresztowaniu Mehmana Husejnowa szybko zapomniano. W Azerbejdżanie nie takie rzeczy już widziano, a działalność blogera od lat była ryzykowna.

Sprawa wróciła na nagłówki prasowe dopiero latem 2018 roku, gdy matka Husejnowów poważnie się rozchorowała. Młodemu blogerowi odmówiono wyjścia na przepustkę i wizyty w szpitalu pomimo ciężkiego stanu rodzicielki. Zezwolono mu dopiero na udział w ceremonii pogrzebowej po śmierci matki.

– Aresztowanie Mehmana złamało serce naszej matce: w przenośni i dosłownie. To był dla mojego brata najtrudniejszy moment w trakcie pobytu w więzieniu – mówi Emin Husejnow, który obwinia władze o tragedię rodziny.

Blogerowi zostało wtedy niespełna siedem miesięcy odsiadki. Odliczał czas do 2 marca 2019 roku, który miał być pierwszym dniem wolności.

Tymczasem 26 grudnia 2018 roku niespodziewanie pojawiły się nowe zarzuty. Mehmana oskarżono o rzekome stawianie oporu i atak na strażnika, za które groziło mu kolejne siedem lat za kratkami.

– Zrobili to celowo w Boże Narodzenie, licząc że w Europie i Stanach Zjednoczonych nikt w tym czasie nie będzie miał głowy do tej sprawy. I rzeczywiście, poza

eprasa.pl 53cf282579

nielicznymi oświadczeniami ze strony europejskich instytucji i organizacji pozarządowych nic nie zapowiadało burzliwej reakcji – mówi Emin Husejnow.

Zszokowany nowymi absurdalnymi oskarżeniami, młody Husejnow postanowił wziąć sprawy w swoje ręce i rozpocząć w proteście strajk głodowy.

– W momencie gdy wytoczyli przeciwko mnie nową sprawę kryminalną, to już była dla mnie kwestia pryncypiów. Chciałem przekazać wszystkim, że nie boję się więzienia, mogę jeszcze siedzieć nawet osiem lat. Ale zaniepokoiło mnie coś innego: jeśli nie przeciwstawię się władzy, jeśli nie zrobię nic, aby coś zmienić, to w przyszłości inni więźniowie polityczni mogą znaleźć się w takiej samej sytuacji. Dlatego postanowiłem publicznie zadeklarować, że ta walka wymaga ofiar i ja jestem gotowy taką ofiarę ponieść – opowiada Mehman Husejnow.

Odtąd wydarzenia potoczyły się błyskawicznie.

Fenomen #FreeMehman

– Po tym, jak Mehman ogłosił decyzję o strajku, wiedzieliśmy że musimy mu jakoś pomóc. Znaleźliśmy stary hashtag sprzed dwóch lat, który krążył w sieci po aresztowaniu Mehmana i postanowiliśmy go przywrócić do życia. Pod koniec grudnia rozpoczęliśmy zmasowaną akcję na YouTubie, Instagramie i Facebooku i zaapelowaliśmy do obserwujących Mehmana, aby wrzucali hashtag na strony prezydenta Alijewa i jego córki Leyli – opowiada anonimowy kolega blogera, jeden z architektów kampanii w mediach społecznościowych na rzecz uwolnienia Mehmana.

Sukces akcji przekroczył wyobrażenia jej twórców i przeszedł do historii azerskiego internetu.

Tylko w ciągu jednego dnia doliczono się blisko 15 tysięcy komentarzy z użyciem hashtagu na Instagramie i Facebooku. Wolontariusze i administratorzy stron pierwszej rodziny nie nadążali z usuwaniem postów. W trakcie dwóch tygodni #FreeMehman miał dotrzeć nawet do miliona użytkowników.

– Ludzie zrozumieli, że bez ich pomocy Mehman jeszcze długo z więzienia się nie wydostanie, więc coraz więcej osób postanowiło dołączyć i zachęcić do tego samego znajomych. Kampania zaczęła żyć własnym życiem – opowiada jeden z jej twórców.

Udział w akcji wzięło wielu celebrytów, a nawet biznesmenów, którzy do tej pory stronili od publicznych komentarzy na polityczne tematy. W ich ślad poszło tysiące młodych ludzi. Jednym z nich był Kenan, dwudziestopięcioletni student, który po raz pierwszy zdecydował się zabrać głos na Facebooku w sprawie więźnia politycznego.

– Władze przeholowały z tymi nowymi zarzutami. Wszyscy wiedzieli, że te dwa lata więzienia były całkowicie nielegalne, a teraz jeszcze próbowali przedłużyć mu

eprasa.pl 53cf282579

odsiadkę. Tego już było za wiele! Mehman to super gość, brakuje mi jego postów – opowiada Kenan, tłumacząc, dlaczego zaangażował się w kampanię.

W bezprecedensowym akcie solidarności blogera postanowili również wesprzeć inni więźniowie polityczni. 13 stycznia pięciu uwięzionych aktywistów rozpoczęło strajk głodowy i ogłosiło, że go nie przerwą, dopóki władze nie wycofają się z zarzutów wobec Mehmana Husejnowa.

Wtórowali im strajkujący w siedzibie opozycyjnej partii Musawat, gdzie do głodówki przyłączyli się byli więźniowie polityczni, tacy jak aktywista Tofik Jakublu czy dziennikarka śledcza Chadidża Ismajlowa.

Kulminacją kampanii była demonstracja 19 stycznia w Baku, w której (zdaniem niezależnych mediów wzięło udział ponad 20 tysięcy osób) domagających się uwolnienia blogera i pozostałych więźniów politycznych. W kraju, gdzie protesty opozycji przyciągają zwykle nie więcej niż dwa–trzy tysiące ludzi, była to niespotykana liczba.

– Solidarności na taką skalę nie widzieliśmy w Azerbejdżanie od ponad ćwierćwiecza – mówi Emin Husejnow.

Wtóruje mu młody aktywista i członek prodemokratycznej organizacji N!DA Nedżmin Kamilsoj, który w przypadku Husejnowa widzi nadzieję na zmiany:

– Kwestia więźniów politycznych nigdy nie była gorącym tematem dla większości społeczeństwa, ale sprawa Mehmana odwróciła ten trend – mówi Kamilsoj.

W ślad za miejscową reakcją szybko poszła międzynarodowa. Oświadczenia wydało wiele organizacji pozarządowych i instytucji, wśród nich Rada Europy i Parlament Europejski, który uchwalił rezolucję w sprawie Mehmana Husejnowa w kontekście pogarszającej się sytuacji praw człowieka w Azerbejdżanie z rekordową liczbą 533 głosów.

Sukces akcji solidarności z aresztowanym Husejnowem przekroczył wyobrażenia jej twórców i przeszedł do historii azerskiego internetu.

Przy tak dużej presji władze w Baku nie miały wielkiego pola manewru. W odpowiedzi na protesty prezydent Ilham Alijew zaapelował do prokuratury o przeprowadzenie „obiektywnego i rzetelnego dochodzenia." Dzień później śledczy ogłosili, że zarzuty wobec blogera zostały wycofane.

Skala kampanii #FreeMehman musiała zaskoczyć władze, choć oficjalnie nikt się do tego nie przyznał. Samad Sejidow, deputowany proprezydenckiej partii rządzącej i szef delegacji Azerbejdżanu w Zgromadzeniu Parlamentarnym Rady Europy uważa, że reakcja międzynarodowa była na wyrost.

– Sprawa Husejnowa to był po prostu incydent, który mógłby wydarzyć się każdemu. Tymczasem przedstawiono to jako rzekomo świadomą politykę Azerbejdżanu, by wywołać napięcie w stosunkach z Europą – uważa poseł.

eprasa.pl 53cf282579

W stronę liberalizacji?

Mehman Husejnow wyszedł na wolność 2 marca.

– Myśleli, że jeśli posadzą mnie za kratki, wystraszą wszystkich pozostałych i położą kres mojej pracy. Ale po moim aresztowaniu pojawili się nowi blogerzy i dziennikarze. Aresztowali jednego Mehmana, a w zamian pojawiło się stu – mówi bloger.

Zapytany o to, jak zmienił się Azerbejdżan pod jego nieobecność, Husejnow odparł, że choć system polityczny jest, jaki był, pozytywna transformacja nastąpiła w samym społeczeństwie: zaczęto głośniej i odważniej domagać się swoich praw.

– Dziś jestem na wolności dlatego, że ludzie pokazali rządzącym, że nie śpią i są gotowi na wszystko, by wreszcie kraj wkroczył na drogę demokracji – mówi Husejnow.

Zmieniać wydaje się podejście władzy do ludzi. W ostatnich tygodniach prezydent Ilham Alijew najwyraźniej postanowił ocieplić swój wizerunek. Rozpoczął podróż po regionach Azerbejdżanu i spotkania z mieszkańcami, czyta listy od obywateli i coraz częściej i więcej przemawia. Wydał również długo oczekiwany dekret o wypłacie kompensacji w wysokości 3 tysięcy dolarów dla rodzin poległych w czasie wojny z Armenią o Górski Karabach. W tym samym czasie rząd zajął się polityką socjalną: o blisko 40 procent podwyższono minimalną emeryturę (z 68 dolarów do 95 dolarów) i pensję (z 76 dolarów do 105 dolarów). I najważniejsze: zapowiedziano, że państwo pomoże spłacić część długów obywateli, które znacząco wzrosły w wyniku dwukrotnej dewaluacji w 2015 roku. Pierwszy podpisy w tej sprawie zbierał zresztą opozycyjny REAL, który twierdzi, że rząd przejął ich oryginalny pomysł.

Prezydent stwierdził, że walkę polityczną lepiej toczyć pod dachem parlamentu niż na ulicy. Względnie uczciwe wybory i poprawa wizerunku w kraju i za granicą bardziej opłaca się władzom niż sfałszowane głosowanie.

Wreszcie zaskoczenie wywołała marcowa amnestia, która objęła rekordową liczbę pięćdziesięciu jeden osób „listy więźniów politycznych" przygotowanej przez miejscowych działaczy praw człowieka. Tym samym liczba więzionych za krytyczną postawę wobec władz spadła do około siedemdziesięciu, czyli najmniej od lat. Wielu upatruje w tym echa sprawy Mehmana Husejnowa, która mogła utorować wielu pozostałym aktywistom drogę do wolności.

W opinii bakijskiego analityka z dostępem do wysokich szczebli władz, ostatnie decyzje w sferze politycznej i socjalnej to nieprzypadkowe działania.

– Prezydent zaczął słuchać tych, którzy od dawna doradzali mu obranie kursu na *soft power*. Osobiście śledzi komentarze na Facebooku, obserwuje opinię publiczną

eprasa.pl 53cf282579

i wierzy, że polityka siłowa wobec dysydentów nie spełnia zadania – tłumaczy analityk, prosząc o anonimowość.

Aktywista Nedżmin Kamilsoj poza kontekstem lojalnym wskazuje również na czynnik geopolityczny.

– Zmiana w polityce socjalnej i wizerunkowej rządu wiąże się z trzema wydarzeniami: po pierwsze, po demokratycznych przemianach w Armenii nasz rząd musi nadrobić straty wizerunkowe. Po drugie, trwają negocjacje z Unią Europejską w sprawie nowego dokumentu o partnerstwie i władza nie chce, aby protesty w kwestiach socjalnych mogły sprawiać wrażenie naruszenia stabilności. Po trzecie, ważną rolę odegrały również bezprecedensowe protesty w sprawie Mehmana Husejnowa – mówi Nedżmin Kamilsoj. Dodaje jednak, że trudno na razie mówić o głębszej transformacji: – Podwyższenie płac czy pomoc w spłacaniu pożyczek to jeszcze nie reformy. Należy zastanowić się, dlaczego ludzie potrzebują tych kredytów i czy mogą wyżyć do końca miesiąca z pensji, które dostają. Reformy powinny być systematyczne i kompleksowe, a dotychczasowe działania, które podejmuje rząd, nie rozwiążą problemów.

Zdaniem analityka i sekretarza partii Real Natiga Dżafarli, nowa polityka władz wskazuje na przygotowanie do wyborów parlamentarnych, które planowo mają odbyć się jesienią przyszłego roku, choć coraz częściej słychać plotki o możliwości przedterminowego głosowania jeszcze w 2019 roku.

– Prezydent i jego ekipa szykują się na wybory, które mogą się dość silnie różnić od poprzednich i być mniej lub bardziej normalne – zapowiada Dżafarli. I dodaje: – Prezydent doszedł do wniosku, że walkę polityczną lepiej prowadzić pod dachem parlamentu niż na ulicy. Przeprowadzenie względnie uczciwych wyborów i co za tym idzie poprawa wizerunku w kraju i za granicą bardziej opłaca się władzom niż sfałszowane głosowanie. Poza tym prezydent wiele nie ryzykuje: po ostatnich zmianach konstytucyjnych i tak ma prawo rozwiązać parlament w dowolnym momencie.

Niezależnie od kursu, jaki obierze władza, bloger Mehman Husejnow obwieścił powrót do blogowania i większe zaangażowanie w temacie więźniów politycznych.

– Proponowano mi wyjazd z kraju, rzucenie działalności. Ale na wszystko odpowiadałem nie. Jeśli chcę dobra dla swojego kraju, muszę kontynuować walkę przeciwko skorumpowanym oficjelom i bronić wolności słowa oraz praw człowieka w Azerbejdżanie – zapowiada Husejnow. Dodaje, że pracy w tej kwestii długo będzie jeszcze w ojczyźnie pod dostatkiem.

Anna Żamejć jest dziennikarką specjalizującą się w obszarze Południowego Kaukazu.

eprasa.pl 53cf282579

Walczymy o równość i akceptację

Z Giorgim Tabagarim, organizatorem pierwszej w historii Gruzji parady gejowskiej Tbilisi Pride, rozmawia Wojciech Wojtasiewicz

WOJCIECH WOJTASIEWICZ: W czerwcu odbędzie się pierwsza w historii Gruzji parada gejowska – Tbilisi Pride. Kto i dlaczego zdecydował się na jej organizację?

GIORGI TABAGARI: Bezpośrednią przyczyną było zeszłoroczne doświadczenie związane z Międzynarodowym Dniem Przeciwko Homofobii i Transfobii [dzień obchodzony na całym świecie 17 maja – przyp. red.]. Uznałem, że należy podjąć działania na rzecz zmiany trudnej sytuacji osób nieheteronormatywnych żyjących w Gruzji i ograniczonego zakresu ich praw.

Wraz ze znajomymi aktywistami postanowiliśmy rozpocząć pracę nad koncepcją i organizacją wydarzenia, które nazwaliśmy Tbilisi Pride. Ma mieć ono inny charakter niż nasze zeszłoroczne działania na rzecz równości praw osób nieheteronormatywnych (happeningi w kilku miejscach stolicy Gruzji, w których brały udział niewielkie grupy aktywistów LGBT). Zanim poinformowaliśmy o naszych planach opinię publiczną, przez sześć miesięcy pracowaliśmy nad ideą przedsięwzięcia, nad dokumentami strategicznymi oraz analizowaliśmy uwarunkowania imprezy w kontekście bezpieczeństwa.

Jaki są wasze postulaty? O co chcecie walczyć?

Chcemy walczyć o równość i akceptację dla osób LGBT. Nasze przesłanie w szczególności kierujemy do państwa, do jego instytucji i władz, lecz również do obywateli. W ostatnich latach Gruzja dokonała pewnego postępu w zakresie prawodawstwa dotyczącego równouprawnienia. Jednak państwo zawodzi, jeśli chodzi o wprowadzanie w życie uchwalonych praw i wzięcie odpowiedzialności za akceptację i włączanie osób LGBT do funkcjonowania w społeczeństwie. Poziom większej bądź mniejszej akceptacji społecznej dla grup mniejszościowych nadal pozostawia wiele do życzenia. Obecnie kształtuje się on na poziomie 20–25 procent.

Czy macie również konkretne cele, na przykład wprowadzenie związków partnerskich dla osób LGBT?

Na chwilę obecną nie przedstawiliśmy takich postulatów. Jednak wraz ze zbliżaniem się terminu Tbilisi Pride będzie-

eprasa.pl 53cf282579

my chcieli prezentować różne żądania, chociażby takie jak prawne uznanie płci osób transseksualnych, ochrona uczniów LGBT przed znęcaniem się ze strony rówieśników, dostęp do opieki zdrowotnej dla osób transseksualnych, jak również dla pozostałej części społeczności LGBT. Będziemy prezentowali szeroki wachlarz tematów i problemów, w tym również postulat wprowadzenia związków partnerskich. Najbliższe miesiące chcemy wykorzystać do popularyzowania naszych propozycji wśród społeczeństwa i przedstawicieli władz.

Jednak czy wprowadzenie związków partnerskich dla osób LGBT będzie możliwe? Przy ostatniej nowelizacji gruzińskiej konstytucji parlamentarzyści przegłosowali poprawkę mówiącą o tym, że małżeństwo jest związkiem kobiety i mężczyzny.

Po pierwsze, zmiana ustawy zasadniczej w tej kwestii była zdecydowanie złym krokiem i regresem w zakresie zasady równości. Jednak i wcześniej osoby LGBT nie miały prawa do małżeństw. Wynikało to z przepisów kodeksu rodzinnego. Władze dodatkowo zacementowały ten stan rzeczy wspomnianym zapisem w konstytucji. W związku z tym rozpocząłem kampanię na rzecz wprowadzenia związków partnerskich, najpierw podnosząc tę kwestię wśród członków naszej społeczności, a następnie wśród parlamentarzystów oraz działaczy różnych partii i grup politycznych. Osobną kwestią jest przygotowanie strategicznego pozwu sądowego w sprawie związków partnerskich. Działanie to zostało już rozpoczęte. Jednak nie oczekujemy, że związki partnerskie zostaną wprowadzone w najbliższym czasie. Potrzeba sporo czasu, aby przekonać do tego społeczeństwo, polityków oraz wymiar sprawiedliwości.

Kto finansuje organizację Tbilisi Pride? W jaki sposób zbieracie środki?

Od początku nasza praca ma charakter wolontariatu. Otrzymujemy sporo wsparcia od osób trzecich, które ma różny charakter – przykładowo projektowanie grafiki czy pisanie tekstów. Rozpoczęliśmy również akcję crowdfoundingową polegającą na przyjmowaniu niewielkich wpłat od osób pozytywnie odnoszących się do naszej inicjatywy. Rezultaty są zadowalające, tym bardziej że Gruzja jest krajem, w którym przekazywanie darowizn nie jest zbyt popularne. Ponadto zaaplikowaliśmy do ambasad krajów trzecich w Gruzji oraz do organizacji międzynarodowych o niewielkie granty na organizację przedsięwzięcia. Zatem, jak widać, nasze źródła finansowania są zróżnicowane.

Jakie wydarzenia zaplanowaliście w ramach Tbilisi Pride, które będzie trwało sześć dni, od 18 do 23 czerwca?

Odbędzie się przedstawienie teatralne na podstawie *Przemiany* Franza Kafki z udziałem członków naszej wspólnoty. Jest za nie odpowiedzialna jedna z organizatorek całej imprezy Nino Bolkwadze.

eprasa.pl 53cf282579



OC Media

Giorgi Tabagari: Chcemy walczyć o równość i akceptację dla osób LGBT. Nasze przesłanie w szczególności kierujemy do państwa, do jego instytucji i władz, lecz również do obywateli. W ostatnich latach Gruzja dokonała pewnego postępu w zakresie prawodawstwa dotyczącego równouprawnienia. Jednak państwo zawodzi, jeśli chodzi o wprowadzanie w życie uchwalonych praw i wzięcie odpowiedzialności za akceptację i włączanie osób LGBT do funkcjonowania w społeczeństwie.

Będziemy również gospodarzami konferencji międzynarodowej, poprzedzającej punkt kulminacyjny całego przedsięwzięcia – Marsz Godności. Wydarzenie dotyczyć będzie wyzwań, przed którymi stoją osoby LGBT w Gruzji. Najprawdopodobniej zaprosimy na nią aktywistów z Europy Centralnej i Wschodniej, jak również z Azji Centralnej z uwagi na fakt, że osoby nieheteronormatywne z tej części świata doświadczają podobnych trudności w życiu. Planowane są również pomniejsze wydarzenia.

Dlaczego najważniejszy punkt Tbilisi Pride został określony mianem Marszu Godności?

Ponieważ uważamy, że godność należy się każdemu człowiekowi, a państwo powinno traktować obywateli w sposób podmiotowy. Jest to kwestia, którą chcemy mocno zaakcentować. Równe prawa i wolności są częścią składową godnego życia. Poprzez ten marsz chcemy to z całą stanowczością podkreślić. Demonstracja nie będzie miała radosnego i rozrywkowego charakteru, jak w wielu zachodnioeuropejskich miastach, lecz *stricte* polityczny. Chcemy przekazać nasze postulaty społeczeństwu i politykom. Chcemy być głośni.

Pamiętam pierwszą próbę czegoś na kształt parady gejowskiej w Tbilisi w 2013 roku, chociaż chyba bardziej adekwatnym określeniem byłoby „niewielkie zgromadzenie aktywistów LGBT w centrum miasta". Zostali zaatakowani przez liczną i agresywną kontrdemonstrację. Czy nie obawiacie się o bezpieczeństwo w trakcie Marszu Godności? Jak wygląda wasza współpraca z resortem spraw wewnętrznych? Jak jesteście przez nich traktowani?

Od 2013 roku minęło sześć lat. Od tego czasu dostrzegalna jest pewna poprawa. Nasze działania obecnie popiera nieco większa część społeczeństwa. Wspólnota LGBT jest silniejsza. Istotne, że rząd oświadczył, że bierze odpowiedzialność za bezpieczeństwo osób, które będą uczestniczyły w Tbilisi Pride. Wolność zgromadzeń i manifestowania jest konstytucyjnym prawem każdego obywatela. Będziemy domagać się jego respektowania. Z pewnością będzie to wyzwanie w kontekście rosnących w siłę w Gruzji środowisk radykalnych. Wierzę, że rząd będzie wierny swoim zapewnieniom mówiącym o prowadzeniu kraju na Zachód, gdzie prawa mniejszości są respektowane. Będzie to z pewnością decyzja polityczna władz Gruzji.

Jednak czy nie obawiasz się, że policja nie będzie w stanie zapewnić bezpieczeństwa demonstrantom? Jestem przekonany, że naprzeciwko Marszu Godności stanie liczna kontrdemonstracja, analogicznie do roku 2013, kiedy w centrum Tbilisi pojawiło się około dziesięciu tysięcy ludzi. Czy resort spraw wewnętrznych dysponuje odpowiednią liczbą funkcjonariuszy? Jak przewidujesz, ilu

eprasa.pl 53cf282579

przeciwników Tbilisi Pride pojawi się na ulicach miasta?

Liczba kontrdemonstrantów malała z każdym rokiem, co było widoczne, kiedy organizowaliśmy 17 maja zeszłego roku różnego rodzaju akcje na rzecz równości osób LGBT. Zamierzamy podjąć rozmowy z Gruzińską Cerkwią Prawosławną, a także z rządem, w celu deeskalacji ewentualnych napięć. Cerkiew kilka lat temu ustanowiła 17 maja Dniem Czystości Rodziny. Dlatego postanowiliśmy zorganizować Marsz Godności w innym terminie. Mamy nadzieję, że gruziński Kościół odrobił lekcję z 2013 roku. Warto zwrócić uwagę, że zaufanie do Cerkwi w ostatnich latach spada. Jestem przekonany, że agresja duchownych, którzy stali na czele kontrdemonstracji w 2013 roku, przyczyniła się do tego. Ludzie uświadomili sobie, że nienawiść i agresja nie są tym, w co Kościół powinien być czynnie zaangażowany. Mam nadzieję, że duchowni zrozumieją ten proces i wyciągną odpowiednie wnioski.

Czy możliwe jednak, że w 2019 roku Cerkiew w roli inicjatora osób niechętnych środowisku LGBT w Gruzji zastąpią radykalne siły skrajnie prawicowe? Czy nie uważasz, że przy obecnym negatywnym nastawieniu większości Gruzinów wobec osób nieheteronormatywnych lepiej byłoby zorganizować inny rodzaj wydarzenia niż Marsz Godności na ulicach Tbilisi, by nie wywołać podobnego napięcia jak to sprzed sześciu lat?

Radykalne grupy w Gruzji istnieją i nie przeniosą się poza jej granice. Rzecz jasna, nie jesteśmy szczęśliwi z powodu budowania kapitału politycznego na narracji wymierzonej w osoby LGBT przez te siły. Jednak nasze środowisko nie może się wiecznie ukrywać. Musimy wyjść na ulice, walczyć o równość i należne nam prawa. Naszym głównym celem jest oddziaływanie na państwo. Skrajna prawica nie stanowi problemu tylko dla mniejszości seksualnych, lecz również dla imigrantów, kobiet oraz dla całego państwa. Środowiska skrajnej prawicy grożą nie tylko nam, lecz również funkcjonariuszom państwowym, na przykład policjantom. Rząd powinien w adekwatny sposób reagować wobec grup, które posługują się mową nienawiści. Zarówno osoby LGBT, jak i przedstawiciele skrajnej prawicy żyją w jednym państwie. I my, i oni nie znikną. Musimy potrafić żyć w jednym społeczeństwie i państwo powinno w tym dopomóc.

Wspomnieliśmy o wydarzeniach z 2013 roku. Chciałem rozwinąć ten temat i zapytać o historię ruchu LGBT w Gruzji.

Pierwszą organizacją LGBT w Gruzji była Fundacja Inkluzji, która została założona w 2006 roku. Następnie rozpoczęła swoją działalność Grupa Wsparcia Inicjatyw Kobiecych. Te dwie organizacje były na pierwszej linii frontu w walce o prawa mniejszości seksualnych. Następnie powstały dwa nowe podmioty – Identoba i Ruch Równości. Jedne organizacje po-

eprasa.pl 53cf282579

jawiały się, a drugie kończyły swoją działalność. Obecnie najbardziej prężnymi podmiotami są Ruch Równości, Grupa Wsparcia Inicjatyw Kobiecych oraz Tbilisi Pride. W ostatnich kilkunastu latach nasze grupy się wzmocniły. Organizujemy różnego rodzaju wydarzenia w klubach LGBT. Najwyższy czas, aby naszą aktywność przenieść na wyższy poziom. Tbilisi Pride jest pozytywną konsekwencją rozwoju naszej społeczności i naszego aktywizmu.

Stosunek Gruzinów do osób LGBT jest raczej nieprzychylny. A jak ta kwestia wygląda w szczegółach?

Gruzińskie społeczeństwo jest konserwatywne. Osoby LGBT znajdują się na samym dole hierarchii społecznej. Sytuacja nie jest szczególnie dobra. Z roku na rok poprawia się nieznacznie. Według ostatniego sondażu Narodowego Instytutu Demokratycznego około 20–25 procent respondentów ma neutralny stosunek do mniejszości seksualnych. Są to przeważnie osoby młode i pochodzące z klasy średniej. Jest to grupa, która jako pierwsza może zmienić swoje postrzeganie osób LGBT i stać się bardziej otwarta. Nasz przekaz będziemy adresować w pierwszej kolejności właśnie do niej. Zmiany wymagają czasu, przede wszystkim przeobrażenia mentalne społeczeństwa w zakresie akceptacji i otwartości na różnorodność. W takim kraju jak Gruzja, z sowiecką przeszłością i głęboko zakorzenioną religijnością, nie jest łatwo przeprowadzić zmiany szybko i efektywnie. Przeobrażenia nie dokonują się z dnia na dzień. Tak samo jak w Polsce czy w innych europejskich krajach proces ten trwa latami.

A jak do mniejszości seksualnych odnoszą się politycy – obecny obóz władzy, na czele którego stoi Bidzina Iwaniszwili (Gruzińskie Marzenie) oraz poprzedni, któremu przewodził Micheil Saakaszwili (Zjednoczony Ruch Narodowy)? Czy można dostrzec jakieś różnice w podejściu do kwestii LGBT pomiędzy nimi? Jak na sprawę zapatrują się pozostałe partie polityczne? Czy któreś z nich popierają wasze postulaty?

Niewielka Partia Republikańska w wyborach samorządowych w 2017 roku wystawiła jako kandydatkę na radną Tbilisi działaczkę LGBT i jedną z organizatorek Tbilisi Pride – Nino Bolkwadze. Był to wielki krok naprzód, mający istotne znaczenie dla naszego środowiska, ze strony jednego z ugrupowań politycznych. Dzięki temu zaistnieliśmy w przestrzeni publicznej, mieliśmy dostęp do mediów i mogliśmy prezentować nasze postulaty. Innymi siłami wspierającymi nasze cele są niewielkie ugrupowania: Nowe Polityczne Centrum – Girczi (Szyszka) oraz Europejska Gruzja. Mam nadzieję, że politycy tych partii wezmą udział w Marszu Godności. Na pewno będziemy ich do tego zachęcać.

Jeśli mówimy o dwóch głównych partiach – Gruzińskim Marzeniu i Zjednoczonym Ruchu Narodowym i ich stosunku do mniejszości seksualnych, to

eprasa.pl 53cf282579

należy zauważyć, że ugrupowanie Micheila Saakaszwilego zostało odsunięte od władzy w 2012 roku, czyli wtedy, kiedy nasze środowisko zaczęło być aktywne i widoczne w przestrzeni publicznej. Za poprzedniej władzy nasz ruch nie był wystarczająco silny i dostrzegalny. Trudno zatem porównywać te obydwa okresy i oceniać stosunek rządzących do naszego środowiska, naszych organizacji, naszych działań. Gruzińskie Marzenie, odkąd objęło władzę, podjęło wiele sprzecznych działań: zarówno popychających naszą sprawę naprzód, jak i hamujących realizację naszych postulatów. Działania pozytywne były związane z wymogami integracyjnymi stawianymi przez Unię Europejską. Podpisana z Brukselą umowa stowarzyszeniowa nakładała na Gruzję obowiązek przyjęcia ustawodawstwa antydyskryminacyjnego, w tym również ze względu na orientację seksualną oraz tożsamość płciową. Uchwalenie tych przepisów było niezbędnym wymogiem wprowadzenia ruchu bezwizowego dla Gruzinów chcących podróżować do krajów członkowskich Unii Europejskiej. Był to wielki krok w zapewnieniu równych praw osobom LGBT.

Negatywnym działaniem było uchwalenie, wspomnianej już przeze mnie, poprawki do konstytucji definiującej małżeństwo jako związek kobiety i mężczyzny. Pierwotnie Gruzińskie Marzenie zgłosiło wniosek o przeprowadzenie referendum w tej sprawie. Jednak został on odrzucony przez ówczesnego prezydenta Giorgiego Margwelaszwilego. W kolejnej kadencji parlamentu Marzyciele dysponowali już większością konstytucyjną i przegłosowali tę zmianę w ustawie zasadniczej w ramach większej reformy konstytucyjnej.

Zatem polityka Gruzińskiego Marzenia wobec środowiska LGBT jest dość eklektyczna, postęp miesza się z regresem. Generalnie nie otrzymujemy silnego i całościowego wsparcia ze strony partii rządzącej. Pojawiają się głosy aprobaty dla naszych postulatów wśród polityków Gruzińskiego Marzenia z młodszego pokolenia. W 2013 roku Bidzina Iwaniszwili wydał oświadczenie wspierające osoby LGBT, zawierające chyba najdalej idące słowa, jakie kiedykolwiek można było usłyszeć z ust gruzińskiego polityka. Jednak nie poszły za nim realne działania na rzecz walki z mową nienawiści wobec mniejszości seksualnych czy przeciwko dyskryminacji, która miała i ma nadal miejsce w kraju ze strony różnych instytucji państwowych, przykładowo policji, sądów, szkół czy na rynku pracy. Ustawodawstwo antydyskryminacyjne nie jest odpowiedzią na nasze problemy, jeśli nie jest ono faktycznie stosowane i egzekwowane.

Czy w Gruzji zdarzają się homofobiczne wypowiedzi polityków dwóch największych partii politycznych, czy może raczej milczą na temat osób LGBT?

Nie, politycy Gruzińskiego Marzenia czy Zjednoczonego Ruchu Narodowego nie wypowiadają się homofobicznie. Je-

eprasa.pl 53cf282579

śli już, to obraźliwe stwierdzenia padają z ust polityków mniejszych ugrupowań, takich jak konserwatywny, antyzachodni i prorosyjski Sojusz Patriotów Gruzji. Najwyżsi urzędnicy państwowi są neutralni wobec środowiska LGBT – ani nas nie wspierają, ani nas nie atakują. Podkreślają, że wszyscy mają równe prawa. Jednak są to puste deklaracje, nie idą za nimi realne działania.

Czy Unia Europejska próbuje wpływać na gruziński rząd w sprawie wprowadzenia równych praw dla mniejszości seksualnych?

Jestem przekonany, że ustawa antydyskryminacyjna została uchwalona przez gruziński parlament dzięki wysiłkom Unii Europejskiej. Była ona częścią umowy stowarzyszeniowej i procesu liberalizacji przepisów wizowych. Generalnie Bruksela jest aktywna na polu praw człowieka. Jej postawa miała ogromny wpływ na gruziński rząd w minionych latach. Gruzja jawi się jako pilny uczeń, jeśli chodzi o przyjmowanie różnych rozwiązań prawnych proponowanych przez Brukselę w ramach Partnerstwa Wschodniego. Jednak często pozostają one na poziomie deklaratywnym. Pomimo to mam nadzieję, że gruziński rząd nie zboczy z aktualnej drogi zbliżającej nasz kraj do standardów unijnych, w tym w odniesieniu do praw człowieka. Walka o prawa marginalizowanych grup społecznych ma szansę być krokiem w kierunku uczynienia Gruzji krajem bardziej zachodnim ze skonsolidowaną demokracją.

Dlaczego zdecydowałeś się zostać aktywistą LGBT? Jak długo pracujesz w organizacjach walczących o prawa mniejszości seksualnych? Nie chciałbyś zaangażować się w gruzińską politykę, aby mieć większe możliwości wpływania na rzeczywistość w Gruzji?

Sam jestem gejem, więc walka o prawa dla mojego środowiska jest dla mnie naturalna. Patrząc na sytuację osób takich jak ja w Gruzji, wraz z pomocą innych przedstawicieli naszego środowiska zdecydowałem, że musimy coś razem zrobić na rzecz zmiany rzeczywistości, w jakiej przyszło nam żyć. Nasza grupa założyła w 2011 roku Ruch Równości, który obecnie jest największym podmiotem LGBT w Gruzji. Kilka miesięcy temu zdecydowałem się opuścić wspomnianą organizację i wraz z kilkoma innymi osobami założyć nową, o nazwie Tbilisi Pride, w celu organizacji omawianego przeze mnie wcześniej wydarzenia. Jeśli chodzi o politykę, dzięki kandydowaniu Nino Bolkwadze nasze środowisko mogło w znaczący sposób oddziaływać na przestrzeń polityczną w Gruzji. W czasie kampanii prezentowała nasze postulaty. Jest to dobry przykład tego, jak możemy nasze działania przenieść do polityki. Jeśli chodzi o mnie, to uważam, że jestem już w polityce. Tbilisi Pride jest politycznym wydarzeniem, zwłaszcza w kontekście miejsca, w jakim znajduje się Gruzja. Nasze działania, akcje medialne czy popularyzatorsko-uświadamiające są kwintesencją tego, co uznaję za politykę. Jeśli zaś

eprasa.pl 53cf282579

chodzi o zaangażowanie się w działalność partyjną, to przyznam, że nie myślałem jeszcze o tym. Nie wykluczam tego, ponieważ jestem osobą publiczną, interesuję się polityką i może kiedyś, w przyszłości, pewnie nie w ciągu najbliższych kilku miesięcy, zdecyduję się na taki krok.

Gruzja jest dość konserwatywnym krajem, w związku z tym moja rodzina nie jest zbyt szczęśliwa z powodu mojej orientacji i tego, co robię. Jednak większym problemem jest dla niej mój aktywizm, ponieważ społeczne piętno i dyskryminacja dotykają nie tylko osobę LGBT, lecz również jej najbliższych. Jeśli twój syn jest aktywistą LGBT to twoi krewni, znajomi i sąsiedzi są niejako zaangażowani w twoje prywatne życie, wszyscy o tym wiedzą i mówią. Gruzja jest małym krajem, zatem taki stan rzeczy jest sporym wyzwaniem dla nich. Nie jest to proste.

Czy nie obawiasz się o swoje bezpieczeństwo czy nawet życie?

To, co robię, jest niezmiernie stresujące i ma wpływ na moje zdrowie psychiczne. Trzeba radzić sobie z wieloma negatywnymi emocjami. Staram się być bezpieczny. Liczę na to, że sytuacja nie rozwinie się w takim kierunku, żebym musiał obawiać się o swoje życie. Mam nadzieję, że Tbilisi Pride przebiegnie w spokoju i nikomu nic złego się nie przytrafi.

Giorgi Tabagari jest czołowym aktywistą LGBT w Gruzji, organizatorem pierwszej w historii tego kraju parady gejowskiej Tbilisi Pride. W 2011 roku był współzałożycielem i pierwszym prezesem organizacji walczącej o prawa osób nieheteronormatywnych w Gruzji – Ruchu Równości. Absolwent Kolegium Europejskiego w Brugii w Belgii (stosunki międzynarodowe i dyplomacja Unii Europejskiej) oraz Uniwersytetu Tampere w Tartu w Estonii (europeistyka). Pracował w takich organizacjach, jak: Międzynarodowa Społeczność na Rzecz Wolnych Wyborów i Demokracji w Gruzji, Organizacja Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, Kampania Przeciw Homofobii w Polsce.

eprasa.pl 53cf282579

Wywiad z Nazarbajewem

Wojciech Górecki

Nursułtan Nazarbajew odszedł, nie odchodząc, zrezygnował z prezydentury, ale pozostawił sobie w rękawie wszystkie asy. Wciąż ma najwięcej do powiedzenia w sprawach państwa.

Działo się to siedemnaście lat temu. W czwartek, 16 maja 2002 roku – dni tygodnia i dzienne daty mają w tej historii znaczenie – przyszedłem jak co dzień do pracy i poproszony przez sekretarkę, legendarną panią Czesię, zapukałem do gabinetu dyrektora.

– Machniesz się ze mną do Astany? – bardziej oznajmił, niż zapytał nie mniej legendarny Marek Karp, twórca i ówczesny szef Ośrodka Studiów Wschodnich. – W przyszłym tygodniu będzie w Polsce Nazarbajew. Trzeba zrobić z nim wywiad. Ma się ukazać w dniu wizyty.

– Kiedy lecimy?

– W niedzielę.

Państwo-poligon doświadczalny

Niestandardowe sytuacje nie należały w OSW do rzadkości. Następne godziny zeszły mi na wertowaniu baz i układaniu listy pytań, które wysłaliśmy faksem do ambasady Kazachstanu (na miejscu nieco od nich odeszliśmy, co zresztą Nazarbajew wypomniał nam z udawaną przyganą – „Polacy to zawsze wszystko po swojemu!"). Potem zrobiłem zdjęcie do wizy, a znający sprawę kazaski konsul wkleił mi ją od ręki do paszportu.

W piątek załatwiałem delegację i zgodnie z sugestią Marka („Strzeżonego Pan Bóg strzeże") wziąłem większą zaliczkę. Zapobiegliwość szefa uratowała nas już w Moskwie, gdy okazało się, że nasze bilety do Astany są nieważne – współpracujące z OSW biuro podróży nie miało odpowiedniej umowy z liniami Transaero (do Moskwy przylecieliśmy Aerofłotem, do tego na inne lotnisko). Na szczęście uwzględniono rezerwację i mogliśmy kupić nowe bilety, bo na tej trasie zawsze był komplet pasażerów.

Wystartowaliśmy późnym wieczorem, w Astanie byliśmy w poniedziałek nad ranem.

eprasa.pl 53cf282579

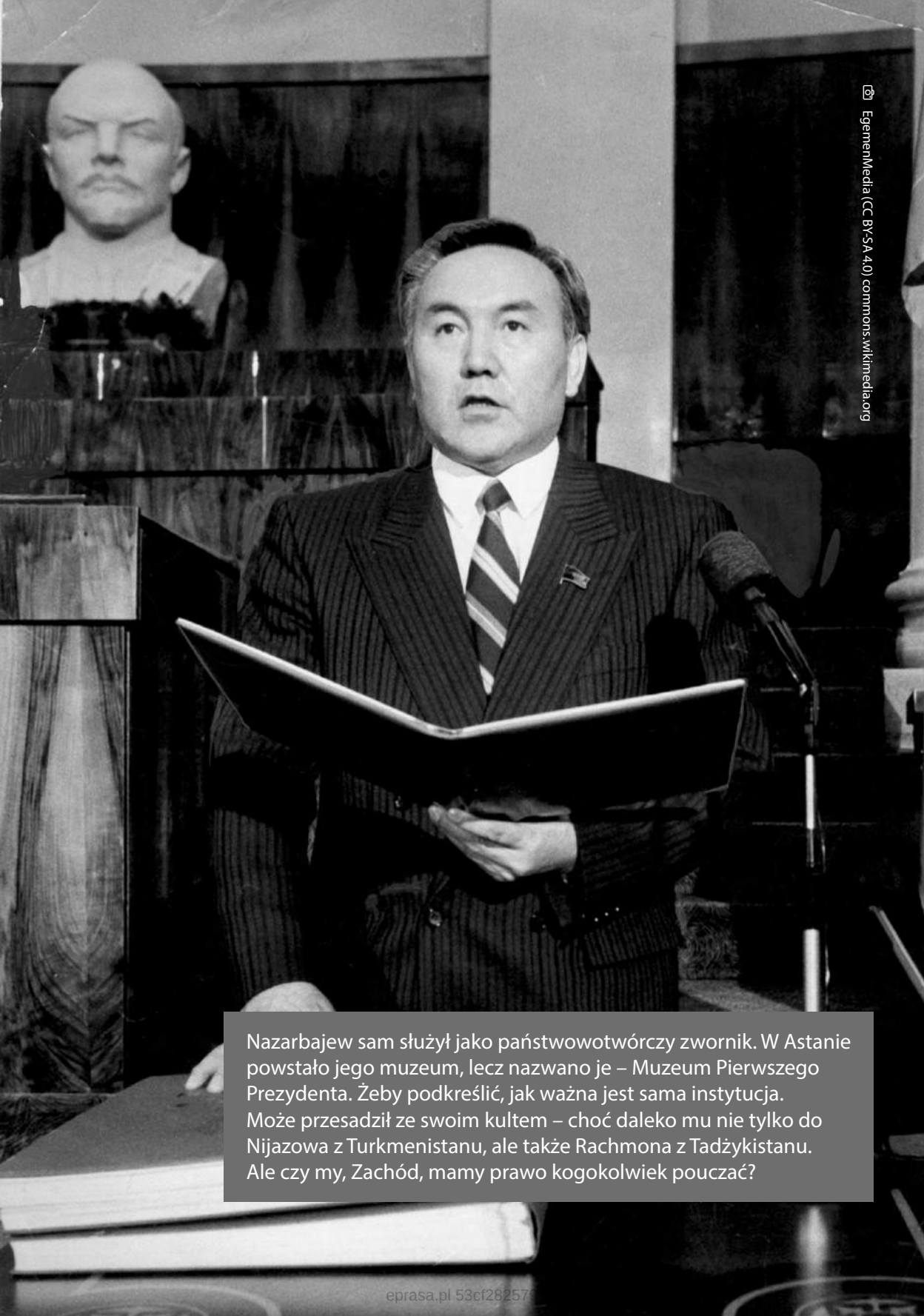
Najbardziej interesowała nas kazaska transformacja. Budowanie państwowości przy braku głębszych tradycji i wzorców z przeszłości. Sytuacja innych państw Azji Centralnej była wprawdzie pod tym względem podobna, ale Kazachstan miał chyba najtrudniej. Według ostatniego radzieckiego spisu powszechnego, przeprowadzonego w 1989 roku, Kazachowie stanowili tam zaledwie 39,7 procent ludności, zaś Rosjanie, którzy mieszkali w zwartych skupiskach na zachodzie i północy kraju, czyli na obszarach graniczących z Rosją – 37,8 procent. Wszędzie indziej dominował naród tytularny: Turkmenów w Turkmenii i Uzbeków w Uzbekistanie było ponad 70 procent, Tadżyków w Tadżykistanie – ponad 60 procent.

Prawa do własnego państwa odmawiał Kazachom nie tylko Władimir Żyrinowski, urodzony w Ałma Acie (dzisiejszym Ałmaty) i znany z tego, że często mówił głośno to, co po cichu myślał Kreml. Kontestował je także Aleksander Sołżenicyn. W napisanym latem 1990 roku eseju *Jak odbudować Rosję?* noblista proponował, aby pozbyć się radzieckich kresów w imię wzmocnienia rosyjskiego centrum. W nowym Związku Rosyjskim miałyby znaleźć się Rosja, Białoruś i Ukraina, zaś poza nim – jedenaście innych republik, w tym cztery europejskie (Litwa, Łotwa, Estonia i Mołdawia), trzy kaukaskie (Armenia, Azerbejdżan i Gruzja) oraz cztery środkowoazjatyckie (Kirgizja, Tadżykistan, Turkmenia i Uzbekistan). A Kazachstan? Ten miałby zostać rozparcelowany.

„Co do Kazachstanu – czytamy w eseju. – Jego dzisiejsze ogromne terytorium zostało przez komunistów skrojone bez zastanowienia, jak popadło: gdzie choć raz w roku przeciągają wędrowne stada, tam jest Kazachstan. Rozumowano przecież wtedy tak: zupełnie nieważne, gdzie się przeprowadzi granice, bo lada chwila wszystkie narody zleją się w jeden. Przenikliwy Iljicz I [Lenin – przyp. W.G.] nazwał problem granic »wręcz dziesięciorzędnym«. (…) Przecież jeszcze do roku 1936 Kazachstan był tylko republiką autonomiczną w ramach RFSRR [Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej – przyp. W.G.], dopiero potem został podniesiony do rangi republiki związkowej. Składa się on zaś z części południowej Syberii, południowego Pogórza Uralskiego oraz obszarów centralnych, które od tamtych czasów zostały przeobrażone przez Rosjan, zeków i zesłane tam narody. Obecnie w całym rozdętym Kazachstanie Kazachów jest zdecydowanie mniej niż połowa. Ich rdzenną i stałą ojczyzną są tereny rozciągające się łukiem z daleka od wschodu na zachód prawie aż do Morza Kaspijskiego, rzeczywiście zasiedlone głównie przez Kazachów. I jeśli w tym zakresie zechcą się odłączyć, to Bóg z nimi".

Olbrzymi i słabo zaludniony Kazachstan stał się poligonem radzieckiej inżynierii społecznej. Wspomniane przez Sołżenicyna zesłane narody to między innymi Polacy, deportowani w latach trzydziestych XX wieku z radzieckiej Ukrainy, a następnie z ziem zajętych w wyniku paktu Ribbentrop–Mołotow, Koreańczycy podejrze-

eprasa.pl 53cf282579



EgemenMedia (CC BY-SA 4.0) commons.wikimedia.org

Nazarbajew sam służył jako państwowotwórczy zwornik. W Astanie powstało jego muzeum, lecz nazwano je – Muzeum Pierwszego Prezydenta. Żeby podkreślić, jak ważna jest sama instytucja. Może przesadził ze swoim kultem – choć daleko mu nie tylko do Nijazowa z Turkmenistanu, ale także Rachmona z Tadżykistanu. Ale czy my, Zachód, mamy prawo kogokolwiek pouczać?

eprasa.pl 53cf28257

wani o konszachty z Japończykami, Niemcy wywiezieni z europejskiej części ZSRR po wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej oraz Kałmucy i narody Kaukazu Północnego, oskarżone o kolaborację z Hitlerem. Ale trafiali tam nie tylko zesłańcy i więźniowie (Kazachstan był jedną z ważniejszych wysp w archipelagu GUŁag). Za Stalina rękami przyjezdnych robotników zbudowano przemysł ciężki, za Chruszczowa zwieziono setki tysięcy ludzi, aby zagospodarowali kazaskie ugory. Dołączyli do słowiańskich kolonistów, którzy osiedlali się w tamtych stronach już pod koniec XIX i na początku XX wieku. Duży wpływ na sytuację etniczną miały również skierowane przeciwko Kazachom represje. W latach dwudziestych i trzydziestych ubiegłego wieku bolszewicy wymordowali niemal całą kazaską inteligencję, a sztucznie wywołana klęska głodu – koczowniczym pasterzom odbierano bydło – przyniosła procentowo więcej ofiar niż Hołodomor na Ukrainie. Tragedią dla północno-wschodnich rubieży kraju były z kolei próby z bronią jądrową. W latach 1949–1989 na poligonie w pobliżu Semipałatyńska, obecnego Semeja, przeprowadzono ich ponad pięćset. Żadna bodaj republika związkowa nie wycierpiała tak wiele.

Jakiś tam Kania

Po rozpadzie ZSRR wydawało się, że w Kazachstanie trudno będzie uniknąć zamieszek i starć na tle narodowościowym oraz sporów terytorialnych z Rosją. A jednak dekadę później kraj był oazą spokoju (niepokoje, do których dojdzie w przyszłości, będą miały podłoże socjalne). Eksperci zgodnie wiązali ten stan ze zręczną polityką prezydenta Nursułtana Nazarbajewa, który na arenie wewnętrznej nie dopuścił do rozwoju kazaskiego nacjonalizmu, promując wielokulturowość, a na międzynarodowej – włączył Kazachstan w sieć różnego rodzaju projektów integracyjnych: wpływy Moskwy równoważył kontaktami z Chinami i Zachodem, a wpływy Pekinu – sojuszem z Rosją i współpracą z muzułmańskim Południem.

Już wtedy, w 2002 roku, kazaski przywódca uchodził za polityka wagi ciężkiej, myślącego o kilka ruchów do przodu. Być może rzeczywiście przewidział krach Sowietów jeszcze przed pierestrojką. Czytaliśmy o tym w rozmowie, którą przeprowadził z nim Adam Michnik (w naszą krótką podróż zabrałem całą walizkę wycinków i wydruków):

„W roku 1980 (…) obchodziliśmy 60-lecie radzieckiego Kazachstanu. Na to święto przyjechali wszyscy, 500–600 osób z Moskwy, całe Biuro Polityczne. Breżniew też. Widzieliśmy w telewizji, że jest chory i słaby, ale co innego zobaczyć to na własne oczy. To był sierpień. Siedzimy z członkami Biura Politycznego, pijemy herbatę, Breżniewa podtrzymują cały czas dwaj młodzi ludzie. Patrzyłem w jego oczy – nie wyrażały absolutnie nic. Nagle szef KGB Andropow wezwał go do telefonu, dzwo-

eprasa.pl 53cf282579

nił w związku z wydarzeniami w Polsce. Breżniew powiada nam później: »Andropow mówi, że Gierek chce się ze mną spotkać, ale on mi to odradza. Chyba przyszła pora, żeby coś zrobić. Podobno jest tam niezły chłop – Kania«. Zapamiętałem to na całe życie. A więc sam Breżniew nie miał pojęcia, co się dzieje w Polsce. Nie czytał, nie zastanawiał się, nie analizował. Powiedziano mu: Kania. I było jasne, że z Gierkiem koniec. (…) Znałem sytuację gospodarczą, wiedziałem, że obóz socjalistyczny, zaczynając od Polski, rozsypuje się, widziałem, jakiego mamy przywódcę – i zrozumiałem, że niedługo nastąpi koniec ZSRR".

„My, naród Kazachstanu"

W 1997 roku Nazarbajew przeniósł stolicę do Akmoły (byłego Celinogradu), przemianowanej wkrótce na Astanę. Wielu brało to za kaprys siedzącego na petrodolarach kacyka, prezydent wzmacniał jednak w ten sposób kazaską państwowość na północy kraju. W odróżnieniu od Ałmaty, gdzie przeważali Rosjanie, nowa Astana rosła jako miasto kazaskie.

Z lotniska odebrał nas Erden Chasenow, młody urzędnik z biura prasowego szefa państwa. Zawiózł do hotelu, gdzie trochę się ogarnęliśmy, po czym zabrał na spacer po mieście.

Prezydent przyjął nas około szesnastej. Zapamiętałem, co mówił o sytuacji narodowościowej:

– Pierwsze słowa naszej konstytucji brzmią „My, naród Kazachstanu". W odróżnieniu od innych byłych republik nie przyjęliśmy prawa stanowiącego, że państwo powołuje i tworzy naród tytularny. Językiem państwowym jest u nas kazaski, ale rosyjski pozostał językiem oficjalnym. Używamy go na równi z państwowym. Powstało trzydzieści centrów kulturalnych poszczególnych mniejszości. Stworzyły one Zgromadzenie Narodów Kazachstanu, na którego czele stoję. Delegaci zbierają się raz do roku, aby dyskutować o najważniejszych dla siebie sprawach. Zajęcia w kazachstańskich szkołach prowadzone są w osiemnastu językach, media ukazują się w siedmiu, teatry grają w sześciu.

Nazarbajew wzmacniał kazaski żywioł, szeroko rozumianą „kazaskość".

I o początkach Wspólnoty Niepodległych Państw:

– 13 grudnia 1991 roku, kilka dni po tym, jak przywódcy Rosji, Ukrainy i Białorusi powołali WNP, my, prezydenci naszego regionu, zebraliśmy się w Aszchabadzie. Mówiliśmy o utworzeniu Konfederacji Centralnoazjatyckiej. Gdybyśmy ją wtedy rzeczywiście zawiązali, doszłoby pewnie w byłym ZSRR do konfrontacji Sło-

eprasa.pl 53cf282579

wian z nie-Słowianami, chrześcijan z muzułmanami, co mogło skończyć się wojną, rozlewem krwi. Dlatego 21 grudnia zaprosiłem poradzieckich liderów do Ałmaty i tam kolejne nowe państwa zgłosiły akces do WNP. Wiedziałem, że jest to organizacja amorficzna, może przejściowa. Wielu ją krytykuje, ale w tamtym czasie odegrała gigantyczną rolę.

I o pozycji Stanów Zjednoczonych (na pytanie, czy niespełna rok po 11 września 2001 roku USA stają się nieodzownym elementem regionalnego systemu bezpieczeństwa):

– Waszyngton ogłosił, że region kaspijski wchodzi w strefę jego strategicznych interesów. To ważna deklaracja, ale wszystko zależy od tego, jak długo Amerykanie tu zostaną.

Najmocniej zapadło mi się w pamięć to, co prezydent mówił o ropociągach. Powiedział, że chce, aby w przyszłości biegły one z Kazachstanu we wszystkich kierunkach, nie tylko przez Rosję (te – łączące złoże Tengiz z Noworosyjskiem oraz Atyrau z Samarą – trzeba oczywiście utrzymać, wszak Rosja to najbliższy sojusznik i przyjaciel!). Jednak popierał również projekt Baku-Ceyhan (zaprojektowany na Zachodzie w celu ominięcia Rosji i bardzo ostro przez Moskwę krytykowany), nie wykluczał także ropociągu do Iranu (trasa nie do zaakceptowania przez Amerykanów) i myśli o ropociągu do Chin.

Spadkobierca

W następnych latach wracałem do Kazachstanu wielokrotnie. Komentatorzy coraz częściej krytykowali Nazarbajewa za łamanie praw człowieka i rosnący autorytaryzm (chociaż na tle regionu wyróżniał się na plus). Ale dostrzegano jego wysiłki na rzecz wzmocnienia państwa i budowy silnej gospodarki. Wzmacniał też kazaski żywioł, szeroko rozumianą „kazaskość".

Sukcesja to problem, nad którym łamią sobie głowy wszyscy przywódcy w Azji Centralnej. Można wyznaczyć następcę, ale nie ma gwarancji, że wola władcy zostanie uszanowana.

Robił to miękko, niekonfrontacyjnie. I konsekwentnie. Dwa kroki do przodu, potem krok do tyłu. Znów krok do przodu i długa pauza, by wybadać reakcję. Sam inicjował poradziecką współpracę, ale gdy Kreml chciał zwekslować projekty gospodarcze na platformę integracji politycznej z sobą jako liderem i reprezentantem grupy państw, postawił weto – nie ma zgody na powrót do ZSRR. Po latach przymiarek podjął decyzję o stopniowym przejściu kazaskiego z alfabetu cyrylickiego na łaciński, co Moskwa uważała za zdradę. Miała ją uspokoić koncepcja „trój-

eprasa.pl 53cf282579

języczności", w myśl której obywatele kraju powinni znać w przyszłości trzy języki: kazaski, rosyjski i angielski. Kiedy po aneksji Krymu i wybuchu wojny na Donbasie Władimir Putin stwierdził, że Nazarbajew stworzył państwo na terenach, gdzie państwa nigdy nie było, ten ogłosił, że w następnym roku (2015) odbędą się obchody 550-lecia kazaskiej państwowości. I odbyły się z przytupem.

Inne przykłady: w starym muzeum narodowym w Ałmaty dominuje narracja o przyjaźni narodów i o wielkiej wojnie ojczyźnianej, ale w muzeum nowym, w Astanie, mówi się już wprost o deportacjach i represjach stalinowskich. W Dolince pod Karagandą powstało muzeum Karłagu (łagru karagandyjskiego): przewodniczki opowiadają, że panujące tam warunki nie różniły się od tych w niemieckich obozach koncentracyjnych; z kolei w Ałmaty szybko zamknięto wystawę poświęconą czerwonemu terrorowi – pewnie by nie kłuć w oczy tamtejszych Rosjan. Ale szkolne wycieczki wożone są raczej do Dolinki i centralnego muzeum w Astanie.

Nazarbajew sam służył jako państwowotwórczy zwornik. W Astanie powstało jego muzeum, lecz nazwano je Muzeum Pierwszego Prezydenta. Żeby podkreślić, jak ważna jest sama instytucja. Może przesadził ze swoim kultem – choć daleko mu nie tylko do Nijazowa z Turkmenistanu, ale także Rachmona z Tadżykistanu. Ale czy my, na Zachodzie, mamy prawo kogokolwiek pouczać? Krzywić się, że parlament przyznał Nazarbajewowi dożywotni tytuł Lidera Narodu, że jego imieniem nazwano lotnisko w Astanie? Choć przemianowanie na jego cześć całej Astany – od 23 marca 2019 roku kazaska stolica nazywa się Nur-Sułtan (z arabskiego „nur" to światło, a „sułtan" to sułtan, udzielny władca) – to już rzecz dużego kalibru. O wątpliwościach samych Kazachów świadczą protesty, do jakich doszło w kilku miastach po ogłoszeniu tej decyzji. Zapewne można było z nią poczekać.

Gdy cztery dni wcześniej, 19 marca, Nazarbajew ogłaszał swoją dymisję, pomyślałem, że to posunięcie w jego stylu. Bo przecież nie odszedł jak Benedykt XVI, który całkowicie wycofał się z publicznej aktywności. On odszedł, nie odchodząc, zrezygnował z prezydentury, ale pozostawił sobie w rękawie wszystkie asy. Nadal jest Liderem Narodu, szefem Rady Bezpieczeństwa (niedawne zmiany konstytucyjne bardzo poszerzyły kompetencje tego ciała) oraz przewodniczącym rządzącej partii Nur Otan. Nadal to on ma najwięcej do powiedzenia w sprawach państwa.

Sukcesja to problem, nad którym łamią sobie głowy wszyscy przywódcy w Azji Centralnej – i pewnie nie tylko tam. Można oczywiście mniej lub bardziej oficjalnie wyznaczyć następcę, ale nie ma gwarancji, że ten spełni oczekiwania suzerena. Ba, nie ma gwarancji, że wola władcy zostanie uszanowana. Żadna gwarancja nie sięga poza grób. Nie da się pogodzić dożywotnich rządów z dopilnowaniem tej sprawy do końca.

Nazarbajew zagrał inaczej. Wskazał spadkobiercę (przewodniczącego Senatu, Kasym-Żomarta Tokajewa), ale dał sobie możliwość korekty. Sprawdzenia, jak radzi

eprasa.pl 53cf282579

sobie nowy prezydent i jak reaguje na niego społeczeństwo. Może namaści kogoś jeszcze – i urządzi swoisty casting? Ostatecznego następcę poznamy zapewne po przedterminowych wyborach prezydenckich, wyznaczonych na 9 czerwca – ale może jeszcze później.

***

Z pałacu prezydenckiego pojechaliśmy na szybki obiad, a potem na lotnisko. Półtorej godziny później byliśmy w Ałmaty. Czas, który został do kolejnego rejsu, spędziliśmy na lotnisku w towarzystwie Maćka Langa, który pracował wtedy w naszej ambasadzie (placówka zostanie przeniesiona do Astany dopiero pod koniec dekady). Nad ranem (już we wtorek, 21 maja 2002 roku) odlecieliśmy do Frankfurtu. Gdy przesiadaliśmy się tam do samolotu do Warszawy, było wciąż dość wcześnie – różnica czasu grała teraz na naszą korzyść. Ostatni lot – i Okęcie.

Usiadłem spisywać rozmowę z taśmy, a Marek tak jak stał, po dwóch nieprzespanych nocach, poszedł na spotkanie, już nie pamiętam, do sejmu czy Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Nasz wywiad ukazał się w czwartek 23 maja.

Wojciech Górecki jest analitykiem Ośrodka Studiów Wschodnich im. Marka Karpia, pisarzem, reporterem i stałym współpracownikiem „Nowej Europy Wschodniej". W latach 2002–2007 był pierwszym sekretarzem, a następnie radcą w Ambasadzie RP w Baku. Był ekspertem misji Unii Europejskiej badającej okoliczności wojny w Gruzji w 2008 roku. W 2011 roku został finalistą Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego oraz otrzymał nominację do Nagrody Literackiej Nike. W 2013 roku otrzymał Nagrodę im. Beaty Pawlak. Autor między innymi książek: *Planeta Kaukaz* (Warszawa 2002, Wołowiec 2010 i 2017), *Toast za przodków* (Wołowiec 2010 i 2017) oraz *Abchazja* (Wołowiec 2013 i 2017). Ostatnio nakładem Wydawnictwa Czarne ukazała się jego książka *Buran. Kirgiz wraca na koń* (Wołowiec 2018).

eprasa.pl 53cf282579

Duże ambicje i trochę sprzeczności

Antoni Radczenko

W lipcu po zaprzysiężeniu nowego prezydenta Litwy zakończą się dziesięcioletnie rządy Dalii Grybauskaitė. Od samego początku nie wystarczał jej status głowy małego państwa. Szukała miejsca między potęgami, jednak często kluczowe decyzje podejmowała pod wpływem emocji, osobistych sympatii i antypatii.

Gdy w lipcu 2009 roku zaczęła pełnić obowiązki litewskiej głowy państwa, na relacje Wilna z Moskwą kładł się cień niedawnej wojny rosyjsko-gruzińskiej. Poprzedni prezydent Valdas Adamkus jednoznacznie potępił rosyjską agresję i wraz z Lechem Kaczyńskim oraz przywódcami Łotwy, Estonii i Ukrainy tuż po zakończeniu działań wojennych udał się do Gruzji. Grybauskaitė postanowiła odciąć się od antyrosyjskiej polityki poprzednika, a może nawet poprzedników, bo od początku odzyskania niepodległości litewska polityka zagraniczna w dużym stopniu była zorientowana na współpracę z Polską i dawnymi sowieckimi republikami przeciwko Rosji. Dalia Grybauskaitė na partnerów wybrała silne państwa Unii Europejskiej oraz spróbowała resetu z Rosją i Białorusią, upatrując dla Litwy szansy na rolę mediatora pomiędzy Brukselą a Moskwą i Mińskiem. Niestety po kilku bezowocnych próbach starania te poniosły fiasko. Nie minęło kilka lat, a stała się najbardziej zaciekłym krytykiem Władimira Putina i największym sojusznikiem pomajdanowego Kijowa. Takie wahania stanowiska Dalii Grybauskaitė można zauważyć również na innych odcinkach uprawianej przez nią polityki zagranicznej. Chociażby na przykładzie Polski czy nawet USA.

Nowe otwarcia

– Polityka zagraniczna w wykonaniu Grybauskaitė to same sprzeczności i brak konsekwencji – mówi Vytautas Bruveris, dziennikarz oraz komentator polityczny największego litewskiego dziennika „Lietuvos rytas". – Najlepiej widać to na przykładzie Rosji. Kiedy Grybauskaitė doszła do władzy, oświadczyła na wstępie: zakończyła się dotychczasowa polityka dotycząca państw Partnerstwa Wschodniego, że

eprasa.pl 53cf282579

nie będziemy przyjaźnić się z ubogimi, a tylko z bogatymi Skandynawami i w ogóle trzeba zresetować relacje z Rosją i Białorusią. Później stanowisko zmieniło się radykalnie. W pierwszej kadencji mówiła, że sankcje nigdzie na świecie nic nie wskórały, a obecnie Litwa jest jedną z głównych zwolenniczek zaostrzenia sankcji wobec Rosji. Nie twierdzę, że teraźniejsza polityka jest nieprawidłowa. Po prostu brakuje jej konsekwencji. Takie miotanie się nie najlepiej mówi o pani prezydent, która decyzje często podejmuje ze względu na geopolityczną czy polityczną koniunkturę albo na podstawie własnych, doraźnych korzyści.

Szef litewskiego think tanku Centrum Studiów Wschodnich, politolog Linas Kojala również dostrzega zmiany w polityce zagranicznej.

– Pamiętajmy, że Grybauskaitė doszła do władzy z pomysłem, że Litwa powinna bardziej dbać o kontakty z Zachodem, czyli Niemcami i Francją, a mniej uwagi poświęcać byłym republikom sowieckim. Próbowano szukać też punktów stycznych z Rosją. Prezydent spotykała się z Putinem i rozmawiała z Dmitrijem Miedwiediewem z myślą, że relacje litewsko-rosyjskie mogą ulec poprawie. Druga kadencja Dalii Grybauskaitė była już jednak diametralnie inna i wpływ na to miała sytuacja na Ukrainie. Wówczas skoncentrowano się na wzmacnianiu bezpieczeństwa kraju. Rozlokowano siły NATO, został zwiększony budżet obronny. W różnych formatach i na różnych szczeblach jest poruszana sprawa Ukrainy. Więc mamy do czynienia z dwiema różnymi kadencjami – uważa politolog.

Kandydat idealny, a tendencje autorytarne

Startując w wyborach prezydenckich w 2009 roku, Grybauskaitė dla wielu była idealną kandydatką: wykształcona, znająca języki, obyta w świecie (długi staż pracy w rządzie i Komisji Europejskiej), pragmatyczna, niepartyjna, niezamieszana w żadne afery korupcyjne i skandale polityczne.

Choć piastowała funkcję ministra finansów w lewicowym rządzie Algirdasa Brazauskasa, a później dzięki jego protekcji została eurokomisarzem, nigdy nie była kojarzona z jedną opcją polityczną. Jako członkini Komisji Europejskiej niejednokrotnie krytykowała socjaldemokratycznego premiera Gediminasa Kirkilasa, który należał do ugrupowania, dzięki któremu zrobiła karierę polityczną. Podczas kampanii wyborczej najbardziej wspierali ją konserwatyści i liberałowie.

Oczekiwania społeczne przełożyły się na wynik wyborczy. Grybauskaitė znokautowała rywali, zgarniając już w pierwszej turze ponad 68 procent głosów. Warto podkreślić, że nawet dzisiaj, po blisko dziesięciu latach rządów, pozostaje liderem zaufania społecznego. W 2014 roku w wyborach prezydenckich nie obyło się bez drugiej tury. Jednak wynik pierwszej rundy jednoznacznie wskazywał, kto jest go-

eprasa.pl 53cf282579

spodarzem w kraju. Grybauskaitė zyskała poparcie na poziomie 45 procent, natomiast jej głównemu rywalowi, socjaldemokracie Zigmantasowi Balčytisowi udało się zdobyć zaledwie 13 procent.

Zgodnie z konstytucją i tradycją polityczną powstałą po 1990 roku Litwa jest republiką parlamentarno-prezydencką, w której rola prezydenta wewnątrz kraju, chociaż ma on wpływ na obsadę kluczowych stanowisk w państwie oraz proces legislacyjny, w dużym stopniu pozostaje formalna. W ustawie zasadniczej znajduje się zapis, zgodnie z którym prezydent mianuje premiera na wniosek sejmu, a ministrów na wniosek premiera. Przed epoką Dalii Grybauskaitė odbywało się to w ten sposób, że prezydent z automatu niejako desygnował premiera i ministrów zaproponowanych przez koalicję rządzącą. Takiego stanowiska trzymali się jej poprzednicy Algirdas Brazauskas i Valdas Adamkus, którzy nawet jeśli próbowali wpłynąć na obsadę rządu, to starali się to robić w wyniku negocjacji zakulisowych.

Prezydent Litwy zrozumiała, że jej plan bycia pośrednikiem między Zachodem a Rosją i Białorusią się nie powiedzie.

Taki stan rzeczy nie zadowalał Grybauskaitė, która z mediatora w polityce wewnątrzkrajowej przeistoczyła się w jednego z głównych rozgrywających. Od samego początku wywierała wpływ na obsadę stanowisk ministerialnych i nie kryła swoich sympatii oraz antypatii. Zaledwie po pół roku jej prezydentury do dymisji musiał podać się szef MSZ w rządzie konserwatywno-liberalnym Andriusa Kubiliusa, Vygaudas Ušackas, ponieważ stracił zaufanie pani prezydent. „Minister nie może uprawiać własnej polityki zagranicznej, nie konsultując się z głową państwa, a czasami nawet z premierem" – skomentowała publicznie Dalia Grybauskaitė.

W 2018 roku wieloletni dyplomata oraz członek partii konserwatywnej Žygimantas Pavilionis napisał, że Ušackas został zdymisjonowany z powodu swojej prorosyjskiej orientacji. „Tylko zakończyła się kadencja Valdasa Adamkusa, a mnie, wówczas wiceministra spraw zagranicznych wywołał Ušackas, który na wstępie oświadczył, że mój „stogas" [tłumaczenie rosyjskiego żargonowego określenia na mafijną ochronę *krysza*, używane też na Litwie – przyp. red.] już jest na emeryturze. Przyszły nowe czasy, dlatego nie będziemy bronili demokracji, a pragmatycznie współpracowali z Putinem i Łukaszenką, jak to robi cały cywilizowany świat, na przykład prezydent USA Barack Obama lub minister spraw zagranicznych Polski Sikorski" – wspominał potem dziennikarzom były wiceminister.

Wydaje się, że słowa dyplomaty nijak się mają do rzeczywistości, ponieważ w 2009 roku Grybauskaitė była właśnie orędownikiem współpracy z Rosją i Białorusią, a konflikt miał podłoże personalne. Kilka lat później w trakcie wizyty w Afganista-

eprasa.pl 53cf282579

nie Grybauskaitė demonstracyjnie nie spotkała się z Ušackasem, który w tym czasie był specjalnym wysłannikiem Unii Europejskiej w tym kraju.

– Tendencje autorytarne były widoczne od samego początku. Na szczęście pani prezydent była ograniczana przez konstytucję, czasami przez większość sejmową. Problem polega na tym, że konstytucja i prawo to jedno, a polityczna rzeczywistość to drugie. Niestety na Litwie prezydent może mieć więcej władzy, niż to przewiduje prawo, ale do tego potrzebne są dwie rzeczy. Po pierwsze, prezydent i jego drużyna muszą wykazać się silną wolą polityczną. Po drugie, sejmowa większość ma być płochliwa i słaba. I tak też się stało w przypadku Dalii Grybauskaitė – uważa Vytautas Bruveris.

Ultymatywne w formie żądania Warszawy w Wilnie odebrano jako próbę nacisku silniejszego partnera i traktowanie Litwy jako młodszego brata. Grybauskaitė poczuła się tymi żądaniami dotknięta osobiście.

Grybauskaitė zrezygnowała też z bezstronności urzędu prezydenta, stawiając na prawą stronę litewskiej sceny politycznej, na konserwatystów i liberałów, którzy odwdzięczyli jej się, nie wystawiając własnych kandydatów w wyborach prezydenckich w 2014 roku. Gdy w 2012 roku rząd utworzyła koalicja centrolewicowa na czele z socjaldemokratą Algirdasem Butkevičiusem, Grybauskaitė, chcąc demonstracyjnie pokazać brak profesjonalizmu nowej ekipy rządzącej, zrobiła sprawdzian ze znajomości języka angielskiego dla kandydatów na ministrów. Zresztą cała kadencja rządu Butkevičiusa przebiegała w notorycznym konflikcie z ośrodkiem prezydenckim. Sytuacja powtórzyła się również w 2016 roku, kiedy premierem został Saulius Skvernelis. Z tym, że Butkevičius w tej konfrontacji z pałacem prezydenckim zazwyczaj przegrywał, a Skvernelis okazał się twardszym orzechem do zgryzienia.

Tymczasem zmieniła się też retoryka głowy państwa. W przeciwieństwie do stonowanych i zrównoważonych wypowiedzi Valdasa Adamkusa, orędzia i wypowiedzi Grybauskaitė były pełne emocjonalnych frazesów o „potrzebie walki z układem oligarchicznym" i bardziej przypominały przemowy władców na Kremlu niż zachodnioeuropejskich liderów. „Podstawowym zadaniem, nie tylko na 2011 rok, jest walka z korupcją, ponieważ zaczyna paraliżować rozwój państwa. (…) Stajemy się państwem rządzonym przez oligarchów i świat przestępczy" – mówiła przed kilkoma laty w wywiadzie dla opiniotwórczego tygodnika „Veidas". Później ta myśl była powtarzana wielokrotnie w różnych konfiguracjach.

– Moim zdaniem figura prezydent jest symptomem i katalizatorem największego problemu litewskiej polityki, czyli kryzysu systemu partyjnego. Cała popularność Grybauskaitė bierze się stąd, że od samego początku pozycjonowała siebie nawet nie jako polityka bezpartyjnego, a polityka antypartyjnego – twierdzi Vytautas Bruveris.

eprasa.pl 53cf282579



Kapeksas (CC BY-SA 3.0) commons.wikimedia.org

Grybauskaitė z mediatora w polityce wewnątrzkrajowej przeistoczyła się w jednego z głównych rozgrywających. Od samego początku wywierała wpływ na obsadę stanowisk ministerialnych i nie kryła swoich sympatii oraz antypatii.

Reset z Rosją i obrona Białorusi

W lutym 2010 roku w Helsinkach doszło do jedynego bezpośredniego spotkania Grybauskaitė z Putinem. Politycy nie szczędzili sobie ciepłych słów. „Mamy nadzieję, że odkąd pani piastuje tak wysokie stanowisko, uda nam się pozbyć tych problemów, które uniemożliwiają rozwój normalnych stosunków" – mówił Putin.

„Od dawna mówiłam, że potrzebny jest konstruktywny dialog z Rosją na najwyższym szczeblu" – wtórowała mu prezydent Litwy.

Niestety spotkanie okazało się niewypałem, ponieważ żadne sporne kwestie nie zostały rozwiązane. Na granicy z Rosją nadal byli nękani litewscy przewoźnicy, mimo zapewnień strony rosyjskiej, że nie stosuje żadnych specjalnych wymogów wobec Litwy. Po kilku latach wybuchła „wojna mleczna", kiedy Rosja wprowadziła embargo na litewski nabiał.

Po latach Grybauskaitė poinformowała, że w czasie spotkania Putin zachowywał się arogancko i przedstawił „listę żądań", którą miała spełnić Litwa, jeśli chciała normalizacji stosunków z Rosją.

W odróżnieniu od Rosji, która dla państw Europy Wschodniej w 2009 roku pozostawała agresorem, dla ocieplenia relacji z Białorusią sytuacja była sprzyjająca, ponieważ w tym czasie Aleksander Łukaszenka po raz kolejny zaczął zbliżać się do Zachodu i oddalać się od Moskwy. W 2008 roku Unia Europejska wznowiła kontakty dyplomatyczne z Białorusią, a rok później zawieszono sankcje wizowe dla wysokiej rangi białoruskich urzędników państwowych.

We wrześniu 2009 roku z oficjalną wizytą przybył na Litwę Aleksander Łukaszenka. Spotkanie z Grybauskaitė trwało półtorej godziny, czyli dłużej niż przewidywał protokół, i przebiegało w przyjaznej atmosferze, ale również nie przyniosło żadnych konkretnych wyników.

„Wcale długo nie rozmawialiśmy. Wydawało nam się, że rozmawiamy bardzo krótko. Staraliśmy się jak najszybciej, aby was nie denerwować, bo inaczej moglibyście nas podejrzewać o różne złe rzeczy. Wszystko uzgodniliśmy. Jestem zadowolony ze spotkania. O konkretach będziemy mogli porozmawiać później" – w swoistej manierze żartował z dziennikarzami prezydent Białorusi.

Strona litewska również ograniczyła się tylko do oficjalnego komunikatu. „W trakcie spotkania prezydent Grybauskaitė powiedziała, że ta wizyta jest dobrym początkiem, który może przerodzić się w bardziej ścisłe relacje gospodarcze i kulturowe między Białorusią a Litwą" – powiedział rzecznik prasowy prezydent Republiki Litwy.

W następnym roku Grybauskaitė udała się na Białoruś. „Litwa jest gotowa do bronienia Białorusi o tyle, o ile Mińsk będzie tego chciał" – powiedziała po spotkaniu z „ostatnim dyktatorem Europy" prezydent Litwy. Niestety kilka miesięcy później

eprasa.pl 53cf282579

odbyły się wybory na Białorusi, które zakończyły się protestami i represjami wobec opozycji i flirt z Mińskiem został definitywnie zakończony.

Prezydent Litwy zrozumiała, że jej plan bycia pośrednikiem między Zachodem a Rosją i Białorusią legł w gruzach. Nieoczekiwanie odbiło się to na relacjach ze Stanami Zjednoczonymi. Ówczesny prezydent Barack Obama próbował zrealizować reset z Rosją, Grybauskaitė obawiała się, że jego ceną mogą być litewskie interesy. W kwietniu 2010 roku Barack Obama zaprosił liderów państw Europy Wschodniej na nieformalne spotkanie w Pradze. Grybauskaitė zrezygnowała z udziału w nim na rzecz spotkania z Lechem Kaczyńskim. Do Pragi poleciał premier Andrius Kubilius. Edward Lucas z „The Economist" komentował wówczas, że ten afront został dostrzeżony przez administrację prezydenta USA. Cytując jednego z wysokich amerykańskich urzędników, brytyjski dziennikarz twierdził, że Grybauskaitė może teraz trafić do Białego Domu tylko jako turystka. Faktycznie przez kilka lat nie dochodziło do spotkań prezydentów.

Aroganccy Polacy

Mniej więcej w tym samym czasie zaczęły się psuć relacje z Polską, która od samego początku wspierała Litwę między innymi na jej drodze do Unii Europejskiej i NATO. Pierwsze dwie dekady stosunków Wilno–Warszawa po 1990 roku nazywano „strategicznym partnerstwem".

10 kwietnia 2010 roku w katastrofie lotniczej pod Smoleńskiem zginął Lech Kaczyński. Kilka dni wcześniej, w trakcie jego wizyty w Wilnie, litewski sejm odrzucił projekt ustawy o oryginalnej pisowni nazwisk, której przyjęcia od lat domaga się polska mniejszość na Litwie i której brak pozostaje plamą „na dobrych stosunkach polsko-litewskich".

Grybauskaitė z mediatora w polityce wewnątrzkrajowej przeistoczyła się w jednego z głównych rozgrywających.

Szef polskiej dyplomacji Radosław Sikorski zaczyna aktywnie domagać się od Litwy wywiązania się z obietnic dotyczących praw polskiej mniejszości w tym kraju. Chodzi właśnie o oryginalną pisownię nazwisk, dwujęzyczne nazwy toponimów i ulic, o oświatę. Poza tym doszło do konfliktu o stawki przewozowe między należącym do Polski koncernem Orlen Lietuva a kolejami litewskimi.

Ultymatywne w formie żądania Warszawy w Wilnie odebrano jako próbę nacisku przez silniejszego partnera i traktowania Litwy jako młodszego brata. Prawdopodobnie podczas jednej z wizyt w Warszawie Grybauskaitė poczuła się tymi żądaniami dotknięta osobiście. „W niektórych stosunkach lepiej zrobić przerwę, ani-

eprasa.pl 53cf282579

żeli próbować naprawić coś, co w tej chwili jest nie do naprawienia" – oświadczyła Grybauskaitė.

Postawy obu stron *de facto* zamroziły niemal wszelkie kontakty na szczeblu prezydenckim i rządowym. Ten stan, który trwał przez blisko siedem lat, przez politologów został nazwany „zimnym pokojem".

– W relacjach z Polską to właśnie Grybauskaitė była jednym z podstawowych czynników hamujących normalizację stosunków. Przyczyny tego tak naprawdę nie są znane. Moim zdaniem prezydent sądziła, że polska elita w Warszawie, nieważne czy z Platformy Obywatelskiej, czy z Prawa i Sprawiedliwości, jest arogancka, nie traktuje Litwy poważnie, a poza tym wspiera partię Waldemara Tomaszewskiego. Z tego powodu prezydent obraziła się i nic nie robiła, aby polepszyć relacje – ocenia Bruveris.

Dzięki ostrej retoryce Grybauskaitė Litwa jest widoczna w światowych mediach i liczy się w polityce międzynarodowej.

Linas Kojala jest przekonany, że problem tkwił w polskiej mniejszości na Litwie.

– W relacjach z Polską zawsze pojawiała się kwestia mniejszości narodowych. Przez długi czas strona litewska obiecywała rozwiązać pewne kwestie sporne, ale te projekty dotychczas nie zostały zrealizowane. Wyraźnie widać to było za czasów PO, kiedy relacje z Polską były chłodne. Jednak nawet w tym okresie realizowano pewne projekty wspólne. Mam tu na myśli łącza energetyczne, projekty z zakresu bezpieczeństwa. Teraz relacje są o wiele lepsze i sądzę, że wpływ na to miała rosyjska agresja przeciwko Ukrainie, ponieważ pokazała, że problemy mamy generalnie identyczne – uważa analityk.

Sytuacja, aczkolwiek nie od razu, zaczęła się zmieniać po dojściu w 2015 roku do władzy w Polsce Prawa i Sprawiedliwości. Największą jednak rolę w normalizacji stosunków odegrał premier Litwy Saulius Skvernelis, który jeszcze przed wyborami sejmowymi 2016 roku spotkał się w Warszawie z Jarosławem Kaczyńskim i nawiązał z nim dobre kontakty osobiste. Sukces Skvernelisa nie byłby jednak możliwy bez wkładu Grybauskaitė – to ona rozbiła układ w kolejach litewskich, który stał za konfliktem z Orlenem Lietuva. Zakończenie sporu Orlenu Lietuva z litewskimi kolejami państwowymi stało się oficjalnym startem polsko-litewskiej „odwilży".

Brak strategii

Ale to nie poprawa relacji polsko-litewskich, tylko kryzys na Ukrainie pozwolił Dalii Grybauskaitė powrócić na międzynarodowe salony polityczne. Podczas szczytu Partnerstwa Wschodniego w Wilnie Wiktor Janukowycz odmówił podpisania umo-

eprasa.pl 53cf282579

wy stowarzyszeniowej z Unią Europejską, czym spowodował Majdan, który doprowadził do jego upadku. Po okupacji Krymu i rozpętaniu przez Rosję wojny na Donbasie, Litwa zaczęła ostro krytykować Kreml i wspierać nowe władze w Kijowie. Jako pierwsze państwo zaproponowała też dostawy broni oraz wysłała instruktorów wojskowych na Ukrainę. Duża zasługa w tym miała Grybauskaitė, która nie przebierała w słowach, krytykując działania Putina. „Ukraina walczy dzisiaj o pokój w całej Europie. Za nas wszystkich. Jeśli terrorystyczne państwo, które prowadzi otwartą agresję względem swego sąsiada, nie zostanie powstrzymane, to agresja może przenieść się na Europę i dalej" – powiedziała w listopadzie 2014 roku.

Zdaniem Bruverisa litewskiej polityce brakuje strategii, bo przeważnie bazuje ona na sloganach.

– Litewskiej polityce zagranicznej brakuje treści. Brakuje pracy eksperckiej. Jeśli chodzi o kierunek wschodni, czyli Rosję i Ukrainę, to litewska dyplomacja ma być skoncentrowana na tym, aby w takich miastach, jak Waszyngton, Berlin, Londyn czy Paryż wyjaśniać tamtejszej elicie, jakie zagrożenia niosą dyktatorskie rządy Putina, oraz proponować rozwiązania. Niestety takiej strategii nie ma. Są tylko dekoratywne deklaracje, które również się tworzy bardziej na użytek wewnętrzny" – uważa dziennikarz.

Z tą opinią nie zgadza się Linas Kojala. Jego zdaniem dzięki ostrej retoryce Grybauskaitė Litwa – mały przecież kraj – jest widoczna w światowych mediach i liczy się w polityce międzynarodowej. I na tym polega litewska strategia.

– Sądzę, że Litwa była i jest widoczna na arenie międzynarodowej. Litwa przewodniczyła Unii Europejskiej w drugiej połowie 2013 roku, kiedy rozpoczął się Majdan. W Wilnie odbył się szczyt, na którym Janukowycz postanowił nie podpisywać umowy stowarzyszeniowej. Później Litwa była członkiem niestałym Rady Bezpieczeństwa ONZ, gdzie nasz głos był naprawdę słyszany. Zresztą po Majdanie, aneksji Krymu i wojnie na Ukrainie na moment świat był skoncentrowany na naszym regionie. I spora w tym zasługa Dalii Grybauskaitė – uważa politolog.

Antoni Radczenko jest redaktorem naczelnym polskiego portalu na Litwie Zw.lt. Dziennikarz i publicysta.

eprasa.pl 53cf282579

Jednak u nas nie jest źle

Z Linasem Kojalą, litewskim politologiem, dyrektorem Centrum Studiów nad Europą Wschodnią w Wilnie, rozmawia Dominik Wilczewski

DOMINIK WILCZEWSKI: Mija pięć lat od wydarzeń na Krymie i Donbasie. Świat po raz pierwszy usłyszał o rosyjskich „zielonych ludzikach". Całkiem poważnie rozważano wówczas, czy mogą się oni pojawić na przykład w Narwie w Estonii. Czy tamten strach nie był przesadny?

LINAS KOJALA: Wydaje mi się, że największy błąd, jaki mogliśmy wtedy popełnić, to uznać, że mniejszości narodowe na Litwie nie identyfikują się ze swoim państwem, są nielojalne. Uniknęliśmy tego. Udało nam się lepiej rozpoznać problemy z integracją mniejszości narodowych i nie potraktowaliśmy tego jako zagrożenia. Uznaliśmy to za jeden z priorytetów. Politycy zaczęli odwiedzać miejsca zamieszkane przez mniejszości, pojawiały się pomysły, jak rozwijać lokalną infrastrukturę. Tamte wydarzenia uświadomiły politykom, że nie można dalej lekceważyć tych części społeczeństwa, którymi wcześniej nikt się nie przejmował. Może przesadzam, ale na pewno pod tym względem dużo się zmieniło. Przed wydarzeniami na Ukrainie niewielu zdawało sobie z tego sprawę.

Co poza kwestią mniejszości wskazałby Pan jako główne zmiany, jakie nastąpiły na Litwie w konsekwencji wydarzeń na Ukrainie?

Przede wszystkim zwiększenie wydatków na obronę. Przed 2014 rokiem Litwa wydawała na ten cel 0,78 procent PKB. Uznano, że skoro wstąpiliśmy do NATO, to obrona terytorium Litwy nie jest już tak istotnym zagadnieniem. Wystarczy zawodowa armia, która będzie gotowa do wykonywania międzynarodowych misji Sojuszu w Afganistanie czy innych, odległych punktach zapalnych na świecie. Nie było też poboru, który wymagałby inwestycji. Po wydarzeniach na Ukrainie powszechna służba wojskowa została przywrócona, pojawiła się potrzeba zatrudnienia ludzi, którzy mogliby szkolić rekrutów, rozbudowy infrastruktury. Zrozumiano, że wydatki były niewystarczające, w 2018 roku osiągnęliśmy wysokość 2 procent PKB. To ogromna zmiana. W ciągu pięciu lat budżet obronny wzrósł ponad dwukrotnie.

Czy łatwo było na Litwie osiągnąć polityczny konsensus wokół tych kwestii?

Nie było nikogo poważnego, kto by podważał zasadność tych decyzji. Wszyscy zgadzali się, że wojsko było niedofinansowane. Poza tym zmieniła się geopolityka wokół nas. W 2014 roku nikt nie

eprasa.pl 53cf282579

mógł przewidzieć, w którą stronę przesunie się front, czy wojna nie ogarnie Mołdawii, a może Kaliningradu. Zrozumieliśmy, że musimy być na to przygotowani i że musimy wypełnić nasze zobowiązania natowskie. W 2014 roku razem z innymi państwami członkowskimi podpisaliśmy porozumienie, w którym zadeklarowaliśmy, że do 2024 roku osiągniemy poziom 2 procent PKB. To było jeszcze przed dojściem Donalda Trumpa do władzy w Stanach Zjednoczonych. Jego pojawienie się było dodatkowym bodźcem, ale decyzje zostały podjęte już wcześniej.

Nie wspomnieliśmy jeszcze o prezydent Dalii Grybauskaitė, choć zapewne jej rola w podejmowaniu tych decyzji była kluczowa. Dzisiaj uchodzi ona za jednego z największych jastrzębi w Europie, jeśli chodzi o politykę wobec Rosji. Jednak jej początki były inne: w latach 2009–2010 szukała nowego otwarcia w stosunkach z Rosją.

To prawda, że podejmowała takie próby, ale nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Amerykańscy prezydenci też zwykle zaczynają od deklaracji, że chcieliby lepszych stosunków z Rosją. I wiemy, czym to się zwykle kończy. Sama Grybauskaitė przyznała ostatnio, że kiedy spotkała się z Putinem, otrzymała od niego listę zadań do wykonania. Nie na tym polega dialog, ze strony Rosji nie było zatem żadnego pozytywnego odzewu. Z drugiej strony nastąpił szereg wydarzeń, które zmieniły jej podejście: szczyt Partnerstwa Wschodniego w Wilnie, Ukraina, Krym, Donbas. Poza tym od początku 2014 roku Litwa była niestałym członkiem Rady Bezpieczeństwa ONZ. A więc w czasie tych gorących wydarzeń znalazła się wśród piętnastu czołowych państw świata. Mieliśmy możliwość kształtowania międzynarodowej agendy i robiliśmy to rzeczywiście otwarcie. Już wtedy myśleliśmy o szczycie NATO w Warszawie w 2016 roku. Chcieliśmy pokazać naszym partnerom, jakich kroków oczekujemy, aby kraje bałtyckie były bardziej bezpieczne, a nawet byliśmy gotowi wziąć na siebie rolę lokalnego lidera.

Jak oceniłby Pan wpływ Dalii Grybauskaitė na litewską politykę, szczególnie w sferze polityki zagranicznej i bezpieczeństwa?

Była silnym przywódcą. Na Litwie prezydenci tradycyjnie nie są członkami partii, są ponad polityką partyjną, co sprawia, że są bardziej popularni niż inni liderzy polityczni. Grybauskaitė miała bezpośredni mandat i popularność, co pozwalało jej być rzeczywiście wyrazistym liderem, zwłaszcza w polityce zagranicznej i bezpieczeństwa. Ponadto reprezentuje Litwę w Radzie Europejskiej. Brała zatem stery polityki zagranicznej, w tym europejskiej, w swoje ręce. Wydaje mi się, że miała autorytet, wyrazistą wizję i plan działania, po pierwsze – kontynuacja budowy niezależności energetycznej, to znaczy terminalu LNG, połączenia energetyczne z Polską, Szwecją, po drugie – obrona i bezpieczeństwo, zwiększenie obecności NATO, opracowanie planów obronnych dla krajów bałtyckich. Miała też za sobą kon-

eprasa.pl 53cf282579

sensus głównych sił politycznych. To się nie zmieniło po wyborach parlamentarnych w 2016 roku. Było oczywiście wiele wzajemnej krytyki w sprawach polityki wewnętrznej, ale nie w kwestiach obrony i polityki zagranicznej.

W maju na Litwie odbędą się wybory, które wyłonią nowego prezydenta. Czy po następnym prezydencie, ktokolwiek nim zostanie, można spodziewać się jakichś zmian w polityce zagranicznej i obronnej w porównaniu z prezydenturą Grybauskaitė?

Większość strategii będzie kontynuowana, szczególnie te dotyczące NATO oraz przekonania o tym, że Litwa powinna być wśród liczących się państw członkowskich Unii Europejskiej i dążyć do pogłębienia integracji. Debaty skupiają się raczej na gospodarce, wynagrodzeniach, do pewnego stopnia na wizji Europy i wyzwaniach, przed jakimi ona stoi. Ale nie na sprawach dotyczących NATO, bezpieczeństwa, Rosji itd. Różnice między kandydatami raczej dotyczą stylu. Jest wśród nich troje wyraźnych liderów – ich pomysły w dziedzinie polityki bezpieczeństwa czy obronnej są dosyć podobne. Na pytanie, które państwo odwiedzą jako pierwsze, wszyscy troje odpowiadają, że będzie to Polska. Także w tej kwestii – energetyka, infrastruktura, koleje, bezpieczeństwo – nasza polityka się nie zmienia.

Jednym z trojga liderów jest premier Saulius Skvernelis. Wydaje się, że dotąd nie był on zbyt zainteresowany polityką zagraniczną. Jak będzie ona kształtowana, gdy to on wygra?

To byłaby ciekawa kwestia, ponieważ od dawna nie mieliśmy sytuacji, gdy prezydentem zostaje polityk reprezentujący partię, która jednocześnie jest u władzy. Ostatnim takim przypadkiem był Algirdas Brazauskas na początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku. Trudno przewidzieć, jak ta sytuacja będzie ewoluować. Faktycznie, Skvernelis nie ma zbyt dużego doświadczenia w polityce zagranicznej – wcześniej był ministrem spraw wewnętrznych i szefem policji. Ale chociaż sprawy zagraniczne nie są jego priorytetem, to udało mu się nawiązać pewne kontakty, na przykład z Polską. Starał się osobiście poprawić stosunki polsko-litewskie, nawet bez udziału pani prezydent. I teraz będzie próbował to wykorzystać. W tym roku gościł też z wizytą w Izraelu. Myślę więc, że dorasta do tej roli i rozumie, że jako prezydent, także w sferze polityki zagranicznej będzie musiał wychodzić z inicjatywą.

W trójce liderów znajduje się też niezależny ekonomista Gitanas Nausėda i kandydatka opozycyjnego Związku Ojczyzny Ingrida Šimonytė. Które z tych dwojga miałoby według Pana silniejszą pozycję w polityce zagranicznej?

Trudno powiedzieć, bo zarówno Šimonytė, jak i Nausėda, podobnie jak Skvernelis nie mają zbyt dużego doświadczenia w polityce zagranicznej. I praktycznie nie mają żadnego doświadczenia w publikowaniu czegokolwiek na ten temat. Trudno jest zatem ocenić, co będą chcieli

eprasa.pl 53cf282579

robić, jakie będą ich idee, plany działania. Możemy jedynie powiedzieć, że reprezentują ten sam polityczny konsensus w najbardziej strategicznych sprawach. Ale jak będzie to ewoluować w praktyce – nie jestem pewien. Możemy być za to pewni, że nasza polityka wobec Rosji, zrozumienie, że NATO jest kluczowe dla naszego bezpieczeństwa, że musimy być bardziej zintegrowani jako członkowie Unii Europejskiej – to się nie zmieni.

Wspomniał Pan o stosunkach z Polską. Na czas prezydentury Grybauskaitė przypadło pogorszenie się relacji polsko-litewskich. W Polsce często właśnie litewską prezydent obarcza się odpowiedzialnością za ten stan. A jak to wygląda Pana zdaniem?

Pewne problemy istnieją bez względu na to, kto jest prezydentem. Polska strona twierdzi, że Litwa złożyła pewne obietnice, z których się nie wywiązała. I ma rację. Różni litewscy przywódcy od lat deklarowali, że takie sprawy jak pisownia nazwisk Polaków zostaną rozwiązane. Ale na Litwie to poważny problem polityczny, także konstytucyjny, dlatego nie było w tej sferze żadnego postępu. Ten problem pozostanie, o ile Polska o nim nie zapomni – co jest mało realistyczne, albo Litwa go rozwiąże – co też nie jest zbyt prawdopodobne. Zmieniło się to, że poprzedni rząd w Polsce bardzo to podkreślał i była to dominująca kwestia w stosunkach bilateralnych. Oczywiście zmieniła się też sytuacja geopolityczna. Ale nowy polski rząd, choć nadal o tym przypomina, kładzie akcent na co innego. To prawdopodobnie pozwoliło trochę wyciszyć nastroje, a sprawy mniejszości pozostawić nieco na boku. Więc tu na Litwie uważamy, że to zmiana priorytetów polskiego rządu uczyniła stosunki lepszymi.

Czy uda się utrzymać ten trend na dłużej?

Zawsze powtarzam, że poza Łotwą i Estonią nie ma drugiego kraju, z którym Litwa byłaby tak zgodna co do priorytetów strategicznych, co Polska. Nawet w Unii Europejskiej, uwzględniając specyfikę relacji z Brukselą, jesteśmy po tej samej stronie. Nadal uważam, że Polska jest proeuropejskim krajem, więc to nas łączy. W pewnym sensie zbliżyła nas polityka Rosji, w czasie szczytu NATO w Warszawie w 2016 roku nie mieliśmy innego wyjścia, jak współpracować i uzyskać od innych krajów członkowskich korzystne dla nas decyzje. Te priorytety nigdy się nie zmienią. Co może się zmienić, to atmosfera polityczna, jeśli problemy mniejszości narodowych znów uniemożliwią nam zajęcie się innymi sprawami. Wszyscy chyba jednak rozumiemy, że to nie musi być dla nas obciążeniem.

Od pewnego czasu przedstawiciele Litwy podkreślają, że nie poprą restrykcyjnych działań wobec Polski wynikających z artykułu 7 traktatu o Unii Europejskiej. Jaka idea stoi za takimi deklaracjami?

Po pierwsze, chodzi o brak rzeczywistych narzędzi w rękach Unii Europejskiej w stosunku do krajów, które mają jakieś

eprasa.pl 53cf282579

problemy z procedurami demokratycznymi, mediami itd. Jeśli takich narzędzi brakuje, to nie powinno się zbyt często straszyć sankcjami. To kreuje pewną atmosferę, w której chce się kogoś ukarać, a w praktyce nic się nie dzieje – bo nie ma narzędzi albo zgody między krajami członkowskimi co do ich zastosowania. Po drugie, są inne metody rozwiązywania problemów. Chodzi o to, aby prowadzić dialog, rozmawiać z liderami, próbować ich przekonać, mówić o problemach. Po trzecie wreszcie, Polska jest dla nas ważna strategicznie. A skoro wiadomo, że na przykład Węgry nie poprą sankcji, to lepiej jest pokazać swojemu partnerowi, że nie będzie się dążyć do zastosowania najostrzejszych środków. Lepiej jest być w gronie krajów, które nawołują do dialogu.

Pozostańmy przy Polsce. Prezydent Andrzej Duda wspólnie z prezydent Chorwacji zainaugurował w 2015 roku inicjatywę Trójmorza. Jak Litwa widzi się w tym formacie współpracy?

Litwa jest otwarta na każdy format współpracy regionalnej, na przykład uczestniczy w różnych platformach współpracy państw Europy Północnej, jak choćby Nowa Liga Hanzeatycka. Inicjatywa Trójmorza jest czymś jeszcze innym. Dla Litwy te platformy są zwykle szansą na współpracę i realizację wspólnych projektów. Jedną ze spraw, które Inicjatywa Trójmorza rzeczywiście może rozwiązać, jest infrastruktura. Ma to także znaczenie dla Unii Europejskiej, bo wszystkie kraje w niej uczestniczące są jednocześnie krajami unijnymi. Wydaje mi się więc, że Litwa jest otwarta, choć może nie zawsze entuzjastyczna, bo nie za każdym razem te inicjatywy przynoszą oczekiwane efekty. Ale postrzegane są jako sposób, by rozwijać infrastrukturę czy energetykę.

Czy sprawy związane z polityką międzynarodową są dyskutowane w litewskich mediach, wśród intelektualistów, w społeczeństwie?

Coraz częściej zastanawiamy się, jakie jest miejsce Litwy w Europie, jakiej Europy chcemy, do jakiej Europy wstępowaliśmy w 2004 roku i jak zmieniła się przez te piętnaście lat. Liderzy opinii, media, przedstawiciele think tanków i środowiska akademickiego naciskają na to, żeby ta tematyka stała się przedmiotem publicznej debaty. Żeby nasze kampanie wyborcze nie koncentrowały się wyłącznie na polityce wewnętrznej. Poza tym nadchodzące wybory prezydenckie są rzeczywiście rywalizacyjne. Grybauskaitė wygrała łatwo, nie miała realnej konkurencji. Teraz, nawet jeśli kandydaci zgadzają się ze sobą w wielu kwestiach, to nie wiadomo, kto wygra. Jest więc możliwość, żeby sprawy międzynarodowe poddawać pod dyskusję. Po trzecie, jesteśmy w NATO i Unii Europejskiej już od piętnastu lat – to dobry moment, by dokonać pewnych podsumowań i ocen.

Jednym z ważnych zagadnień w Europie jest wzrost poparcia dla ugrupowań nacjonalistycznych i populistycznych. Czy budzi to zaniepokojenie także na Litwie?

eprasa.pl 53cf282579

To, jak zmienia się krajobraz polityczny w Europie, wywołuje debatę. Litwa patrzy na to przede wszystkim w kontekście europejskiej polityki wobec Rosji, bo na przykład Alternatywa dla Niemiec czy inne tego rodzaju ugrupowania postulują zniesienie albo ograniczenie sankcji wobec Rosji. Po drugie, chodzi o przyszłość Europy. Nie mamy póki co partii, którą można byłoby nazwać antyeuropejską, która miałaby znaczące poparcie i byłaby reprezentowana w parlamencie. Panuje polityczna zgoda co do tego, że powinniśmy być bardziej zintegrowani z Europą. Patrzymy więc na te tendencje trochę z boku, główną przyczyną wydaje się migracja. I już teraz pojawiają się głosy, że kiedyś migranci dotrą także na Litwę i że powinniśmy uniknąć błędów popełnionych przez kraje Zachodu. Trudno jednak mówić o czymś, co widzi się tylko na ekranie telewizorów, a nie na ulicach.

Te wyzwania nie są jednak wcale tak odległe. Choćby w Estonii popularność zdobywa jawnie eurosceptyczna Konserwatywna Partia Ludowa. Czy możliwe jest pojawienie się czegoś podobnego na Litwie?

Nie wykluczam tego. Czasem, tu w Wilnie, staramy się przekonywać siebie nawzajem, że Litwa jest bardzo proeuropejska i nic się pod tym względem nie zmieni. Ale taka zmiana jest możliwa. Podczas jednych wyborów nie ma żadnych krytycznych uwag pod adresem Wspólnoty, a w kolejnych 10 procent zdobywa partia, która nawołuje do wyjścia z Unii. Jeśli chodzi o sprawy systemowe, to niektóre trendy na Litwie są takie same jak w Europie: niskie, od lat niewzrastające wynagrodzenia w określonych zawodach, nierówności społeczne, bezrobocie, które teraz jest małe, ale szybko może wzrosnąć. Problemem zaczyna stawać się migracja, akurat nie muzułmanów, ale na przykład Ukraińców. Można z tego zrobić problem, mówiąc, że wynagrodzenia spadają, bo napływają ludzie z tańszych rynków pracy. Jeśli pojawi się popyt na retorykę antyeuropejską, to pojawi się też podaż ze strony polityków.

Wspomniał Pan wcześniej o prezydencie Trumpie. Czy jego prezydentura budzi jakieś emocje na Litwie?

Trump różni się od poprzednich amerykańskich prezydentów, którzy byli na Litwie popularni. Prowadziliśmy badania, w których prosiliśmy ankietowanych o ocenę zagranicznych liderów. Najwięcej pozytywnych ocen zebrała Merkel, wysoko byli też Macron, Duda czy Poroszenko. Najwięcej negatywnych opinii miał Putin. Trump znalazł się gdzieś pośrodku. Ale i tak na Litwie jest on oceniany dużo lepiej niż w większości krajów Europy Zachodniej, choć dużo gorzej niż jego poprzednicy. A to z powodu jego retoryki wobec Rosji, zarówno w czasie kampanii wyborczej, jak i potem. To jedna z głównych spraw dyskutowanych na Litwie, jeśli chodzi o politykę amerykańską. Teraz jednak pojawia się coraz więcej innego rodzaju głosów: mówiono, że Trump nas przehandluje, a jednak nic takiego się nie

eprasa.pl 53cf282579

wydarzyło. Za to mamy pozytywne zmiany: obecność wojsk amerykańskich w regionie, dostawy broni dla Ukrainy, więc praktyka nie jest taka zła, jak zapowiadano.

Po 2014 roku udało się doprowadzić do rozmieszczenia na wschodniej flance Sojuszu oddziałów Wysuniętej Obecności NATO. Czy na Litwie uważa się, że te środki są wystarczające?

My, Litwini, zawsze oczekujemy więcej. Ale nie sposób nie docenić znaczenia tej decyzji. Pamiętam debaty, jakie toczyły się po 2014 roku, czy i jak NATO zareaguje, jeśli zostaniemy zaatakowani. Sytuacja na Ukrainie była wtedy gorąca i ten temat dominował w mediach. Ale NATO nie było wówczas widoczne w krajach bałtyckich. Myślę, że rok 2016 i decyzje szczytu warszawskiego były prawdziwym przełomem. Obecność zachodnich wojsk pokazuje, że nie jesteśmy członkiem NATO jedynie na papierze. Społeczeństwo też to dostrzega. Było dużo spotkań żołnierzy z mieszkańcami Litwy, pokazów techniki wojskowej itd. To było wyraźne pokazanie Litwinom: „Jesteśmy tu po to, żeby zapobiec atakowi". I nawet te niewielkie siły wojskowe zmieniły świadomość wielu ludzi, którzy zrozumieli, że nie zostaniemy pozostawieni sami sobie. Chcielibyśmy, żeby było ich więcej, żeby byli tu także Amerykanie, ale to i tak było przekroczenie Rubikonu.

W jakim stopniu wydarzenia na Ukrainie zmieniły Litwinów jako społeczeństwo? Spotkałem się z opinią, że po nich Litwini zaczęli bardziej cenić własne państwo, własną niepodległość.

Zgadzam się z tym. Litwini są z reguły nastawieni dosyć pesymistycznie, porównujemy się z innymi, mówimy, że Skandynawowie czy Niemcy żyją lepiej, a my jesteśmy najbiedniejsi w całej Unii Europejskiej. Ale kiedy dostrzega się ludzi, którzy naprawdę cierpią i którzy chcieliby być na naszym miejscu, to zaczyna się doceniać to, co się ma. Tym bardziej, że możemy porównać się z Ukraińcami, bo tak samo byliśmy częścią Związku Radzieckiego, ale łączy nas też wspólna historia, byliśmy razem w Wielkim Księstwie Litewskim. Widzimy, że oni chcieliby być w NATO, w którym my jesteśmy, że oni chcieliby uniknąć wojny, której u nas nie ma. To także mobilizuje Litwinów do tego, by wspierać Ukrainę, na przykład poprzez akcje charytatywne. I wiele takich inicjatyw ma charakter oddolny. Myślę, że to czynnik mobilizujący, który daje nam siłę i skłania do myślenia, że jednak nie jest u nas całkiem źle.

Linas Kojala jest dyrektorem Centrum Studiów nad Europą Wschodnią w Wilnie oraz wykładowcą w Instytucie Stosunków Międzynarodowych i Nauk Politycznych Uniwersytetu Wileńskiego. Współpracował z Fundacją Konrada Adenauera, obecnie jest współpracownikiem (*research fellow*) w Davis Center for Russian and Eurasian Studies na Uniwersytecie Harvarda.

eprasa.pl 53cf282579

Marsz z przeszkodami

Marcin Kaczmarski

Bardziej niż sojusz rosyjsko-chiński zagraża nam nieformalny „podział pracy" między Moskwą i Pekinem

W amerykańskiej debacie o polityce zagranicznej – kiedy mówi się o zagrożeniach – coraz częściej pojawia się potencjalny sojusz rosyjsko-chiński. Doroczna analiza amerykańskiej wspólnoty wywiadowczej poświęciła odrębną sekcję zbliżeniu między Moskwą i Pekinem. Występujący przed Kongresem szefowie amerykańskich służb specjalnych podkreślali narastające wyzwania ze strony Chin i Rosji. W noworocznym numerze „The National Interest" przypomniało ostrzeżenie sformułowane przez Zbigniewa Brzezińskiego, który wskazał na ścisłą współpracę chińsko-rosyjską jako „strategiczny koszmar" dla Stanów Zjednoczonych. Również w Europie wzrasta niepokój co do kierunku ewolucji relacji rosyjsko-chińskich, zwłaszcza od czasu ćwiczeń morskich przeprowadzonych przez oba kraje na Morzu Bałtyckim w 2017 roku.

Bariera nie do przejścia?

Od ponad dekady debata akademicko-analityczna na temat stosunków rosyjsko-chińskich oscyluje pomiędzy coraz bliższym i nieuchronnym antyzachodnim sojuszem z jednej strony a oportunistyczną współpracą, podminowywaną przez wzajemne urazy i brak zaufania z drugiej strony. Większość obserwatorów podzielała ukutą przez Bobo Lo ponad dziesięć lat temu tezę o „małżeństwie z rozsądku" (w oryginale *the axis of convenience*), zgodnie z którą współpraca między Moskwą i Pekinem miała pragmatyczny, instrumentalny i cyniczny charakter. Oba państwa patrzyły na siebie z nieufnością i nie zamierzały ryzykować powtórzenia sojuszu z lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku, gdyż rezultaty jego fiaska trzeba było naprawiać przez trzy dekady. W ciągu ostatnich kilku lat dominacja tej tezy zaczęła zanikać. Rosnąca liczba obserwatorów sceny międzynarodowej wskazuje, że sytuacja uległa zasadniczej zmianie i sojusz rosyjsko-chiński staje się coraz bliższy realizacji.

Nie opowiadając się po żadnej ze stron sporu, należy zgodzić się co do niezaprzeczalnych postępów we współpracy między Chinami i Rosją, która uległa pogłębieniu i obejmuje coraz to nowe obszary. Nie oznacza to jednak nieuchronności sojuszu, na drodze którego stoi szereg przeszkód.

eprasa.pl 53cf282579

Podstawową barierą do jego zawarcia, której oba państwa nie chcą jak na razie usunąć, jest brak poparcia dla wzajemnych agresywnych posunięć. Podczas gdy każde z mocarstw nie ukrywa satysfakcji, jeśli partnerowi uda się osłabić pozycję Zachodu, na jednym bądź drugim krańcu Eurazji, żadne nie jest gotowe udzielić formalnego poparcia. Pekin nie uznał aneksji Krymu, podobnie jak wcześniej nie uznał oderwania Abchazji i Osetii Południowej od Gruzji. Moskwa z kolei zachowuje neutralność w odniesieniu do sporów toczonych przez Chiny z sąsiadami na Morzu Południowochińskim.

Ani Władimir Putin, ani Xi Jinping nie muszą obawiać się, że druga strona „wbije im nóż w plecy" – na forum Rady Bezpieczeństwa ONZ Rosja i Chiny nie stają w jednym rzędzie z Zachodem. Jednak pozytywna neutralność nie oznacza pełnego poparcia. Korzyści z takiego ruchu byłyby niepewne, zaś koszty – duże. Pekin nie chce narażać swoich relacji z mniejszymi państwami europejskimi, natomiast Moskwa nie chce poświęcić dobrych stosunków z krajami Azji Wschodniej. W rezultacie obu stronom pozostają symboliczne, acz ograniczone gesty – wspólne ćwiczenia na Bałtyku, będące wyrazem uznania rosyjskiej polityki bezpieczeństwa, czy przyznanie przez Moskwę, że Chiny miały rację, odrzucając wyrok Międzynarodowego Trybunału Arbitrażowego w sporze o morską granicę z Filipinami. Takie gesty sprzyjają budowie swego rodzaju zaufania między stronami i czynią izolację ze strony Zachodu dużo mniej efektywną, nie oznaczają jednak gotowości do sojuszu.

Europa nie musi się obawiać

Bliższa współpraca między Chinami a Rosją nie stanowi na obecnym etapie zagrożenia dla Unii Europejskiej. Rosja próbowała grać „kartą chińską" w stosunkach z Europą, ale jak dotąd niewiele osiągnęła. Sektor energetyczny wyglądał najbardziej obiecująco. Moskwa wielokrotnie (po raz pierwszy w 2006 roku) groziła przekierowaniem eksportu gazu z Europy do Chin w celu wymuszenia lepszych warunków współpracy od europejskich klientów. Jednak eksport rosyjskiego gazu do Chin był dotychczas ograniczony do niewielkich ilości LNG. Gazociąg Siła Syberii (obecnie w budowie) będzie zasilany z nowych złóż. Rosja nie ma sposobu, aby przekierować gaz z tych złóż do Europy. Gazociąg Ałtaj, który musiałby polegać na zachodniosyberyjskich złożach gazu, wykorzystywanych do eksportu do Europy, pozostaje daleki od realizacji, mimo że oba kraje nadal nawiązują do jego budowy we wspólnych komunikatach. Straszenie Chinami jest blefem, który Unia Europejska może łatwo obnażyć. Sytuacja w dziedzinie bezpieczeństwa jest nieco inna. Udział Chin we wspólnych ćwiczeniach morskich z Rosją na Morzu Bałtyckim był niezaprzeczalnym, choć symbolicznym sukcesem Moskwy. Pekin legitymizował agresywne zachowanie

eprasa.pl 53cf282579

rosyjskich sił powietrznych i morskich w regionie. Nie oznacza to jednak, że Chiny dołączyłyby do Rosji w próbach użycia siły przeciwko państwom europejskim.

W stosunkach politycznych z Unią Europejską Rosja i Chiny mają wspólną cechę: tak Moskwa, jak i Pekin wolą prowadzić relacje z poszczególnymi państwami europejskimi niż ze Wspólnotą jako całością. Postawy i oczekiwania Rosji i Chin wobec Brukseli różnią się jednak przy tym dość znacznie. Kreml postrzega projekt europejski jako upadek i chętnie współpracuje z siłami politycznymi i społecznymi Unii Europejskiej w całej Europie. Rosyjska elita nie ukrywa swojej pogardy dla Wspólnoty i jej podstawowych idei. Chiny z kolei postrzegają Unię Europejską jako kluczowego partnera gospodarczego, źródło technologii i cel inwestycji. Znaczenie Unii Europejskiej dla Chin wzrosło dopiero od początku chińsko-amerykańskiej wojny handlowej. Rosja nie jest w stanie zastąpić Chinom Europy, która zapewnia najnowocześniejsze technologie, miejsce dla chińskich inwestycji oraz stanowi intratny rynek dla chińskich towarów. W związku z tym Pekin pozostaje zainteresowany sukcesem projektu europejskiego. Trudno byłoby Rosji i Chinom uzgodnić wspólną politykę, która osłabiłaby Unię Europejską. Pekin czerpie liczne korzyści z dostępu i więzi ze Wspólnotą. W przeciwieństwie do Rosji, Chiny nie są zainteresowane wykolejeniem europejskiego projektu.

Ani Putin, ani Xi Jinping nie muszą obawiać się, że druga strona „wbije im nóż w plecy" – na forum Rady Bezpieczeństwa ONZ Rosja i Chiny nie stają w jednym rzędzie z Zachodem.

Ponadto Chinom nie zależy na pogorszeniu relacji między Moskwą a Brukselą. Funkcjonujące stosunki rosyjsko-europejskie są istotne dla rozwoju flagowego projektu polityki zagranicznej Chin – Inicjatywy Pasa i Szlaku. Korytarze tranzytowe przez Rosję oferują najtańszy i najszybszy sposób dotarcia Chin do rynków europejskich. Jak pokazał konflikt rosyjsko-zachodni o Ukrainę, niestabilność zawęża możliwości Pekinu i spowalnia wdrażanie Nowego Jedwabnego Szlaku. Trasa przez Ukrainę miała być jednym z połączeń kolejowych między Chinami a Europą. Chińskie firmy rozważały również budowę portu na Krymie. W takich okolicznościach Europa mogłaby nawet oczekiwać, że Chiny będą siłą stabilizującą wobec Rosji. W długoterminowej perspektywie rosnąca asymetria między Chinami a Rosją może nawet okazać się korzystna dla interesów Europy.

Niebezpieczny (choć nieformalny) podział pracy

Podczas gdy formalny i faktyczny sojusz antyzachodni, a zwłaszcza antyeuropejski, wydaje się wciąż odległy, nieoficjalny i często nieskoordynowany podział pracy,

eprasa.pl 53cf282579

jaki obserwujemy między Rosją i Chinami, ma daleko idące negatywne skutki dla Zachodu, zwłaszcza jego pozycji w porządku globalnym.

Na obecnym etapie Rosja stanowi wyzwanie dla państw zachodnich w sferze bezpieczeństwa i obrony. Arsenał nuklearny i konwencjonalny to obok zasobów energetycznych jeden z nielicznych atutów Moskwy na arenie globalnej. Co więcej, przez ostatnie lata gotowość Kremla do jego użycia, podobnie jak skłonność do coraz bardziej ryzykownych działań, systematycznie wzrastała. W ciągu dekady Rosja przeszła od konfrontacji retorycznej ze Stanami Zjednoczonymi – *vide* przemówienie Władimira Putina w Monachium w 2007 roku, do polityczno-wojskowej. Najlepszego przykładu dostarcza polityka Moskwy wobec syryjskiej wojny domowej. Przeszła ona od skutecznego blokowania interwencji zachodniej poprzez weto na forum Rady Bezpieczeństwa i instrumenty dyplomatyczne do bezpośredniego zaangażowania militarnego trwającego prawie cztery lata.

Udział Chin we wspólnych ćwiczeniach morskich z Rosją na Morzu Bałtyckim był niezaprzeczalnym, choć symbolicznym sukcesem Moskwy.

Sytuacja Assada była jednak wyjątkowa. Większości autorytarnych reżimów udaje się utrzymać władzę, wykorzystując własne możliwości. Obecnie Zachód nie ma ochoty na więcej interwencji za granicą, a europejska inicjatywa interwencyjna Emanuela Macrona pozostaje niesprawdzona. Zamiast wojskowego zestawu narzędzi dyktatorzy coraz częściej potrzebują pożyczek i inwestycji. Pod tym względem Rosja jest szczególnie słaba, jej środki finansowe pozostają ograniczone. Jedną rzeczą jest wystrzelenie kilku pocisków cruise i wysłanie kilkunastu samolotów bojowych. Czymś innym jest dostarczanie milionów dolarów kredytów i wysyłanie własnych firm do inwestowania i budowania infrastruktury od podstaw. Tutaj Chiny mogą wypełnić lukę. Podczas gdy Moskwa może być gotowa do działania w nadzwyczajnych okolicznościach, takich jak rewolucje, Pekin popiera niedemokratyczne reżimy w przyziemnych sytuacjach. Jej kieszenie są znacznie głębsze, a chińskie firmy cierpiące z powodu nadwyżki zdolności produkcyjnych w kraju szukają możliwości za granicą.

Ten niezamierzony podział pracy stanowi największe wyzwanie dla Zachodu. Rosja i Chiny nie muszą koordynować działań, ani uzgadniać formalnego traktatu sojuszniczego. Władimir Putin jest gotowy podjąć ryzyko i postrzega zmodernizowane siły zbrojne jako sposób na prowadzenie „dyplomacji kanonierek". Xi Jinping preferuje „dyplomację książeczki czekowej" i nadal ucieka od otwartej konfrontacji z Waszyngtonem. Wyzwanie dla Zachodu polega na tym, że nie może on użyć podobnych metod. Jak pokazała syryjska wojna domowa, państwa zachodnie nie mogą lekceważyć ofiar cywilnych i wolą nie wybierać zwycięzcy. Jak pokazują przykłady

eprasa.pl 53cf282579

chińskich pieniędzy płynących do krajów rozwijających się, państwa zachodnie nie mogą i nie chcą oferować pieniędzy bez żadnych zobowiązań.

Długoterminowe rozbieżności

Rządzące elity Chin i Rosji mają wiele wspólnego w podejściu do globalnego porządku międzynarodowego. Nie zgadzają się z fundamentalnymi cechami zachodniej wizji świata, zwłaszcza tymi, które nakładają ograniczenia na suwerenność państwa i faktyczną bezkarność rządów w odniesieniu do polityki wewnętrznej. Oba państwa potępiają interwencje zbrojne i domagają się prawa weta nie tylko w postaci formalnej – w Radzie Bezpieczeństwa ONZ, ale także w odniesieniu do procesów toczących się poza forum Narodów Zjednoczonych. Moskwa i Pekin uznają globalne zarządzanie (*global governance*) za zachodnią koncepcję, która ma na celu poszerzenie interesów Zachodu.

Nadzieją dla Zachodu pozostaje różnica w długofalowych celach Rosji i Chin. Pomimo podobnego „punktu wyjścia" stanowiska tych dwóch państw w polityce globalnej i gospodarce znacznie się różnią, co w znacznym stopniu wpływa na ich działania.

Różny stopień korzyści, jakie Rosja i Chiny uzyskały w wyniku procesów ekonomicznej globalizacji po zimnej wojnie, ukształtowały ich postawy wobec fali populizmu, która podważa liberalny porządek międzynarodowy od środka. Chiny mają dużo więcej do stracenia, jeśli protekcjonistyczne stanowisko, które stało się dominujące w USA od czasu wyborów Donalda Trumpa, zmusi innych globalnych graczy do odwetu. Z tej perspektywy uzasadniona jest teza, że Pekin jest zainteresowany utrzymaniem pewnego stopnia stabilności polityczno-gospodarczej i otwartości gospodarczej w świecie zewnętrznym. Jednocześnie zarówno USA, jak i Unia Europejska zdają się tracić cierpliwość wobec chińskiego modelu kapitalizmu państwowego, czego amerykańsko-chińska wojna handlowa jest najlepszym przykładem. Pekin próbuje w tej sytuacji osiągnąć dwa cele za jednym zamachem: przedstawić siebie jako obrońcę globalizacji gospodarczej i utrzymać wsparcie państwa dla wzrostu gospodarczego i postępu technologicznego.

Rosja znajduje się na przeciwnym końcu spektrum. Choć elity rządzące skorzystały z finansowej otwartości świata zachodniego, rosyjska gospodarka już niekoniecznie. Biorąc pod uwagę ograniczoną ofertę ekonomiczną, Rosja nie może oczekiwać czerpania profitów z globalizacji – jest raczej podatna na utratę atutów. Ten brak stawki w grze skłonił Kreml do podważania fundamentów ładu międzynarodowego, począwszy od aneksji Krymu poprzez kultywowanie więzi i finansowe wsparcie dla prawicowych i lewicowych radykalnych ruchów na Zachodzie, po ingerencję

eprasa.pl 53cf282579

w demokratyczne procesy wyborcze. Moskwa wydaje się wierzyć, że ma więcej do zyskania, wzbudzając niestabilność i niepewność na poziomie międzynarodowym, niż grając zgodnie z zasadami.

W dłuższej perspektywie podejścia Rosji i Chin mogą okazać się nie do pogodzenia. Bilans rosyjskiego awanturnictwa może okazać się coraz bardziej negatywny dla strony chińskiej. Podczas gdy Moskwa liczy, że narastający chaos międzynarodowy ułatwi jej prowadzenie polityki mimo ograniczonych zasobów, Pekin potrzebuje otwartej gospodarki globalnej i minimalnej stabilności politycznej.

***

Problemem dla Zachodu nie jest współpraca rosyjsko-chińska, choć bez wątpienia ogranicza ona pole manewru państwom zachodnim. Zacieśnianie więzi między Moskwą i Pekinem utrudnia, a wręcz czyni niemożliwym izolację jednego z tych państw na arenie międzynarodowej. Jednocześnie stosunki rosyjsko-chińskie są wciąż dalekie od osiągnięcia stanu faktycznego antyzachodniego sojuszu – zbyt wiele jest przeszkód na tej drodze. Największym wyzwaniem dla Zachodu są równoległe działania prowadzone przez Rosję i Chiny. Każde z nich ma swoje metody osłabiania Zachodu jako takiego i ograniczania zachodniej dominacji w porządku globalnym. Powody do optymizmu w Europie i Stanach Zjednoczonych przynosi w tej sytuacji długofalowa rozbieżność celów Moskwy i Pekinu. Chińskie elity rządzące potrzebują – między innymi dla zachowania władzy – stabilnego i otwartego świata zewnętrznego w dużo większym stopniu niż ich partnerzy na Kremlu.

Zacieśnianie więzi między Moskwą i Pekinem utrudnia, a wręcz czyni niemożliwym izolację jednego z tych państw na arenie międzynarodowej.

Marcin Kaczmarski jest wykładowcą na uniwersytecie w Glasgow, zajmuje się stosunkami rosyjsko-chińskimi i rosyjską polityką zagraniczną.

eprasa.pl 53cf282579

Albania: kraniec krańców

Z Małgorzatą Rejmer, pisarką oraz reportażystką, autorką książki *Błoto słodsze niż miód. Głosy komunistycznej Albanii* (Wołowiec 2018), rozmawia Krzysztof Popek

KRZYSZTOF POPEK: Za książkę *Błoto słodsze niż miód. Głosy komunistycznej Albanii* została Pani nagrodzona Paszportem „Polityki" w kategorii Literatura. Jako osoba zafascynowana Bałkanami byłem pozytywnie zaskoczony: książka dotycząca Albanii, kojarzonej w Polsce zbyt często jedynie z raperem o pseudonimie Popek, zostaje wyróżniona tak prestiżową nagrodą. A tych stereotypów jest znacznie więcej. Jaki jest przepis na opisanie nieznanego i egzotycznego kraju w ten sposób, by przyciągnąć polskiego czytelnika?

MAŁGORZATA REJMER: Pewnie trochę przypadku, trochę szczęścia, dużo czasu, potu i łez. Na początku 2015 roku zamieszkałam w Tiranie, licząc na to, że w kilka miesięcy napiszę „Albanię dla początkujących", a tymczasem musiały minąć cztery lata, żeby powstała książka dźwigająca ciężar problemów, z jakimi się zderzyłam. To była długa droga, w sensie emocjonalnym i warsztatowym. We wstępie do *Dzikiej Europy* Božidara Jezernika jest lista przykazań dla badaczy: „Naucz się języka, zapomnij, w co wierzyłeś wcześniej, szukaj prawdy, nie potwierdzenia założeń, zamieszkaj na Bałkanach przez kilka lat". Nie sądziłam, że będę musiała oddać Albanii taki kawałek życia, ale okazało się, że rzeczywistość wokół jest dużo bardziej złożona, niż zakładałam. Przeczytałam niezliczoną liczbę książek i artykułów, bo cały czas towarzyszyło mi poczucie, że żyję w kraju, który mi się wymyka. Musiałam wżyć się w Albanię, przeżyć ją głęboko, by zrozumieć rzeczy, o których Albańczycy nie chcieli mówić. A jednocześnie chciałam opisać tę historię tak, by polskiemu czytelnikowi łatwo było się utożsamić z bohaterami. Czytając o komunistycznej Albanii, dostaje on uniwersalne opowieści o zniewoleniu, o poszukiwaniach wolności i szczęścia w systemie totalitarnym.

Kultura albańska z trudem przebija się poza Albanię, co raczej nie jest specyfiką tego kraju, ale ogólnym problemem tak zwanych małych narodów. Polski czytelnik może zapoznać się z książkami Ismaila Kadare czy Fatosa Kongoliego. Co szczególnego możemy znaleźć w kulturze albańskiej?

Być może najbardziej definiują ją rzeczy, których nie można w niej znaleźć. W porównaniu z życiem kulturalnym Kosowa kultura Albanii wydaje mi się dużo bardziej zachowawcza i konserwatywna. Niemal nie wybrzmiewa w niej głos

eprasa.pl 53cf282579

kobiet, nie licząc może Rity Petro, Luljety Lleshanaku, Flutury Açki, Miry Meksi czy mało znanej w Albanii Orneli Vorpsi. Brakuje wyraźnych głosów ludzi młodych, dzisiejszych trzydziesto- i czterdziestolatków, którzy umieliby opowiedzieć o doświadczeniu transformacji ustrojowej. Starsze pokolenie pisarzy dobrze sobie radzi z komunistycznym rozliczeniami, mamy opowiadania Ylljeta Aliçki, przetłumaczone na język polski, prozę Fatosa Kongoli i eseje Fatosa Lubonji, jest zanurzona w przeszłości proza Ridvana Dibry, Stefana Çapaliku, Bashkima Shehu, ale brakuje mi powieści, które znalazłyby język do opisania współczesności. Trochę lepiej radzi sobie z tym sztuka – tu mamy kilka interesujących nazwisk, takich jak Enkelejd Zonja, Gentian Shkurti, Alban Hajdinaj czy Olson Lamaj, ale i tak mam wrażenie, że najbardziej wywrotowy jest anonimowy *street art*, tworzony przez efemeryczne kolektywy „młodych gniewnych", bez żadnych artystycznych pretensji, z czystej potrzeby zamanifestowania wściekłości.

W książce często mówi Pani o Albanii widzianej z perspektywy Tirany, która jako stolica rozwija się w zupełnie innym tempie niż reszta kraju. Kiedy podróżowałem po Bułgarii, zazwyczaj słyszałem, żeby nie jechać do Sofii, bo to nie jest prawdziwa Bułgaria, a po prostu kolejna europejska stolica. Czy można odnieść to do Albanii?

Mam coraz większe poczucie, że europejskość i kosmopolityczność Tirany stają się tragedią Albanii. Rozdźwięk między stolicą a resztą kraju jest coraz bardziej uderzający, zwłaszcza gdy obserwuję budowlany *boom*, który przeżywa Tirana. Cała Albania patrzy na stolicę i jej zazdrości, jakby to był inny kraj. Południe Albanii wyludnia się w zastraszającym tempie, nie ma wielu nowych projektów infrastrukturalnych, nie ma pracy ani dla starych, ani dla młodych, więc kto chce żyć godnie, musi przenieść się do Tirany albo wyemigrować. W pierwszym roku prac nad książką ciągle słyszałam, że prawdziwa Albania jest poza Tiraną, i dopiero później zrozumiałam, co Albańczycy mają na myśli. Świat poza stolicą i miastami, takimi jak Durres, Szkodra i Wlora, to głównie rzeczywistość starszych ludzi, czekających na dzieci, które wyjechały za granicę, i na wnuki widywane raz na jakiś czas.

Droga albańskiego komunizmu, jego upadku oraz przemian demokratycznych wydaje się zupełnie inna niż w przypadku innych krajów demoludów. Z czego to wynika?

Ziemie albańskie były przez stulecia najbardziej odizolowanym skrawkiem Bałkanów. Jednocześnie Albańczycy zawsze wykazywali dużą elastyczność religijną i gdy zostali podbici przez Turków, wielu zdecydowało się przejść na islam. To przyniosło Albańczykom uprzywilejowaną pozycję w Imperium Osmańskim, ale jednocześnie zahamowało rozwój, ponieważ muzułmańscy Albańczycy zaczęli być utożsamiani z Turkami i w in-

eprasa.pl 53cf282579

teresie imperium było duszenie w zarodku wszelkich ruchów nacjonalistycznych. Zabronione było nauczanie po albańsku i wydawanie książek w tym języku. Dlatego ruch narodowy zaczął się tu kształtować z opóźnieniem, głównie jako reakcja na klęski wojenne Turcji i terytorialne aspiracje Serbii i Grecji, które chciały wchłonąć ziemie albańskie.

Kiedy Enver Hoxha obejmował władzę w glorii zwycięzcy walki z faszyzmem, Albania była krajem odizolowanym, zapóźnionym, feudalnym i patriarchalnym. Hoxha przejął władzę tak, jak wcześniej przejmowali ją bejowie: krwawo eliminując inteligencję wykształconą na Zachodzie i zabijając lub wrzucając do więzienia wszystkich potencjalnych przeciwników politycznych. Można powiedzieć, że Hoxha łączył metody stalinowskie z autorytarnym okrucieństwem albańskich paszów. Ale i poprzedni władca Albanii, król Zogu, rządził krwawo, a gdy w latach trzydziestych ubiegłego wieku w Fier wybuchł nieudolny bunt, Zogu kazał rozstrzelać kilkudziesięciu spiskujących. Ten despotyzm władców i brak demokratycznych instytucji położył się cieniem na albańskim komunizmie. Pod względem geograficznym Albania była zawsze daleko od Europy, a rządy Envera Hoxhy, który po kolei zrywał sojusze z Jugosławią, Związkiem Radzieckim i Chinami, pogłębiły izolację. Komunizm przybrał tu najbardziej okrutną i skrajną formę spośród wszystkich krajów bloku wschodniego, a gdy Albańczycy odzyskali wolność i przyszedł kapitalizm, on również objawił się bez żadnych instytucjonalnych hamulców, w chaosie raczkującej demokracji, w systemie zmieniających się reguł, formułowanych *ad hoc*.

***Błoto słodsze niż miód* często wyraża atmosferę pewnej beznadziei i fatalizmu panującego w społeczeństwie albańskim. Albania prezentuje się jako kraj, z którego każdy chce uciec. Jak widzi Pani przyszłość Albanii w kontekście problemu migracji?**

Wyjazd to *idée fixe* większości moich znajomych. Według badań Instytutu Gallupa 79 procent młodych mogłoby w każdej chwili wyjechać z Albanii na zawsze. To najwyższy wskaźnik na Bałkanach, kolejna jest Bośnia z 62 procentami. Na dodatek Albania jest na czwartym miejscu (po Sierra Leone, Liberii i Haiti) wśród krajów, z których dorośli najbardziej chcą wyjechać, chociaż nie ma tu ani wojny, ani epidemii, ani klęski żywiołowej. Cała Albania, można powiedzieć, żyje na walizkach, kombinując, jak by się stąd wydostać i zacząć „normalne życie". Kwestia paszportów, wiz i stypendiów to temat, który ciągle wraca w rozmowach.

Największym wyzwaniem dla rządzących jest zapewnienie miejsc pracy, tak by młodzi nie musieli wyjeżdżać za chlebem, i przywrócenie poczucia sprawiedliwości. Całe Bałkany mierzą się z drenażem mózgów, to jest problem, który dotknął także Polskę, ale w tak małym kraju, w którym brakuje specjalistów, a system edukacji jest ułomny, skutki *brain drain* są katastrofalne. Niemcy, na przykład, przyjmują

eprasa.pl 53cf282579

młodych albańskich lekarzy z otwartymi ramionami, skracając do minimum procedury migracyjne. Na kursach niemieckiego w Tiranie są więc prawie sami studenci medycyny, a lekarzy w szpitalach brakuje. Do tego dochodzi dramatyczny spadek dzietności wśród Albańczyków i w rezultacie mamy kraj, który ekspresowo się starzeje i wyludnia.

Albańczyków jest znacznie więcej niż w samej Albanii. Jak wyglądają perspektywy na powstanie Wielkiej Albanii – zjednoczenie Albanii, Kosowa i zachodniej Macedonii?

Po pierwsze, zupełnie inaczej wygląda kwestia nacjonalizmu w Albanii niż Kosowie. Kosowo mierzy się z serbskim „Innym", mniejszość albańska czuje się obco w Macedonii, a Albańczycy są pochłonięci problemami Albanii. Jeden z dyplomatów powiedział mi, że biorąc pod uwagę impet patriotycznego wzmożenia, Kosowo prędzej zjednoczy się z zachodnią Macedonią niż z Albanią – ale i tak o żadnej Wielkiej Albanii z perspektywy Zachodu nie może być mowy. Stabilizacja na Bałkanach jest krucha i żadna zewnętrzna siła polityczna nie ma w tym interesu, by ją zaburzać zjednoczeniem Albanii i Kosowa.

Po drugie, obserwuję w ostatnich latach wyczerpywanie się narracji prounijnej, proeuropejskiej. „Unia wzięła we władanie Kosowo", mówią czasem Albańczycy, „i zobaczcie jak nieszczęśni Kosowianie na tym wyszli – mają u siebie korupcję, słabe sądy, zorganizowaną przestępczość, panoszących się Europejczyków, i tak samo jak my uciekają tysiącami". Nawet jeśli Kosowo patrzy na Albanię z sentymentem jak na macierz, to Albania widzi w Kosowie przede wszystkim kraj-problem.

Ale po trzecie, raz na jakiś czas albańscy politycy flirtują z ideą połączenia Albanii i Kosowa, głównie po to, by przypodobać się elektoratowi, bo mimo wszystko jest to marzenie, które każdy w sobie nosi. Niedawno Edi Rama powiedział, że połączenie Albanii i Kosowa to nawet nie jest plan B, tylko plan A, na co premier Kosowa odparł, że dziękuje, ale Kosowo nie jest zainteresowane. To powtarzająca się strategia Ramy, który próbuje w ten sposób pokazać Unii Europejskiej, że jeśli będzie w nieskończoność odrzucała Albanię, to kraj ten poszuka alternatyw i zwróci się ku integracji z Kosowem albo ku Turcji.

Nastroje w Albanii są w tym momencie bardzo złe, rośnie gniew wobec polityków wszystkich partii i niewykluczone, że w dłuższej perspektywie może to wykorzystać kosowska partia Vetëvendosje, żeby budować wpływy w Tiranie. Ze wszystkich stron słyszę, że potrzeba nowej krwi w albańskiej polityce, na ulice wychodzą tysiące protestujących studentów i zwykłych obywateli, ale na razie nie widzę ludzi, którzy mogliby stworzyć nową partię, zająć miejsce utuczonych lisów i poskromić oligarchów.

Odkąd tutaj jestem, mam poczucie, że nastroje się pogarszają, ale w ostatnim roku doszło do jakiegoś załamania, tak jakby faktycznie wyczerpała się nadzieja.

eprasa.pl 53cf282579



Rafał Komorowski (CC BY-SA 4.0) commons.wikimedia.org

Małgorzata Rejmer: Coraz bardziej mam poczucie, że europejskość i kosmopolityczność Tirany stają się tragedią Albanii. Rozdźwięk między stolicą a resztą kraju jest coraz bardziej uderzający, zwłaszcza gdy obserwuję budowlany boom, który przeżywa Tirana. Cała Albania patrzy na stolicę i jej zazdrości, jakby to był inny kraj.

sa.pl 53cf282579

Ludzie nie są w stanie już znieść kłamstw rządowej propagandy. Tłum, który wychodzi na ulice, jest coraz bardziej zdesperowany, a o Unii Europejskiej coraz częściej mówi się jako o zgrai kłamców, którzy dla własnej wygody i iluzji „bałkańskiej stabilizacji" klepią Ediego Ramę po plecach i pozwalają mu ciągnąć kraj na dno.

Przejdźmy do Pani wcześniejszej książki: *Bukaresztu. Kurzu i krwi*. Może to podobne pytanie, co w przypadku tematów albańskich: dlaczego Rumunia? Jest to kraj kojarzony w Polsce z szeregiem stereotypów, w praktyce stanowi kolejną *terra incognita*, mimo że jest znacznie mniej odległa geograficznie.

Gdy pojechałam do Bukaresztu po raz pierwszy, miałam wrażenie, że wszystko tam jest moje, że ja to znam. A to było dziesięć lat temu, Bukareszt wyglądał dużo gorzej niż teraz. Wszędzie ślady rozmachu i aspiracji pod warstwą brudu i prowizorki, i jeszcze ta architektoniczna bezwzględność komunizmu, wielkie przestrzenie, niekończące się ściany bloków. Ludzie jednocześnie szorstcy i wylewni. Wróciłam do Polski, ale Rumunia nie dawała mi spokoju. Znałam już wtedy twórczość Herty Müller, znałam kino rumuńskie i postanowiłam, że napiszę doktorat o rumuńskiej Nowej Fali. I faktycznie, zaczęłam się uczyć języka, robić wywiady z artystami, przyjechałam do Bukaresztu, ale wkrótce zrozumiałam, że doktorat nie jest priorytetem, że chcę napisać książkę reporterską. Dzisiaj myślę, że *Bukareszt* to nie jest jednak reportaż, bo ta książka nie wzięła się ze zdyscyplinowanej pracy dziennikarskiej, jak *Błoto*, tylko z mojego życia w Rumunii, z przypadku, zachwytu, z potrzeby eksperymentów literackich.

O reżimie Nicolae Ceaușescu mówiło się jako o jednym z najcięższych w bloku państw wschodnich. Często podobne oceny padają wobec rządów Envera Hoxhy w Albanii. Czy doświadczenia albańskiego i rumuńskiego komunizmu są podobne?

Spotkałam w Tiranie pewną znakomicie wykształconą Rumunkę, która mi powiedziała: „U nas było tak samo jak w Albanii!". Ale wystarczy spojrzeć na zdjęcia z tamtych czasów, by zobaczyć, jak bardzo się myli. „Rama teoretyczna", powiedzmy, była bardzo podobna: ideologia nowego człowieka, komunizm jako system modernizujący słabo wykształcone społeczeństwo agrarne, obsesja industrializacji i całkowita kolektywizacja rolnictwa, wprowadzona bezlitośnie i konsekwentnie. Ale inny był w tych krajach sposób prowadzenia polityki zagranicznej i inaczej wyglądał system represji, co wiązało się z różnymi osobowościami dyktatorów, Ceaușescu i Hoxhy.

Pamiętajmy jednocześnie, że Albania była w 1945 roku krajem feudalnym, bez nawet jednego uniwersytetu, z wątłą siecią szkół podstawowych i zawodowych oraz niewielką warstwą inteligencji wykształconą na Zachodzie, w Turcji, Grecji albo w Rumunii. Obejmując władzę, Hoxha nie napotkał prawie żadnego oporu, a w póź-

eprasa.pl 53cf282579

niejszych latach, jako wierny uczeń Stalina, stosował zasadę, że lepiej zabić niewinnego człowieka, niż przeoczyć wroga. Przez czterdzieści lat swoich rządów doskonalił aparat terroru: sieć więzień politycznych i obozów pracy, stosowanie odpowiedzialności zbiorowej, powtarzające się co kilka lat fale przemocy – egzekucje kluczowych polityków, aresztowania i internowania ludzi kultury.

Ceaușescu z kolei po dojściu do władzy w 1965 roku złagodził ostry kurs swojego poprzednika Gheorghe Gheorghiu-Deja, a w 1968 roku podbił serca Rumunów, wygrażając pięścią Związkowi Radzieckiemu po radzieckiej inwazji na Czechosłowację. O ile Hoxha w latach sześćdziesiątych zerwał ze Związkiem Radzieckim i zwrócił się ku Chinom, radykalizując komunistyczne hasła, o tyle Ceaușescu cały czas flirtował z Zachodem i Stanami Zjednoczonymi i był uważany za przywódcę niemal liberalnego. Z tego tytułu Rumunia, jako prozachodni i antyradziecki buntownik bloku wschodniego, przez dekadę mogła liczyć na zachodnie pożyczki. Albania z kolei odwracała się od Europy, zamieniając się w twierdzę jedynie słusznego komunizmu o zapieczętowanych granicach, a w 1978 roku zerwała kontakty nawet z Chinami.

W latach osiemdziesiątych XX wieku obydwa kraje były zrujnowane, ale to Hoxha umarł we własnym łóżku, nie mając nikogo, kto mógłby mu zagrozić, a Ceaușescu został rozstrzelany w wyniku spisku wojskowych i ku radości tysięcy ludzi protestujących na ulicach.

Jak podkreśla często Lucian Boia, „Rumunia jest inna". Mam wrażenie, że w dużej mierze wynika to z jej eklektycznego składu: bałkańska Wołoszczyzna, środkowoeuropejski Siedmiogród, wschodnia Mołdawia. Czy te podziały wciąż widoczne są w społeczeństwie rumuńskim? Jak Pani w ogóle ocenia koncepcję „inności" Rumunii?

Jedna z książek Boi nazywa się *Rumunia, na krańcach Europy*, jakby nie było całych Bałkanów pod rumuńskimi stopami, jakby Europa była tożsama z Zachodem i zachodnim systemem myślenia. Boia wielokrotnie mówi o mentalnym niedorozwoju Rumunów w stosunku do tak zwanej Europy, czym wpisuje się w typową dla rumuńskich intelektualistów narrację „imponującego opóźnienia" i potrzeby „nadrabiania zaległości". Mam wrażenie, że dla Luciana Boi ta rumuńska „inność" to przede wszystkim niezachodniość, niedostateczna europejskość, ale też „ekscentryczność" i nadzwyczajna kulturowa patchworkowość, jakby Rumunia była kapą uszytą z różnokolorowych materiałów. Oświecenie wraz ze swoją filozofią i systemem pojęć zatrzymało się na Siedmiogrodzie, więc Wołoszczyzna i Mołdawia to już dla Boi „ziemie ciemne", „ostatnie i dalekie, choć ciągle w Europie".

Łatwiej jest mi zrozumieć koncepcję „inności" w kontekście mitu Rumunii jako łacińskiej wyspy na morzu Słowiańszczyzny, ale to też jakaś forma iluzji. Boia jest wybitnym intelektualistą, który roztrzaskuje rumuńskie mity wielkości, bez-

eprasa.pl 53cf282579

litośnie punktuje wielowiekowe słabości Rumunii i tłumaczy nimi współczesne porażki. Ale z drugiej strony ta zapóźniona Rumunia drugiej połowy XIX wieku jest w oczach wielu albańskich intelektualistów ziemią obiecaną, gdzie mogą wreszcie zakładać swoje drukarnie, publikować albańskojęzyczne książki i gazety, uczyć się na uniwersytetach. Wystarczy więc spojrzeć na Rumunię z perspektywy albańskiej, krańca krańców, by zobaczyć ekspresowo modernizujący się kraj, który staje się dla Albańczyków oknem na Zachód. Jaka więc miałaby być Albania, najbardziej z krajów bałkańskich naznaczona dziedzictwem osmańskim, jeśli nie inna, jeszcze bardziej inna niż Rumunia?

Zawsze mnie interesował problem stosunku Rumunii do Mołdawii. Czy istnieją tu perspektywy zjednoczenia i odbudowy Rumunii z granic międzywojennych? Czy w ogóle Rumuni chcieliby tego zjednoczenia, biorąc pod uwagę przepaść ekonomiczną, jaka dzieli oba te kraje?

Wydaje mi się, że różnica ekonomiczna nie jest tak wielkim problemem jak różnica mentalna. Od 1812 roku Mołdawia rozwijała się w kompletnie innym trybie, była oddzielona od Rumunii i podlegała rusyfikacji, a potem sowietyzacji. Dziś cała Rumunia jest poznaczona graffiti „Besarabia jest Rumunią", i cóż tego? Byłam w Mołdawii tylko raz, w 2008 roku, kiedy wszyscy wokół próbowali uzyskać obywatelstwo rumuńskie, żeby móc pracować w Unii Europejskiej. Ten ich pęd ku Rumunii był głównie pragmatyczno-ekonomiczny, nie sentymentalny, choć i tak mówiło się dużo o ewentualnym zjednoczeniu Rumunii i Mołdawii. Przedstawiając rumuńską perspektywę, Lucian Boia mówi o zjednoczeniu jako o „akcie historycznej sprawiedliwości" – wszak dla Rumunów Mołdawianie są po prostu Rumunami – ale z drugiej strony Boia podkreśla, że dziś mamy do czynienia przede wszystkim z krystalizacją mołdawskiej tożsamości.

W *Bukareszcie. Kurzu i krwi* wskazywała Pani na fatalizm jako jedną z kluczowych cech społeczeństwa rumuńskiego. Jak jest obecnie? Czy życie przez blisko trzydzieści lat w demokratycznym państwie, udział w projekcie, jakim jest Unia Europejska, zmienił nieco ten stan rzeczy?

Skończyłam pisać Bukareszt na początku 2012 roku, kiedy miałam poczucie, że wszyscy wokół tkwią w głębokim marazmie, że Rumunia jest na dnie, a zaraz potem ruszyły protesty młodych przeciwko eksploatacji złóż w wioskach Roşia Montana, najpierw nieśmiałe, potem coraz większe, kilkudziesięciotysięczne. I te zrywy społeczeństwa obywatelskiego powtarzały się regularnie, a ich postulaty były coraz bardziej polityczne, bo żądały głębokiej reformy państwa i instytucji. Młodzi zrobili wielki krok do przodu, doprowadzili do dymisji premiera Victora Ponty i poczuli swoją siłę jako obywatele. Ale obywatelski tumult na ulicach miast to jeszcze za mało. U władzy cią-

eprasa.pl 53cf282579

gle jest Partia Socjaldemokratyczna, dowodzona przez Liviu Dragneę, który wielokrotnie pokazał, że nie cofnie się przed niczym, a niedawno odniósł wielki sukces, usuwając Laurę Codruţę Kövesi z funkcji szefowej Krajowej Dyrekcji Antykorupcyjnej. A przecież to ona była twarzą zmian, to ona była symbolem nowej Rumunii, niezłomnie walczącej z korupcją, i jej odejście podkopało nastroje społeczne, powrócił pesymizm. Mimo wszystko rumuńska mentalność się zmienia, wzmacnia się społeczeństwo obywatelskie, ale nie doszło jeszcze do wymiany zepsutej krwi w politycznym krwiobiegu, prawdziwej zmiany warty. Po dwóch krokach do przodu Rumuni zostali zmuszeni, by zrobić krok do tyłu, ale dzieje się to w okresie, gdy zarówno w Europie Środkowo-Wschodniej, jak i na Bałkanach politycy cynicznie naginają zasady demokracji i osłabiają władzę sądowniczą, korzystając ze słabości Unii Europejskiej.

W okresie międzywojennym Polacy i Rumuni byli często przedstawiani jako bratnie narody, przed którymi stoją podobne wyzwania i które znalazły się w podobnym położeniu. Jak jest teraz? Czy zostało coś z tego podobieństwa?

Spośród wszystkich narodów europejskich Rumuni darzą Polaków największą sympatią, z czego często nie zdajemy sobie sprawy. Przez długi czas Rumuni stawiali Polskę za wzór udanej integracji z Unią Europejską i sprawności w pozyskiwaniu funduszy unijnych. Rumuni zazdrościli Polakom społeczeństwa obywatelskiego, sprawnej administracji, nowych inwestycji, sieci dróg. Gdy mieszkałam w Bukareszcie, miałam wrażenie, że Polska służyła Rumunom do biczowania się – dlaczego nie jesteśmy tacy jak Polacy, dlaczego im się udało, a nam nie? Ale potem wiele się zmieniło – od 2012 roku Rumunia notuje rok po roku jeden z największych w Unii wzrostów gospodarczych, a Polska stała się *enfant terrible* Unii Europejskiej, elementem wywrotowym i nieprzewidywalnym, który trudno traktować serio.

Była Rumunia, jest Albania, co dalej?

To jest trudne pytanie. Mam pomysły na kilka kolejnych bałkańskich książek, mam też pomysły na powieści, więc na wszelki wypadek przygotowuję dla siebie różne scenariusze. Chciałabym zostać na Bałkanach, bo mam tu ciekawą perspektywę na Europę, ale biorę też pod uwagę powrót do Polski.

Małgorzata Rejmer jest pisarką oraz reportażystką, obecnie mieszka w Tiranie. Autorka książek *Bukareszt. Kurz i krew* (Wołowiec 2013) oraz *Błoto słodsze niż miód. Głosy komunistycznej Albanii* (Wołowiec 2018). Laureatka wielu nagród literackich, w 2019 roku wyróżniona Paszportem „Polityki" w kategorii Literatura.

eprasa.pl 53cf282579

REKLAMA



eprasa.pl/53cf28257

Kozacy na planecie Kaukaz

Leszek Szerepka

Na Kaukazie żyli od wieków, przelewali krew, walczyli o swoje prawa, byli skonfliktowani pomiędzy sobą i konfliktowali się z miejscową ludnością. Czasem można odnieść wrażenie, że byli jedynie pionkami w grze, czasem, że stanowili zalążek poważniejszej siły. O kim mowa? O Kozakach, których na planecie Kaukaz nie mogło zabraknąć.

Pierwsi Kozacy osiedlili się nad Terekiem jeszcze w XVI wieku. Jak się przypuszcza, byli to uchodźcy znad Wołgi, gdzie po zdobyciu przez Rosję Kazania kozactwo straciło rację bytu. W późniejszym okresie dołączyła do nich spora grupa staroobrzędowców uciekających przed prześladowaniami religijnymi.

Wiekowe odseparowanie od Rosji sprawiło, że miejscowi Kozacy wykształcili własny dialekt i obyczaje, w których wiele elementów zostało zaczerpniętych z kultury górali kaukaskich. Nawet fizycznie różnili się od Rosjan, te odrębności znakomicie wychwycił i opisał Lew Tołstoj w opowiadaniu *Kozacy*.

Doskonała znajomość terenu i obyczajów okolicznych ludów sprawiła, że Kozacy odegrali niepoślednią rolę w realizacji carskiego planu podboju Kaukazu. Używano ich do akcji pacyfikacyjnych oraz obsadzania umocnionych punktów na zdobytych terenach. Tak między innymi powstała w 1818 roku twierdza Groznaja, obecna stolica Czeczenii. W 1832 roku wszystkie stanice (z wyjątkiem tworzących Wojsko Czarnomorskie) weszły w skład Kaukaskiego Kozackiego Wojska Liniowego, które spełniało funkcję kordonu sanitarnego między terenami górali a pozostałymi posiadłościami cara.

Krwawa sprzeczka

Przez lata między Kozakami a Wajnachami rósł rachunek krzywd. Podczas bolszewickiej zawieruchy, kiedy Kozacy przestali być częścią represyjnego systemu władzy, górale próbowali sami wymierzyć sprawiedliwość. Ingusze spalili kozackie stanice wybudowane wzdłuż rzeki Sunża, twierdząc, że te tereny należały do ich przodków. Zasada „dziel i rządź", z zamiłowaniem stosowana przez władze bolszewickie także na Kaukazie, jeszcze pogłębiła istniejące między różnymi etnosami konflikty.

eprasa.pl 53cf282579

W 1944 roku Stalin podjął decyzję o deportowaniu wszystkich Czeczenów i Inguszów do Kazachstanu i Kirgistanu, jakoby za kolaborcję z III Rzeszą. Ich republika autonomiczna została zlikwidowana, a na jej miejsce utworzono, w innych granicach, obwód groźnieński. Zresztą samo miasto Grozny nie ucierpiało zbytnio w wyniku deportacji, gdyż odsetek rdzennej ludności był w nim wówczas znikomy. Kiedy w 1957 roku podjęto decyzję o odtworzeniu Czeczeno-Inguskiej Autonomicznej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej, to w jej granicach pozostawiono należące wcześniej do Kraju Stawropolskiego dwa rosyjskie rejony: naurskij i szełkowskij, natomiast zasiedlony wcześniej głównie przez Inguszów rejon prigorodnyj pozostał w Osetii Północnej.

Wówczas nikt nie odważył się protestować, gdyż oficjalnie zadekretowana przyjaźń między narodami należała do podwalin systemu sowieckiego, jednak pamięć na Kaukazie żyje długo i zazwyczaj cieszy się dobrym zdrowiem. Coraz bardziej widoczne, u schyłku lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku, oznaki rozpadu imperium sowieckiego natychmiast doprowadziły do odnowienia starych pretensji i konfliktów. Stroną narzucającą warunki byli tym razem górale, którzy różnymi sposobami zaczęli zachęcać ludność pochodzenia słowiańskiego do opuszczenia Czeczeno-Inguskiej Republiki.

Narastające konflikty etniczne na Kaukazie przyczyniły się także do przyspieszenia procesu samoorganizowania się miejscowych Rosjan. Przede wszystkim zaczęło odradzać się zlikwidowane przez bolszewików kozactwo. Już w marcu 1990 roku, na kręgu we Władykaukazie, potomkowie Kozaków zdecydowali o utworzeniu Terskiego Wojska Kozackiego. We wrześniu 1990 roku powstał Stawropolski Krajowy Związek Kozaków. Organizacje kozackie domagały się od władz w Moskwie zaprowadzenia porządku na Kaukazie Północnym, jednak ich apele pozostawały bez echa. Szykany wobec ludności słowiańskiej, napady rabunkowe, a nawet zabójstwa zdarzały się coraz częściej.

Sytuacja była tak napięta, że banalna sprzeczka weselna między Kozakami i Inguszami doprowadziła do krwawego pogromu. 27 kwietnia 1991 roku grupa uzbrojonych Inguszów napadła na stanicę Troicką, pięciu Kozaków zostało zabitych, a pięćdziesięciu trzech rannych. Napastnicy spalili kilka domów i samochodów. Już następnego dnia w Troickiej powstał „Komitet ocalenia sunżeńskich Kozaków", który zażądał między innymi przywrócenia Sunżeńskiego Okręgu Autonomicznego. Obradująca 7 maja w Moskwie Mała Rada Atamanów Związku Kozaków poparła ten postulat, domagając się także od władz Rosyjskiej Socjalistycznej Federacyjnej Republiki Sowieckiej wprowadzenia w rejonie stanu nadzwyczajnego i umożliwienia Kozakom sformowania oddziału samoobrony w ramach Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

eprasa.pl 53cf282579

Moskwa postrzegała jednak sytuację na Kaukazie Północnym w mniej dramatycznych barwach. Borys Jelcyn początkowo popierał nawet ruch nacjonalistyczny w Czeczeno-Inguskiej Republice, ceniąc jego antykomunistyczne ostrze. W rewanżu, podczas wyborów prezydenckich w czerwcu 1991 roku, Jelcyn uzyskał w tej republice poparcie znacznie przekraczające średnią z całej Rosyjskiej Socjalistycznej Federacyjnej Republiki Sowieckiej (ponad 80 procent wobec około 57 procent średniej). W tych uwarunkowaniach nie dziwi, że Kozacy terscy w sierpniu 1991 roku zdecydowali się poprzeć Państwowy Komitet ds. Stanu Wyjątkowego (z rosyjskiego GKCzP).

Wielki Krąg

Na wydarzenia w stanicy Troickiej Kozacy odpowiedzieli wieloma buńczucznymi oświadczeniami. Prawda była jednak taka, że bez wsparcia ze strony struktur państwowych byli za słabi, aby utrzymać pozycje w regionie. Ludność słowiańska, nie widząc przed sobą perspektyw, zaczęła wyjeżdżać w głąb Rosji. Proces ten nasilił się po ogłoszeniu przez Czeczeno-Inguszetię 1 listopada 1991 roku deklaracji o suwerenności państwowej republiki. Uchodźcy mogli co najwyżej liczyć na pomoc krewnych. Roznosili oni po całej Rosji niezbyt pochlebne opinie o swoich byłych sąsiadach – góralach kaukaskich. W ramach rewanżu, członkowie organizacji nacjonalistycznych i kozackich zaczęli atakować osoby „narodowości kaukaskiej", oskarżając je najczęściej o etniczną mafijność.

Na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku Rosja jako państwo przestała wypełniać na Kaukazie Północnym podstawowe funkcje. Głównym celem liderów organizacji kozackich było zachęcenie struktur państwa do egzekwowania prawa. Zwracali oni uwagę władz, że Kozacy zostali uznani za grupę etniczną represjonowaną w czasach sowieckich i objętą ustawą *O rehabilitacji represjonowanych narodów*, z kwietnia 1991 roku. Zapisy ustawy nie są jednak wypełnianie, a co więcej, separatystyczne władze Czeczenii dopuszczają się wobec Kozaków czystek etnicznych. Atamani domagali się przestrzegania na Kaukazie zapisów konstytucji albo zmian granic administracyjnych, tak aby zamieszkałe przez Kozaków rejony zostały odebrane Czeczenii i przyłączone do Kraju Stawropolskiego. Ostrzegali, że bezczynność organów państwa zmusi ich do wzięcia spraw w swoje ręce.

Za próbę realizacji tych ostrzeżeń można między innymi uznać pomysł odtworzenia Kaukaskiego Wojska Liniowego. Został on zrealizowany w lipcu 1993 roku, podczas Wielkiego Kręgu Kozaków terskich i stawropolskich w stanicy Nowopawłowskiej. Wojsko planowało zorganizować kozackie „siły szybkiego reagowania", które operowałyby na pograniczu czeczeńskim, chroniąc ludność przed atakami uzbrojonych band. Jednak w sytuacji, kiedy Kozacy nie mieli prawa używać broni,

eprasa.pl 53cf282579

nie chcieli współpracować z milicją, a ich środki finansowe były niewielkie, działania te miały pozorny charakter.

Kozaków frustrowała własna bezsilność, więc od czasu do czasu próbowali wymusić realizację postulatów, organizując akcje uliczne. Do najbardziej znanych należała blokada węzła komunikacyjnego w Mineralnych Wodach (sierpień 1993 roku). Towarzyszył jej Nadzwyczajny Krąg Kozaków terskich, podczas którego zażądano utworzenia specjalnej grupy operacyjno-śledczej w celu wyjaśnienia przypadków prześladowania ludności rosyjskojęzycznej na Kaukazie Północnym. Krąg opowiedział się także za utworzeniem z rejonu kizlarskiego (Dagestan), mozdokskiego (Osetia Północna), prochładnieńskiego (Kabardyno-Bałkaria) oraz stanic kozackich w Czeczenii – autonomicznej Republiki Terskiej, ewentualnie Obwodu Terskiego.

Eskalacja konfliktu kozacko-czeczeńskiego nie oznaczała jednak, że strony nie były w stanie podtrzymywać bezpośrednich kontaktów czy nawet współpracować ze sobą. O ile w sporze o rejon prigorodnyj Kozacy poparli Osetyjczyków, o tyle w Abchazji walczyli ramię w ramię z góralami przeciwko Gruzinom. Opozycja antydudajewowska widziała w Kozakach naturalnych sojuszników. Część ekspertów zachęcała organizacje kozackie do podjęcia próby pokojowego porozumienia się z Groznym w ramach Konfederacji Narodów Kaukazu. Zwracali oni uwagę, że groźby użycia siły i głoszenie haseł powrotu do *status quo ante* rewolucji bolszewickiej są kontrproduktywne.

Duży rezonans w środowisku kozackim wywołało podpisanie 24 sierpnia 1994 roku umowy o współpracy między prezydentem Czeczenii Dżocharem Dudajewem oraz atamanem Wszechwielkiego Wojska Dońskiego Nikołajem Kozicynem. Strony zobowiązywały się w nim między innymi do nieudostępniania „swego terytorium" dla wrogich działań przeciwko sygnatariuszom umowy. Spora część Kozaków okrzyknęła atamana Kozicyna zdrajcą. Ekspert rosyjski Wadim Dubnow podkreślał jednak, że umowa miała głównie biznesowy charakter. Atamani Związku Kozackich Wojsk Rosji i Zagranicy (w skład tej organizacji wchodziło także WWD) mieli udziały w zyskach pochodzących z eksportu ropy czeczeńskiej oraz handlu bronią. W Groznym było sporo przedstawicielstw firm znad Donu, a Kozacki Bank w Jessentukach pozostawał pod kontrolą Czeczenów. W tym całym systemie wzajemnych, często nielegalnych, powiązań, Kozacy dońscy byli partnerami handlowymi Czeczenów, a niektóre oddziały Kozaków terskich wypełniały funkcje usługowe.

Atamani domagali się przestrzegania na Kaukazie konstytucji albo zmian granic, tak by zamieszkałe przez Kozaków rejony przyłączono do Kraju Stawropolskiego.

eprasa.pl 53cf282579

U schyłku 1994 roku Kozacy z południa Rosji byli zaskoczeni rozwojem sytuacji wokół Czeczenii. Żądając od lat zaprowadzenia porządku w regionie, najczęściej nie rozpatrywali tego w kontekście działań zbrojnych. Następnego dnia po wkroczeniu armii rosyjskiej do Czeczenii Rada Atamanów Donu zwróciła się z apelem do żołnierzy, aby nie walczyli z własnym narodem i zaproponowała pośrednictwo w rozmowach pokojowych. Obradujący w Jessentukach, 15 stycznia 1995 roku, Krąg Kaukaskiego Wojska Liniowego zdecydował, że Kozacy nie będą brali bezpośredniego udziału w walkach, natomiast są gotowi uczestniczyć w akcjach humanitarnych. Jednocześnie wyraził opinię, że odbudowa Czeczenii powinna być finansowana z jej własnych środków.

Najbardziej pryncypialne stanowisko wobec wydarzeń w Czeczenii prezentował moskiewski zarząd atamański Związku Kozaków. Jeden z liderów związku, ataman Władimir Naumow stwierdził, że w planach wrażych sił Czeczenia była traktowana jako detonator kolejnej fazy rozpadu Rosji. Przestępstwem Kremla było to, że pozwolił, aby ten wrzód dojrzał. Teraz należy go usunąć bez względu na koszty. Kierownictwo ZK miało nadzieję, że aktywny udział Kozaków w uregulowaniu kwestii czeczeńskiej wzmocni pozycje negocjacyjne samego związku, przyspieszy proces odrodzenia ruchu oraz przekona obóz władzy do utworzenia w armii oddzielnych jednostek kozackich, o co od dawna zabiegano.

Zakazana broń

Podczas narady atamanów ZK w Jessentukach (3–4 grudnia 1994 roku), z udziałem przedstawicieli Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Ministerstwa Obrony, Ministerstwa Spraw Wewnętrznych oraz Federalnej Służby Kontrwywiadu, przyjęto oświadczenie „O poparciu kozactwa dla Sił Zbrojnych FR", a także rezolucję „O natychmiastowych działaniach służących obronie praw Kozaków i ludności rosyjskojęzycznej w republikach byłego ZSRS oraz autonomiach narodowych FR". W rezolucji podkreślono konieczność zorganizowania oddziałów kozackich, utworzenia odrębnych okręgów kozackich z własnym samorządem oraz powrotu rejonów: naurskiego i szełkowskiego do Kraju Stawropolskiego. Na spotkaniu z wicepremierem Nikołajem Jegorowem, które odbyło się w Mozdoku 15 grudnia 1994 roku, atamani ZK zaproponowali sformowanie trzech ochotniczych batalionów do działań pomocniczych (ochrona obiektów, likwidacja grup przestępczych). Strona rządowa obiecała rozważyć tę propozycję, choć nie ukrywała, że włączenie do działań w Czeczenii czysto kozackich jednostek może zmienić charakter całego konfliktu.

Ostatecznie władze federalne nie zdecydowały się na tworzenie formacji kozackich. Wielu potomków Kozaków wzięło jednak udział w walkach w Czeczenii w charak-

eprasa.pl 53cf282579

terze żołnierzy kontraktowych. Pewną namiastką jednostki kozackiej był Oddzielny Stawropolski Pułk Kozacki imienia generała Jermołowa, który zaczęto formować u schyłku 1995 roku. Jeden z batalionów tego pułku, liczący pięćset trzydzieści osób, został skierowany do Czeczenii, gdzie wziął udział między innymi w marcowych walkach w obronie Groznego. Według oficjalnych danych, do momentu wycofania z Czeczenii, w maju 1996 roku, po stronie kozackiej padło trzydziestu zabitych, dwieście dziesięć osób zostało rannych. Jedynym wyróżnikiem tej jednostki było to, że służący w niej żołnierze kontraktowi byli rekrutowani nie tylko przez wojskowe komendy uzupełnień, lecz także organizacje kozackie.

O ile większość Kozaków początkowo poparła operację sił federalnych w Czeczenii, wiążąc z nią nadzieje na normalizację sytuacji, o tyle dość szybko zaczęła wśród nich narastać obawa, że wojna doprowadzi do jeszcze większego chaosu. Obserwując nieporadne działania armii rosyjskiej, Kozacy myśleli przede wszystkim o własnym bezpieczeństwie. Atak oddziału Szamila Basajewa na Budionnowsk (czerwiec 1995 roku) czy zajęcie przez komando Salmana Radujewa Kizliaru (styczeń 1996 roku) potwierdzały obawy, że celem odwetowych akcji Czeczenów będą tereny zamieszkałe przez Kozaków. Liderzy ruchu, ostro krytykując poczynania władz federalnych, ze zdwojoną siłą zaczęli domagać się prawa do samoobrony, w tym do dysponowania bronią palną.

Co bardziej zaradni Kozacy od samego początku wojny gromadzili broń. Była ona kupowana od żołnierzy bądź zbierana na polach bitew, a następnie przemycana do stanic. Prokurator Kraju Stawropolskiego Jurij Łusznikow poinformował, że procederem tym najczęściej zajmowały się osoby uczestniczące w akcjach humanitarnych. Kozacy dość emocjonalnie reagowali na wszelkie próby zatrzymywania swoich kolegów pod zarzutem przemytu i przechowywania broni. Dochodziło nawet do gróźb karalnych pod adresem prokuratury i milicji. W konflikt, grożący destabilizacją sytuacji na najbliższym zapleczu frontu, musiał wmieszać się sam gubernator Kraju Stawropolskiego.

Liderzy ruchu kozackiego krytycznie oceniali wszelkie próby politycznego rozgrywania kwestii czeczeńskiej, między innymi podczas prezydenckiej kampanii wyborczej w Rosji. Uważali, że jest to kupczenie krwią żołnierską przez polityków, którzy nie mają bladego pojęcia o czeczeńskiej mentalności. Warunki podpisanego 31 sierpnia 1996 roku w Chasawjurcie układu między generałem Aleksandrem Lebiediem i Asłanem Maschadowem Kozacy uznali za blamaż strony federalnej. Generał Lebied stracił u nich autorytet.

Rada Atamanów Terskiego Wojska Kozackiego, obradująca na początku września w Prochładnym, zażądała natychmiastowego wstrzymania procesu wycofywania wojsk rosyjskich z Czeczenii i zablokowania jakiejkolwiek pomocy finansowej dla

eprasa.pl 53cf282579

tej republiki. Atamani stwierdzili, że do czasu całkowitego rozbrojenia czeczeńskich band wszelkie porozumienia z władzami w Groznym nie mają sensu. Stanowisko Kozaków terskich poparł zarząd atamański ZK, który uznał, że porozumienie z Chasawjurtu „jest pełną kapitulacją państwa przed bandytami" i może w konsekwencji doprowadzić do utraty przez Rosję całego Kaukazu.

Oligarcha słucha

Kozacy znów zaczęli się burzyć. Uliczne akcje protestacyjne przeplatały się z permanentnymi naradami i kręgami. 14 grudnia 1996 roku, ponad 1,5 tysiąca Kozaków zablokowało na godzinę cały system transportowy (lotnisko, linie kolejowe, automagistralę Rostów–Baku) w rejonie Mineralnych Wód. Swoje postulaty strona kozacka najbardziej wyraziście sformowała podczas narady 15 stycznia 1997 roku, w Inoziemcewie. Oprócz około trzystu atamanów wziął w niej udział także zastępca sekretarza Rady Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej, Borys Bieriezowski oraz gubernator Kraju Stawropolskiego Aleksander Czernogorow. Kozacki pakiet zawierał następujące postulaty: utworzenie sztabu kozackich wojsk południa Rosji oraz uzbrojonych oddziałów samoobrony; amnestię dla Kozaków skazanych za posiadanie broni; zwrócenie się do Sądu Konstytucyjnego Federacji Rosyjskiej w sprawie prawomocności przekazania w 1957 roku Czeczeno-Inguszetii części terytorium Stawropola; uporządkowanie prawa obowiązującego w podmiotach Federacji Rosyjskiej w zgodzie z Konstytucją Federacji Rosyjskiej; dopuszczenie przedstawicieli kozactwa do gremiów zajmujących się kwestią czeczeńską oraz terytorialną rehabilitację kozactwa. Władze dostały dziesięć dni na przygotowanie odpowiedzi.

Scena, w której oligarcha Bieriezowski wysłuchuje kozackich żądań, zasługiwałaby na pędzel wielkiego malarza. W tym przypadku zachował się on jak rasowy dyplomata i powiedział Kozakom to, co chcieli usłyszeć. Nawet w kontrowersyjnej kwestii posiadania broni przyznał im rację i obiecał załatwienie tej sprawy w ciągu miesiąca. Zgoda na przekazanie Kozakom broni wywołała w Moskwie polityczną burzę. W odpowiedzi Bieriezowski stwierdził, że obiektywnie władze federalne nie są w stanie zagwarantować Kozakom bezpieczeństwa, dlatego trzeba z nimi szybko znaleźć wspólny język, bo inaczej dojdzie w regionie do wybuchu.

Liderzy ruchu kozackiego forsowali wydarzenia, gdyż chcieli wykorzystać w swoich celach zaplanowane na 27 stycznia 1997 roku wybory prezydenckie w Czeczenii. Kozacy byli przekonani, że jest to kolejny krok na drodze do całkowitego oderwania się tej republiki od Rosji, dlatego chcieli zmusić Moskwę do konkretnych działań. Plan się nie powiódł. Władze federalne zignorowały Kozaków mimo ich gróźb wyjścia poza ramy konstytucji czy zorganizowania w regionie kampanii cywilnego nie-

eprasa.pl 53cf282579

posłuszeństwa. W pełni został zrealizowany tylko jeden postulat, w lutym 1997 roku TWK zostało włączone do tworzonego kozackiego rejestru państwowego, mimo to protesty zaczęły słabnąć. Kozacy byli za słabi i zbyt podzieleni, aby występować jako samodzielna siła polityczna.

W regionie zapanował kruchy rozejm. Najważniejsze organizacje kozackie nie uznawały wyników wyborów w Czeczenii, gdyż ich zdaniem znaczna część mieszkańców republiki (między innymi słowiańscy uchodźcy) nie mogła zagłosować. Nie przeszkodziło to jednak atamanowi Kozicynowi w podpisaniu porozumienia o współpracy także z prezydentem Asłanem Maschadowem. Z kolei jeden z liderów Związku Kozaków ataman Naumow stwierdził, że niezależnie od tego, kto będzie rządził w Groznym, strategicznym celem suwerennej Czeczenii pozostanie przebicie się przez Dagestan do morza i władze federalne powinny być przygotowane na taki scenariusz rozwoju sytuacji. Prasa narodowo-bolszewicka popularyzowała teorię, że islamiści na Kaukazie przygotowują się do wywołania w 2000 roku powstania zbrojnego, którego celem będzie utworzenie kalifatu od Rostowa do Astrachania. Radykałowie, jak na przykład powiązany z faszyzującą Rosyjską Jednością Narodową ataman kozaków piatigorskich Jurij Czurekow, uważali, że Rosję może ocalić jedynie wprowadzenie dyktatury. Ataman ZK i deputowany Dumy Aleksander Martynow próbował studzić gorące głowy, zachęcając Kozaków do szukania sojuszników wśród Czeczenów jako najpewniejszej gwarancji bezpieczeństwa.

Sytuacja sprzyjała jednak radykałom. Na graniczących z Czeczenią terenach stale dochodziło do napadów z użyciem broni palnej, porywania ludzi dla okupu czy uprowadzania bydła. Kozacy skrępowani rejestrem nie mogli sobie pozwolić na samowolne masowe akcje protestu. Na całym obszarze południa Rosji dość często zdarzały się bytowe konflikty między Kozakami a przedstawicielami diaspory czeczeńskiej. Pogłębiały one tylko wrogość między obu społecznościami. Kozacy nie mieli wątpliwości, że wojna na Kaukazie to tylko kwestia czasu. Wydarzenia lata 1999 roku nie stanowiły więc dla nich zaskoczenia.

Atak oddziału Szamila Basajewa na Dagestan w sierpniu 1999 roku, wysadzenie kilku bloków mieszkalnych we wrześniu i druga wojna czeczeńska to już fragment dyskursu o Rosji Putina. Kozacy, tak jak poprzednio, odegrali w tych wydarzeniach raczej rolę statystów, choć dość istotnie wpłynęły one na ich preferencje wyborcze.

Leszek Szerepka jest byłym pracownikiem Ośrodka Studiów Wschodnich im. Marka Karpia i dyplomatą, kilkanaście lat spędził w polskich placówkach na Wschodzie. Obecnie przygotowuje książkę poświęconą odradzaniu się ruchu kozackiego w jelcynowskiej Rosji.

eprasa.pl 53cf282579

Birobidżan – ziemia obiecana

Z Agatą Maksimowską, autorką książki *Birobidżan. Ziemia, na której mieliśmy być szczęśliwi*, rozmawia Lucyna Dąbrowska

LUCYNA DĄBROWSKA: Jak to się stało, że zaczęłaś się interesować Birobidżanem, miejscem tak odległym, o którym niewiele w Polsce wiadomo?

AGATA MAKSIMOWSKA: Kiedyś natknęłam się na artykuł poświęcony różnym eksperymentalnym rozwiązaniom w Związku Radzieckim – Żydowski Obwód Autonomiczny był w nim wymieniony jako dość oryginalny przykład zastosowania radzieckiej polityki narodowościowej. Zaczęłam się interesować historią Obwodu, odkryłam, że nie jest on jedynie faktem historycznym, ale do tej pory istnieje w ramach Federacji Rosyjskiej. Wtedy postanowiłam tam pojechać. Byłam antropolożką, badaczką terenową, marzyły mi się etnograficzne badania w Birobidżanie, chciałam dowiedzieć się, jak wygląda tam dzisiaj życie żydowskie.

Dlaczego władze radzieckie utworzyły Żydowski Obwód Autonomiczny?

Żydzi byli jedną z tych grup etnicznych w Związku Radzieckim, która nie zamieszkiwała jednego, określonego terytorium. Natomiast polityka narodowościowa wczesnego Związku Radzieckiego ujmowała grupy etniczne w paradygmacie ewolucyjnym – niektóre z nich uznawano za dojrzałe, inne za rozwijające się, jeszcze inne – za zacofane. Państwo radzieckie za punkt odniesienia do określenia tego, czy dana grupa jest już rozwiniętym narodem, czy też jakąś formą pomniejszą lub wcześniejszą, przyjęło definicję Józefa Stalina z 1913 roku mówiącą, że narodami są „wytworzone historycznie wspólnoty ludzi", które łączy język, życie ekonomiczne, kultura oraz, co bardzo ważne w tym kontekście, terytorium. Żydzi, nieposiadający w Związku Radzieckim odrębnego terytorium, nie mogli zatem teoretycznie być uznani za naród. Z drugiej strony pod względem samoświadomości jak najbardziej reprezentowali grupę o aspiracjach narodowych, których władze radzieckie nie mogły ignorować, więc rozwiązanie problemu terytorium wydawało się kwestią czasu.

Czy wizja świata po rewolucji i dążenia Żydów jako grupy dały się później pogodzić?

Jeszcze przed rewolucją Lenin polemizował z Bundem, wspominał, że wal-

eprasa.pl 53cf282579

ka o autonomię kulturalno-narodową musi ustąpić wspólnej walce klasowej. Generalnie komuniści wierzyli, że kwestia narodowa kiedyś zaniknie na rzecz bezklasowego i ponadnarodowego społeczeństwa przyszłości. Jednak państwo radzieckie jakoś musiało zostać zorganizowane. Aby zatem uporać się z dążeniami wszystkich grup etnicznych, które nagle znalazły się pod władzą bolszewików, najprostsze wydawało się udzielenie im autonomii na bazie wyznaczonego im terytorium. Żydowskie rejony narodowościowe na początku tworzono w miejscach, gdzie Żydów żyło najwięcej – a więc na terenie Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. W organizowaniu tych jednostek terytorialnych starano się uwzględnić też wizję przebudowy społecznej i ekonomicznej struktury ludności żydowskiej.

Na czym polegała ta przebudowa?

Przede wszystkim na przekwalifikowywaniu pracowników, tworzeniu nowych miejsc pracy. Miało to służyć poprawie sytuacji materialnej Żydów. Likwidacja instytucji religijnych i społecznych w sztetlach, zakaz wykonywania zawodów uznanych za „szkodliwe", takich jak prywatne rzemiosło, handel, usługi, czyli tego, czym w dużej mierze zajmowali się Żydzi w małych miejscowościach, spowodowała olbrzymie bezrobocie z jednej strony i brak społecznego wsparcia z drugiej. Osoby niepracujące, mające niewłaściwe pochodzenie klasowe były również pozbawiane praw obywatelskich, na przykład prawa do głosowania czy do otrzymywania zasiłków. Państwo widziało te problemy i odpowiedzią na nie miała być tak zwana produktywizacja – przekwalifikowanie i zatrudnienie Żydów w zawodach dobrze widzianych w nowym porządku społeczno-ekonomicznym. Jednym z głównych sposobów na produktywizację miała być początkowo agraryzacja. Stąd też plany znalezienia dla Żydów terytorium jako autonomicznej jednostki administracyjnej łączono z planami osadnictwa rolniczego. Żydzi mieli zacząć uprawiać ziemię, podjąć pracę, którą wcześniej się nie zajmowali. Zakładano rolnicze kolonie żydowskie. W 1924 roku powstaje KOMZET, czyli państwowy komitet do spraw osiedlania pracujących Żydów na roli. Jego plany to utworzenie kolonii rolniczych dla minimum pół miliona Żydów. W pewnym momencie zdecydowano się te działania przeprowadzić na większą skalę i wyznaczyć jedno terytorium. Sprawą poszukiwania terytorium zajął się wtedy Ludowy Komisariat Rolnictwa. I tak zdecydowano się na utworzenie Żydowskiego Obwodu Autonomicznego.

A jak wyglądała kultura żydowska po rewolucji? Jaka była rola jewsekcji, o których piszesz w książce?

Jewkom (Żydowski Komisariat) i jewsekcje (żydowskie sekcje partii komunistycznej) powołano w 1918 roku. To jednostki, które miały zajmować się reprezentowaniem i organizacją życia ludności żydowskiej. Promowały kulturę świecką,

eprasa.pl 53cf282579

wspierały edukację w języku jidysz, ale walczyły z judaizmem, językiem hebrajskim i aktywnością polityczną inną niż komunistyczna. Te instytucje popularyzowały nową literaturę radziecką, która miała zastąpić literaturę syjonistyczną i religijną. Zamykano chedery, synagogi, organizowano natomiast kluby i domy kultury jako centra społeczności żydowskiej. Wydawano mnóstwo książek, ale ich tematyka związana była głównie z budową socjalizmu. Jeszcze na początku ta literatura miała w sobie modernistyczny rozmach, później zaczęła być coraz mniej artystyczna, miała służyć celom pragmatycznym, być zrozumiała dla przeciętnego czytelnika, promować pożądaną wizję świata. Rozwijała się też prasa żydowska w jidysz – to również była prasa, w której głównie zajmowano się tematyką rewolucji.

Jidysz uważano za język, za pomocą którego Żydzi będą zapoznawać się z komunizmem. Przeprowadzono jego reformę – usunięto słowa kojarzące się z religią, a także starano się usunąć formy pochodzenia hebrajskiego. W Birobidżanie był językiem urzędowym. Żydowski Obwód Autonomiczny miał być miejscem, gdzie kultura jidysz się rozwija. Powstał tam teatr wystawiający sztuki w języku jidysz, powstała gazeta „Birobidżaner Sztern", a także związek pisarzy.

Obwód utworzono bardzo daleko na wschodzie Związku Radzieckiego. Czy Żydzi zamieszkiwali wcześniej te tereny?

W 1927 roku specjalna ekspedycja zbadała obszar w dorzeczu rzeki Biry i Bidżanu (stąd późniejsza nazwa regionu) pod kątem osadnictwa rolniczego. Oceniono terytorium, które nie było w dużym stopniu zasiedlone w tamtym czasie, za to bardzo korzystne pod względem warunków rolniczych i osadnictwa. Na miejscu mieszkało wówczas około 30 tysięcy mieszkańców, głównie potomkowie budowniczych kolei transsyberyjskiej, uchodźcy koreańscy, ludność kozacka i ludność tubylcza. Dla Żydów to była zupełnie nowa ziemia. Aby przekonać ich do wyjazdu, uciekano się do wielu różnych środków agitacji, sięgano nawet po retorykę syjonistyczną – mówiono, o tym, że Żydzi znajdą wreszcie swoje miejsce, przestaną żyć w rozproszeniu, ale będą mieli swoją ziemię, na której będą mogli wreszcie poczuć się nowoczesnym narodem. Michaił Kalinin mówił w 1926 roku, że przed narodem żydowskim stoi wielkie zadanie – zachować swoją narodowość, a to wymaga przekształcenia znacznej części ludności żydowskiej w zwartą, osiadłą rolniczą społeczność.

Organizacje zagraniczne, które wspierały rolnicze osadnictwo żydowskie w Związku Radzieckim, też głównie interesowały się poprawą warunków życia Żydów. Przyszłość projektu palestyńskiego była niepewna. Dlaczego działacze komunistyczni nie mieliby poprzeć projektu żydowskiej autonomii w ramach państwa, w którym wszystkim obiecywano równość? Wzięcie pod uwagę autonomii dla Żydów uznawano na Zachodzie

eprasa.pl 53cf282579



Lucyna Dąbrowska

Agata Maksimowska: Warto patrzeć na kontekst, w jakim Birobidżan powstawał i w jakim dzisiaj funkcjonuje. Natomiast na pewno praktyka wielu reportażystów, jaką jest sprowadzanie historii tego miejsca i doświadczeń kilku pokoleń mieszkańców do bycia „eksperymentem Stalina", „czerwonym Syjonem", „nieudanym projektem żydowskiej ojczyzny" i tak dalej, bywa krzywdząca dla mieszkańców. Oni raczej postrzegają Birobidżan jako projekt niedokończony, ale nie nieudany.

za dowód na to, że Związek Radziecki jest państwem zapewniającym wolność wszystkim narodom.

W jaki sposób Żydów przesiedlano do Birobidżanu?

W zachodnich częściach Związku Radzieckiego prowadzona była agitacja, organizowano spotkania, rozdawano broszury. Tym, którzy zgłoszą się jako dobrowolni osadnicy do Birobidżanu, obiecywano bezpłatny przejazd, mieszkanie i pracę na miejscu. Grupy ochotników podróżowały specjalnymi pociągami, które potrafiły jechać przez miesiąc. Bardzo dobrze scenę z takiego pociągu pokazuje film *Poszukiwacze szczęścia* w reżyserii Władimira Korsz-Sablina z 1936 roku. Kiedy pociąg przybywał na stację Tichonkaja, osadników kierowano dalej – najczęściej do nowo powstających kołchozów w Birofeldzie, Amurzecie i Waldgeimie. Osada o nazwie Birobidżan powstała w 1931 roku, a miastem zaczęła być dopiero w 1937 roku. Kolonizacja trwała jednak już od 1928 roku.

Jak władze radzieckie widziały organizację życia społeczności żydowskiej w Birobidżanie?

Budowano miasto, które miało być żydowskie i socjalistyczne. Nad jego koncepcją pracował nawet Hannes Meyer, były dyrektor szkoły Bauhausu w Dessau. Miało to być nowoczesne miasto, którego charakter miał odzwierciedlać „elementy narodowe". Na początku, w duchu wspierania wszystkich mniejszości narodowych w Birobidżanie otwierano szkoły rosyjskie, żydowskie, a nawet koreańskie. Po II wojnie światowej Żydów mieszkało w Birobidżanie najwięcej, powyżej 30 procent całej ludności. Działały wtedy prężnie dwa czasopisma literackie „Birobidżan" i „Forpost". Ówczesny pierwszy sekretarz Obwodu Aleksander Bachmucki miał nadzieję na otworzenie wyższej szkoły z jidysz jako językiem wykładowym.

Czy większy napływ Żydów po II wojnie światowej zostawił swój ślad na życiu wspólnoty?

Niestety, mimo że był to okres największego rozwoju kultury żydowskiej, to zarówno aktywność społeczną, kulturalną, jak i twórczość w języku jidysz zastopowały antysemickie czystki lat 1949–1953. Jeśli mówimy o jakimś śladzie pamięciowym tego okresu, to musimy go ujmować w kategoriach traumy. W całym Związku Radzieckim prześladowano żydowską inteligencję, zamykano instytucje kulturalne. Nie ominęło to Birobidżanu. W Żydowskim Obwodzie Autonomicznym zamknięto teatr żydowski, oba czasopisma literackie, szkołę w języku jidysz, zlikwidowano wystawę poświęconą tematyce żydowskiej w miejscowym muzeum. Aresztowano pisarzy, poetów. Wydano polecenie niszczenia książek w języku jidysz. Książki palono w żelaznych kontenerach na głównym placu, na dziedzińcu biblioteki. Birobidżan przeżył już polityczne czystki w latach trzydziestych XX wieku, ale tym razem były one wymierzone bezpośrednio w Żydów. Jesz-

eprasa.pl 53cf282579

cze długo po śmierci Stalina wielu Żydów bało się mówić w jidysz na ulicach, podkreślać swoje pochodzenie. Nawet w Obwodzie, który miał rzekomo być żydowską ojczyzną, gdzie rozwijać miała się kultura jidysz, bycie Żydem przestało być mile widziane.

Czy antysemityzm w Związku Radzieckim przyczynił się do wyjazdów do Izraela po 1991 roku?

Głównym powodem wyjazdów w latach dziewięćdziesiątych XX wieku była bieda, problemy z odnalezieniem się w nowej rosyjskiej rzeczywistości. Mówi się o tak zwanej aliji kiełbasianej, czyli migracji na stałe do Izraela ze względów ekonomicznych, po polsku powiedzielibyśmy „za chlebem". Dla niektórych była to konieczność, jedyna szansa, aby jakoś poprawić swój los, w Rosji szalała inflacja, panowało bezrobocie. Z Birobidżanu wyjeżdżały tysiące ludzi. Izrael wydawał się rajem. Szybko okazało się jednak, że nie dla wszystkich. Aklimatyzacja była bardzo trudna, dały się we znaki różnice kulturowe, problemy ze znalezieniem pracy z powodu braku znajomości języka hebrajskiego. Wielu ludzi z wyższym wykształceniem w Izraelu było skazanych na wykonywanie prac zdecydowanie poniżej swoich kwalifikacji, co powodowało frustrację. Niektórzy ludzie decydowali się powrócić, gdy sytuacja ekonomiczna w Rosji trochę się poprawiła.

Jak dziś wygląda życie tych, którzy pozostali?

Według oficjalnych danych w Birobidżanie mieszka około 1500 osób narodowości żydowskiej, czyli około 1 procent ogólnej liczby mieszkańców Obwodu, choć uważa się, że Żydów jest więcej. W Birobidżanie jest gmina religijna i synagoga, a także świecka szkoła oferująca naukę jidysz i hebrajskiego oraz dodatkowe zajęcia na temat kultury żydowskiej. Władze Obwodu starają się upamiętniać żydowskie dziedzictwo Birobidżanu, ale często sprowadza się to do wspierania przedsięwzięć popularnych, takich jak występy estradowe czy inwestowanie w dekoracje miejskie, co sprzyja atrakcyjności turystycznej regionu, ale bardzo luźno nawiązuje do kultury żydowskiej.

W artykule *„Zoo" i „Makieta". O dominujących sposobach pisania o Birobidżanie* wspomniałaś, że Birobidżan jest miejscem „turystyki reporterskiej". Jedną z tendencji opisywania go przez reporterów jest między innymi przedstawianie go jako karykatury Izraela i zarzut o brak autentycznej żydowskości.

O autentyczności kultury żydowskiej w Birobidżanie można by długo rozmawiać. W mojej książce przyglądam się temu, jak ta żydowskość i kultura żydowska są dziś rozumiane. Warto zawsze patrzeć na kontekst, w jakim Birobidżan powstawał i w jakim dzisiaj funkcjonuje. Natomiast na pewno praktyka wielu reportażystów, jaką jest sprowadzanie historii tego miejsca i doświadczeń kilku pokoleń mieszkańców do bycia „eksperymen-

eprasa.pl 53cf282579

tem Stalina", „czerwonym Syjonem", „nieudanym projektem żydowskiej ojczyzny" i tak dalej, bywa krzywdząca dla mieszkańców. Oni raczej postrzegają Birobidżan jako projekt niedokończony, ale nie nieudany.

Agata Maksimowska jest przewodniczącą Stowarzyszenia im. Szymona An-skiego. Psycholożka i antropolożka, absolwentka Międzywydziałowych Indywidualnych Studiów Humanistycznych na Uniwersytecie Warszawskim. Od 2001 roku prowadzi badania etnograficzne w krajach byłego ZSRR. Autorka artykułów naukowych poświęconych tożsamości i dziedzictwu kulturowemu. Pracowała w Muzeum Historii Żydów Polskich i Muzeum Warszawskiej Pragi. Jej debiutancka książka *Birobidżan. Ziemia, na której mieliśmy być szczęśliwi* wydana została w lutym bieżącego roku nakładem Wydawnictwa Czarne.

eprasa.pl 53cf282579

Ryszard Torzecki: pasja i profesjonalizm

Z profesorem Grzegorzem Motyką, historykiem i politologiem, rozmawia Sonia Knapczyk

SONIA KNAPCZYK: Profesor Ryszard Torzecki uważany jest za nestora badań ukrainoznawczych w Polsce, choć jego droga zawodowa nie była oczywista. Kim był Torzecki, zanim został cenionym historykiem?

GRZEGORZ MOTYKA: Trzeba zacząć od tego, że Ryszard Torzecki był mieszkańcem Łodzi i zwolennikiem Polskiej Partii Socjalistycznej, bo tak właśnie się identyfikował w prywatnych wypowiedziach. Ukończył ekonomię i długo pracował w centralnych instytucjach ekonomicznych. Dopiero w 1971 roku został zatrudniony, po rok wcześniejszej obronie doktoratu na Uniwersytecie Łódzkim, w Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauk (IH PAN) i zerwał z dotychczasową ścieżką zawodową. Torzecki był w pełni świadomy, że taka zmiana oznacza dla niego straty finansowe. W podaniu o przyjęcie do pracy w IH PAN tłumaczył, że historia jest jego pasją. Tragedią Torzeckiego był fakt, że po dwudziestu paru latach uprawiania zawodu historyka musiał z powodu choroby oczu przerwać pracę naukową. Dlatego też nigdy nie został profesorem „belwederskim", chociaż był ku temu na najlepszej drodze. Odchodząc z IH PAN, miał sześćdziesiąt pięć lat, a więc jak na naukowca był w stosunkowo młodym wieku.

Wróćmy na chwilę do okresu łódzkiego. Torzecki urodził się w 1925 roku, w czasie wybuchu II wojny światowej był nastolatkiem. Jak potoczyły się jego losy okupacyjne?

Okupację przeżył w Łodzi, gdzie liczna była mniejszość niemiecka. Znał bardzo dobrze język niemiecki, co przydało mu się w późniejszych badaniach historycznych. Był pierwszym polskim historykiem, który eksplorował archiwa niemieckie pod kątem badania stosunków polsko-ukraińskich.

W naszej rozmowie padło już słowo „pasja". Czy Torzecki był postrzegany przez środowisko naukowe jako pasjonat? Skąd u ekonomisty miłość do historii?

Torzecki opowiadał, że pasję historyczną zakorzenił w nim wychowawca, nauczyciel łódzkiego gimnazjum Zygmunt Lorenz. Jednak Ukrainą zajął się nieco przypadkowo. Początkowo interesował się szerszą problematyką związaną z Europą Środkowo-Wschodnią i dopiero pod wpływem promotora, profesora Józefa Dutkie-

eprasa.pl 53cf282579

wicza, zainteresował się kwestią ukraińską w polityce III Rzeszy. Jak to często bywa z naukowcami, którzy podejmują pewne wyzwania badawcze, pozostał wierny tematyce polsko-ukraińskiej aż do końca swojej kariery zawodowej.

Czy udało mu się nauczyć języka ukraińskiego?

Na pewno władał językiem ukraińskim w stopniu pozwalającym na prowadzenie badań. Był pierwszym polskim badaczem, który podjął kontakt z ukraińską diasporą. W trakcie wyjazdów na Zachód nie bał się spotkań ze środowiskami ukraińskimi, zebrał między innymi relację od Mykoły Łebedzia, jednego z przywódców Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Wtedy podobne działania nie były czymś oczywistym, przeciwnie: mogły budzić podejrzenia. Między innymi z tego powodu Torzecki był rozpracowywany przez Służbę Bezpieczeństwa. Podejrzewano go o autorstwo książki *Ewolucja czy rewolucja* wydanej przez paryską „Kulturę". Dopiero kiedy okazało się, że książkę napisał Jakub Karpiński, Torzeckiego zostawiono w spokoju.

Gdzie prowadził swoje badania? Mimo że nie miał dostępu do radzieckich archiwów, jego prace są uważane za fundamentalne dla badań nad stosunkami polsko-ukraińskimi.

Niewątpliwie słabością prac naukowych Torzeckiego był brak możliwości korzystania z radzieckich archiwów. Podejmował takie próby, ale szybko się zniechęcił. W czasach Związku Radzieckiego dostęp do tamtejszych archiwów był zablokowany. Natomiast kiedy w latach dziewięćdziesiątych XX wieku pojawiły się możliwości korzystania z nich, profesor nie był już aktywny zawodowo. Z powodu choroby oczu dużą trudność sprawiało mu nawet czytanie książek i artykułów. Jednak niezaprzeczalnym atutem badań Torzeckiego była wnikliwa kwerenda przeprowadzona w archiwach polskich, między innymi w Archiwum Akt Nowych, a także niemieckich i czechosłowackich. Prowadził również badania w Londynie i, jak już wspomniałem, zbierał relacje wśród diaspory ukraińskiej. Pod koniec lat osiemdziesiątych XX wieku był jedynym historykiem, spoza kręgu wojskowego, który zajmował się tematyką ukraińską na poziomie akademickim. Warto zwrócić uwagę, że w Instytucie Historii PAN było zatrudnione grono najwybitniejszych polskich historyków XX wieku – z jednej strony Czesław Madajczyk, z drugiej Tomasz Strzembosz czy Tomasz Szarota. Powstałe w tym środowisku prace z reguły stały na wysokim poziomie naukowym. Dotyczy to również wydanej w 1993 roku najgłośniejszej rozprawy Torzeckiego *Polacy i Ukraińcy. Sprawa ukraińska w czasie II wojny światowej na terenie II Rzeczypospolitej*. Wówczas ta publikacja była objawieniem w środowisku naukowym.

Czyli nieco późny start naukowy w dziedzinie historii nie miał wpływu na jakość jego prac? Przypomnijmy, że w wieku trzydziestu siedmiu lat obronił magisterium, a mając czterdzieści

eprasa.pl 53cf282579

sześć lat, po obronie doktoratu, zatrudnił się w IH PAN.

Ten wiek może dziś zaskakiwać, ale wtedy nie było w tym niczego dziwnego. Pamiętajmy, że doświadczenia wojenne opóźniły kariery wielu ludzi, a drugim czynnikiem późniejszego startu był okres stalinowski. Poza tym wówczas nie było tak ogromnej presji na szybkie robienie kariery, jak ma to miejsce dzisiaj. Wtedy przebiegało to wolniej, wystarczy spojrzeć na ścieżki innych naukowców. Przyjaciel Torzeckiego, profesor Tomasz Strzembosz został wyrzucony ze studiów (nawiasem mówiąc, za zdjęcie czapki przed kościołem) i mógł wrócić na nie dopiero po śmierci Stalina, a i tak musiał początkowo zajmować się XVI wiekiem. Dopiero po 1956 roku mógł podjąć badania nad okresem II wojny światowej, który go fascynował, lecz i tak jego habilitacji długo nie chciano wydać. Wszystko to bardzo wydłużało budowanie kariery, co z dzisiejszej perspektywy może być niezrozumiałe.

Wspomnieliśmy najsłynniejszą pracę Torzeckiego *Polacy i Ukraińcy. Sprawa ukraińska w czasie II wojny światowej na terenie II Rzeczypospolitej*. Jak publikacja o tak kontrowersyjnej tematyce została przyjęta w środowisku naukowym?

Praca w sposób całościowy ujmuje temat relacji polsko-ukraińskich w okresie II wojny światowej. Wprowadziła ona w obieg naukowy szereg nowych ustaleń. Po raz pierwszy w Polsce ukraiński ruch nacjonalistyczny został pokazany nie z perspektywy absolutnego zła, ale z próbą zrozumienia, o co temu środowisku chodziło, oczywiście bez ukrywania tych wszystkich zbrodni, których dopuścili się członkowie OUN i UPA. To właśnie Torzecki ustalił liczbę polskich ofiar. W swojej książce oszacował ją na 80–100 tysięcy osób zamordowanych przez OUN i UPA. Tą liczbą posługujemy się właściwie po dzień dzisiejszy. Liczba około 100 tysięcy ofiar, do której się odwołują współcześni historycy, nie została wzięta, jak wbrew faktom podają badacze ukraińscy, z publicystyki środowisk kresowych, ale właśnie z monografii Torzeckiego. Publikacja została bardzo dobrze przyjęta, właściwie od razu uznano ją za pracę, do której odwoływanie się jest obowiązkowe. Nawet Edward Prus, który napisał, że jest to praca wręcz antypolska (użył określenia „antylechicka"), przyznawał jednocześnie, że jest napisana na wysokim naukowym poziomie i nie może podważyć ustaleń Torzeckiego. Jednak dekadę później w środowiskach kresowych zaczęto wylewać na Torzeckiego falę dość obrzydliwych zarzutów: miał on jakoby relatywizować zbrodnie UPA i dokonywać przekłamań historycznych. Pojawiły się nawet sugestie, że był alkoholikiem, nawiązujące do jego choroby, która spowodowała wycofanie z życia publicznego. To były zachowania zwyczajnie podłe, tym bardziej że dotykały człowieka, który nie miał możliwości obrony własnego imienia ze względu na ciężki stan zdrowia.

Czy Torzecki miał możliwości wyjazdów zagranicznych?

eprasa.pl 53cf282579

Profesor korzystał z różnych stypendiów dostępnych dla pracowników najważniejszych instytucji naukowych. Dzięki temu pracował w placówkach w Niemczech, Wielkiej Brytanii i USA. W czasie tych wyjazdów robił wiele notatek, fotokopii dokumentów, które później opracowywał i na bazie których powstawały jego prace.

Czy jego dorobek naukowy znany jest poza Polską?

W latach dziewięćdziesiątych XX wieku praca Torzeckiego była właściwie jedyną, w której można było znaleźć syntetyczne ujęcia stosunków polsko-ukraińskich podczas II wojny światowej. Jednak w następnych latach ukazały się dziesiątki kolejnych prac, więc jego osiągnięcia pozostają trochę w ich cieniu. Choć jednocześnie historycy często, nawet nieświadomie, powtarzają ustalenia Torzeckiego. Z kolei ukraińska historiografia i publicystyka chętnie odwołuje się do myśli Torzeckiego, ale najczęściej do wywiadów udzielanych w ostatnim okresie życia, w których wyrażał opinie odbiegające nieco od jego ustaleń badawczych. Wielu naukowców, pisząc pracę naukową, ściśle trzyma się warsztatu, ale w rozmowie z mediami niekiedy ponosi ich publicystyczna pasja. I niektórzy odwołują się do takich, czasami daleko idących, stwierdzeń Torzeckiego. Mam tu na myśli przede wszystkim sprawę antypolskiej akcji UPA. Jak wynika z dokumentów znajdujących się w archiwach ukraińskich, była to zorganizowana operacja, w którą od początku były wpisane masowe mordy na ludności cywilnej. Tymczasem profesor Torzecki dopuszczał możliwość, że zbrodnie na Polakach niekoniecznie były zamierzone i wynikały, tak jak twierdzili przedstawiciele diaspory ukraińskiej, z wymknięcia się sytuacji spod kontroli kierownictwa UPA. W wywiadach ta hipoteza zamieniała się w twierdzenie, tymczasem nie jest to prawda. Dokumenty OUN i UPA, sprawozdania z antypolskich czystek oraz znane wypowiedzi dowódcy UPA Romana Szuchewycza nie pozostawiają naukowcom wątpliwości co do zamiarów nacjonalistów. Kiedy opublikowałem rozkazy UPA nakazujące przeprowadzenie antypolskiej akcji w Galicji Wschodniej, Torzecki był zaskoczony, później w rozmowie przyznał, że jego rozmówcy związani z OUN, od których zebrał relacje, wprowadzili go w błąd, miał poczucie bycia oszukanym. Zaznaczam, że nie chciałbym tutaj poprawiać wypowiedzi samego Torzeckiego, przywołuję tylko naszą wymianę myśli na ten temat.

Jakie są pańskie wspomnienia związane z profesorem Torzeckim? Kiedy się poznaliście?

Byłem uczniem profesora Tomasza Strzembosza, który pod koniec lat osiemdziesiątych XX wieku przeniósł się z IH PAN na Katolicki Uniwersytet Lubelski. Kiedy pod jego kierunkiem napisałem doktorat na temat walk polsko-ukraińskich na ziemiach polskich, dla Strzembosza było oczywiste, że recenzentem pracy musi być Torzecki. Z dzisiejszej perspektywy widzę, że był to dla mnie zaszczyt, iż właśnie on był jednym z dwóch recenzentów mojego

eprasa.pl 53cf282579

doktoratu. Niestety nie mógł być obecny na obronie, natomiast zaprosił mnie wcześniej do siebie i osobiście przedstawił mi swoją recenzję z bardzo ostrym komentarzem. Dlatego później, gdy recenzja została odczytana na obronie, byłem wręcz zdziwiony jej pozytywnym przekazem. Wrażenie z rozmowy z Torzeckim było bardziej poruszające. Później kilkukrotnie rozmawialiśmy o sprawach badawczych, odwiedziłem go w Domu Seniora PAN w Konstancinie jeszcze na parę lat przed jego śmiercią w 2003 roku. Jedno z moich ostatnich spotkań z Torzeckim odbyło się przy okazji wręczenia Profesorowi uroczystej hramoty od kardynała Lubomyra Huzara. Laudatorem miał być profesor Strzembosz, ale nie mógł być obecny, więc zostałem poproszony o odczytanie jego słów. Pamiętam ogromne wzruszenie Torzeckiego spowodowane otrzymaniem nagrody. Profesor był mocno związany ze środowiskiem klasztoru ojców Bazylianów przy ulicy Miodowej w Warszawie. To bazylianie odprawili nabożeństwo na jego pogrzebie, tam też przekazał swój księgozbiór. Dopiero później dowiedziałem się, że klasztor Bazylianów był ważnym ośrodkiem duchowym, od lat trzydziestych i czterdziestych XX wieku, mającym duży wpływ na życie religijne Warszawy. Ojciec Paweł Puszkarski – dzisiaj chętnie zapytałbym profesora, czy miał okazję go poznać – był jednym z takich charyzmatycznych duchownych, który w więzieniu w czasach stalinowskich nawrócił generała Stefana Mosora, odpowiedzialnego za przeprowadzenie akcji „Wisła". Ślady fascynacji środowiskiem greckokatolickim można dostrzec w pracach i artykułach Torzeckiego, zwłaszcza kiedy mowa o arcybiskupie Andrzeju Szeptyckim. Wypowiedzi Torzeckiego o Szeptyckim są rzetelne naukowo, ale wyczuwa się w nich pewne ciepło wobec postaci metropolity.

Jak zostanie zapamiętany profesor Torzecki?

Dorobek naukowy Ryszarda Torzeckiego wpisał się na trwałe do polskiej historiografii. Nie wyobrażam sobie, że jakikolwiek badacz mógłby bez odwołania się do prac Torzeckiego napisać książkę o dwudziestowiecznych relacjach polsko-ukraińskich. Nie zdążył napisać książki o latach trzydziestych XX wieku, co do dziś jest odczuwalnym brakiem.

Był takim typowym profesorem, skłonnym do długich opowieści, nie zawsze zrozumiałych dla słuchaczy. Przypomnijmy, że w końcu lat sześćdziesiątych XX wieku prawie nikt się nie orientował w tej tematyce, dlatego kiedy na przykład wymieniał kolejne nazwiska działaczy OUN, to tylko on wiedział, o kim mowa.

Prof. dr hab. Grzegorz Motyka jest historykiem i politologiem. Dyrektor Instytutu Studiów Politycznych PAN. W latach 2011–2016 członek Rady Instytutu Pamięci Narodowej. Autor szeregu książek dotyczących historii relacji polsko-ukraińskich, w tym *Od rzezi wołyńskiej do akcji „Wisła"* (Kraków 2011) oraz *Wołyń '43* (Kraków 2016).

eprasa.pl 53cf282579

REKLAMA

www.festiwalwisla.pl

kwiecień - grudzień 2019



WISŁA

12. FESTIWAL FILMÓW POLSKICH

Gruzja
Czechy
Turcja

Białoruś
Chorwacja
Serbia

Azerbejdżan
Tadżykistan
Uzbekistan

Rosja
Kazachstan
Kirgistan

Słowacja
Słowenia
Islandia
Chile

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego RP

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministerstwa Kultury FR

Ministry of Culture Russian Federation

Współfinansowanie Polska:

Polski Instytut Sztuki Filmowej
Polish Film Institute

Współfinansowanie Rosja:

Fundacja „Centrum Rosyjsko-Polskiego Dialogu i Porozumienia"

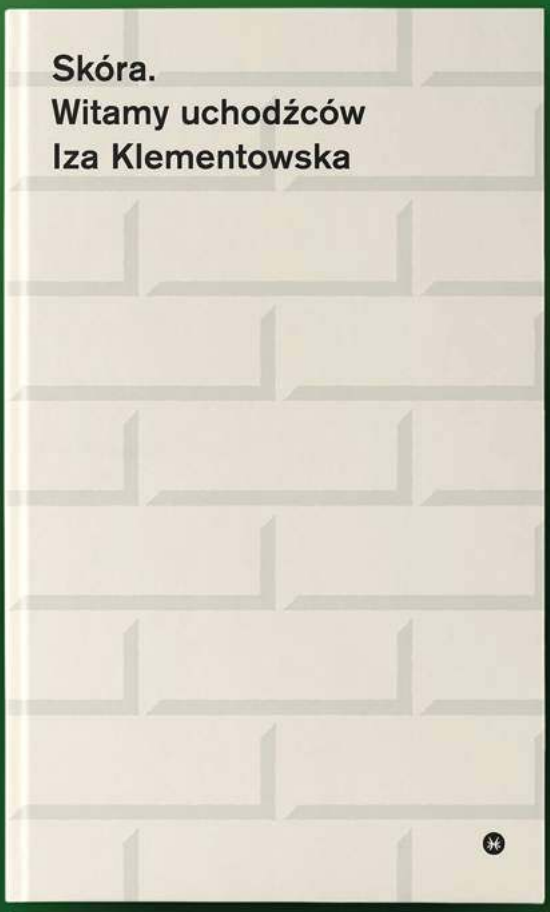
Organizatorzy:

Fundacja Wspierania

Fest Film

eprasa.pl 53cf282579

REKLAMA



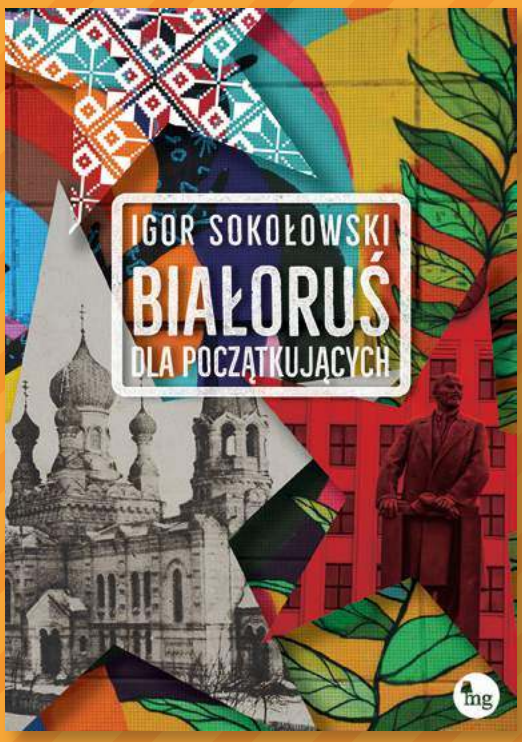
Shirin, Elsa, Namir, Leyla, Nidal, Awad. Każde z nich ma inną życiową historię. Łączy ich jedno: są uchodźcami, którzy mieszkają w Polsce. Iza Klementowska opowiada, jak wygląda ich codzienność. Szuka odpowiedzi na pytanie, dlaczego słowo na „u" wywołuje u jednych lęk, u innych obojętność, a u jeszcze innych agresję.

IZA KLEMENTOWSKA, *SKÓRA. WITAMY UCHODŹCÓW*

Już w księgarniach i na karakter.pl!

eprasa.pl 53cf282579

REKLAMA



Co wiemy dziś na temat Białorusi? Może tyle, że nieprzerwanie od kilkunastu lat rządzi nią twardą ręką Alaksandr Łukaszenka.

A przecież to właśnie tam urodzili się: Eliza Orzeszkowa, Tadeusz Kościuszko, Maria Rodziewiczówna, Andrzej Bobola oraz Ryszard Kapuściński. Grodno na Białorusi, podobnie jak Wilno na Litwie czy Lwów na Ukrainie, zawsze było uważane za ośrodek polskości na Kresach.

Białoruś dla początkujących to zbiór reportaży pokazujących prawdziwy obraz sąsiada Polski. Kolorowy, pełen kontrastów, dziwny, ale jednocześnie swojski. *Białoruś dla początkujących* nie jest przewodnikiem, ale mamy nadzieję, że po przeczytaniu tej książki Czytelnik lepiej pozna ten kraj.



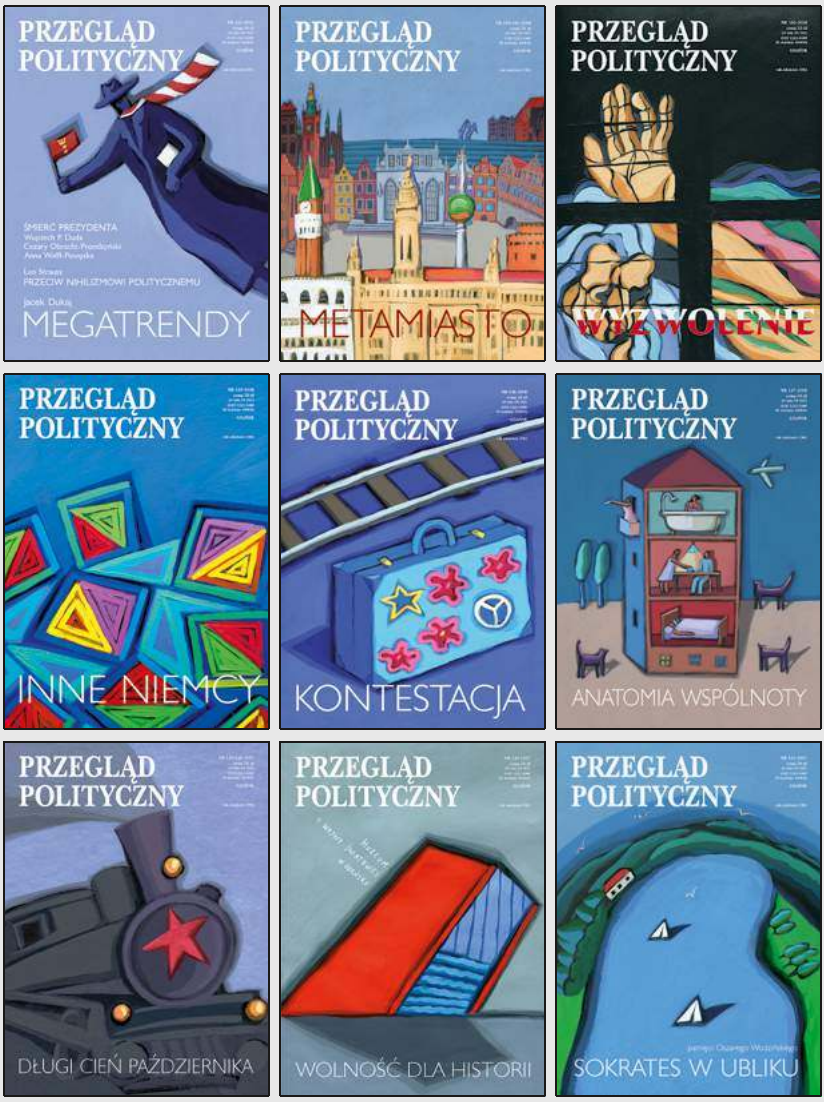
Thriller polityczny doskonale osadzony w realiach ukraińskich. Akcja powieści obejmuje okres między listopadem 2013 r. a lutym 2014 r. i w znacznej części rozgrywa się na kijowskim Majdanie Niezależności. Zręcznie poprowadzona intryga ujawnia kulisy gry prowadzonej przez Rosję, której stawką jest europejska przyszłość Ukrainy. Książka pokazuje zróżnicowanie tego kraju, jego tragiczną historię, która wpływa na losy i kształtuje postawy jego mieszkańców. Dla głównego bohatera, Stasa Sycza, młodego studenta z Kołomyi, który trochę przypadkowo znalazł się w centrum wydarzeń, Majdan jest nie tylko doświadczeniem pokoleniowym, ale także szkołą życia. Stas przekonuje się, że cena zwycięstwa często potrafi odebrać jego smak.

www.wydawnictwoMG.pl **fb.com/WydawnictwoMG**

mg

eprasa.pl 53cf282579

REKLAMA



Zapraszamy na naszą witrynę internetową:
www.przegladpolityczny.pl

Stowarzyszenie Kulturalno-Edukacyjne „Kolegium Gdańskie”
PKO BP Oddział 27 w Gdańsku (Przegląd Polityczny)
nr 02 1440 1185 0000 0000 0710 0132

eprasa.pl 53cf282579

Słowa rapowane, słowa płynące z duszy

Z profesorem Maksimem Krongauzem, rosyjskim językoznawcą, rozmawia Katarzyna Syska

KATARZYNA SYSKA: Czy ubiegły rok odzwierciedlił się w języku rosyjskim? Jakie tendencje czy konkretne słowa go znamionują?

MAKSIM KRONGAUZ: W Rosji popularne są konkursy na „słowo roku". Wiele z tych słów to jednak pojęcia związane z konkretnymi wydarzeniami: w 2018 roku przeprowadzono reformę emerytalną, dlatego słowo „emerytura" było jednym z najczęściej używanych. Tego typu słowa są znacznikiem wagi zdarzenia dla ludzi, ale nie budzą szczególnego zainteresowania z punktu widzenia lingwisty. Ciekawe są słowa niezwiązane bezpośrednio z żadnym zdarzeniem, lecz sygnalizujące nowe tendencje. Na przykład w ciągu ostatnich dwóch, trzech lat do języka ogólnego wtargnęła fala leksyki muzyczno-młodzieżowej. Jedna z młodzieżowych subkultur muzycznych – rap – zdobyła wielką popularność. Rap zajął miejsce rocka – muzycznego ruchu protestu, dziś istotną rolę odgrywają właśnie raperzy. Dlatego niektóre słowa związane z rapem stały się powszechnie znane. Szczególnie ważną postacią w tym środowisku jest Oxxxymiron – raper intelektualista, który stanowi pomost między kulturą młodzieżową a „dorosłą", tradycyjną, inteligencką kulturą klasy średniej. Właśnie jego bitwy zwróciły uwagę opinii publicznej w 2015 roku, a w 2017 roku nastąpił wybuch tej energii – jego pojedynki [ang. *battle*, w języku rosyjskim słowo przybrało rosyjskie końcówki i się odmienia – przyp. K.S.], miały miliony odsłon. Słowa związane z rapem weszły do ogólnego słownika. Termin *battle* znają teraz wszyscy, jest często używany w różnych kontekstach – polityczny *battle*, poetycki *battle*, mówi się nawet o naukowych „battlach".

Rap battlig, czyli co?

Dwaj raperzy obrażają się nawzajem i zazwyczaj nie jest to nic ciekawego, ale Oxxxymiron potrafił nadać temu widowisku jakąś wartość intelektualną i jego pojedynki miały milionowe odsłony, co oznacza, że oglądała je nie tylko młodzież, lecz dużo szersza publiczność. Niedawny *battle* Oxxxymirona był wyjątkowo ciekawy, bo politycy, pisarze, działacze teatralni – cała elita intelektualna, której kultura rapu jest raczej obca – zareagowali na ten występ.

Za słowo roku 2017 uznałbym pochodzący z żargonu młodzieżowego „hajp" (ang. *hype*) – zapożyczenie z języka an-

eprasa.pl 53cf282579

gielskiego, spopularyzowane właśnie przez rap. Zastąpiło ono młodzieżową „dwiżuchę", czy trochę bardziej dorosłą „szumichę"– szum, rozgłos wokół kogoś lub czegoś. I jak to zazwyczaj bywa – język rosyjski zaczyna obrabiać zapożyczone słowo, pojawiają się wyrazy pochodne: *hejpanut'* (hajpnuć), *hejpożor* (hajpojad – człowiek korzystający z cudzego rozgłosu).

Ta fala wydaje mi się zatem istotna, szczególnie w świetle wydarzeń z końca 2018 roku, kiedy władze zakazały organizowania wielu koncertów rapowych. Jeden z raperów – Husky – mimo odwołania występu na prośbę fanów postanowił jednak dać koncert – wszedł na dach cudzego samochodu, więc aresztowano go za naruszanie porządku publicznego. Dwaj inni raperzy, Bastф i Noise, zorganizowali koncert w jego obronie i zainicjowali akcję na skalę ogólnorosyjską. Huskiego wypuścili, a raperzy dowiedli, że są dziś liczącą się siłą społeczną. Z tego żargonu do języka ogólnego weszło też słowo *zaszkwar* – obciach, zachowanie nie na miejscu. Te i inne słowa trafiły w ostatnim czasie do języka ogólnego właśnie z wpływowej subkultury rapu.

Druga ciekawa fala słownictwa ostatnich kilku lat – nie polityczna, choć ściśle związana z ideologią – to leksyka psychoterapeutyczna. Wynika to z faktu, że klasa średnia zaczęła chodzić do psychoterapeutów, czego wcześniej nie było albo się o tym nie mówiło. Korzystanie z terapii uchodziło za wstydliwe.

Zaszkwar…

Teraz stało się to modne. Ludzie na portalach społecznościowych opisują, jak im terapia pomogła. Duży wpływ miał na to ogólnoświatowy *flash mob* #MeeToo (jego rosyjska wersja nazywała się „Nie boję się powiedzieć"). Wprowadziło to do języka leksykę związaną z psychoterapeutyczną teorią traumy. W ogóle pojęcie „trauma" do niedawna miało znaczenie wyłącznie fizyczne (ros. *uraz*), teraz natomiast używane jest w różnych kontekstach do określenia każdego przeżycia – nawet niekoniecznie mocnego. W tej dziedzinie zapożyczeń jest mniej, choć też są obecne – *abuse*, *shaming*, FAT-*shaming* itd. Obserwujemy tu też rozszerzenie zakresu znaczenia rosyjskich słów, na przykład *obiesceniwanije* (dewaluacja – do niedawna głównie jako termin ekonomiczny) dziś może dotyczyć czyichś uczuć, przeżyć. W pewnym stopniu procesy w Rosji są zbieżne ze światowymi wydarzeniami i trendami. W sierpniu rozpocząłem na Facebooku dyskusję na temat rosyjskiego słowa „toksyczny". Książka *Toksyczni rodzice* na rosyjski została przetłumaczona dopiero w 2015 roku jako *Wriednyje roditieli* (szkodliwi). Czyli w 2015 roku nie używało się jeszcze słowa „toksyczny" w dzisiejszym znaczeniu. Dziś toksyczni mogą być już rodzice, małżonkowie, związek – to jedno z najważniejszych słów w sferze leksyki terapeutycznej.

Do tego *Niemiłość* Zwiagincewa.

Tak, to właśnie ten trend.

eprasa.pl 53cf282579

Tematyka przeżyć psychicznych, traum, psychicznej i fizycznej przemocy sprawiły, że wśród inteligencji moskiewskiej czy petersburskiej (bo wspomniany trend nie dotyczy jednak całości społeczeństwa) te słowa są ciągle powtarzane i dyskutowane. Wszak omawianie zakresu i zmiany znaczeń słów często pomaga zrozumieć sam problem przez nie nazywany.

To według mnie najważniejsze tendencje ostatnich lat. Chociaż nie są bezpośrednio związane z polityką, reprezentują konkretne ideologie i świadczą o dwóch istotnych przemianach we współczesnym społeczeństwie rosyjskim. Po pierwsze, młodzi ludzie stają się ważniejsi niż dorośli i w jakichś sferach zajmują wyższą pozycję, po drugie, kobiety stają się ważniejsze od mężczyzn. Kariera wspomnianych grup słów dobitnie o tym świadczy.

Wydaje mi się, że w języku polskim żargon młodzieżowy też jest wpływowy, ale wiąże się to z ogólnoświatową tendencją – niezgodą na starość, dążeniem do odmładzania się.

Młodość zawsze była atrakcyjna. Starość miała przywileje społeczne – wiązała się z pewnym statusem finansowym. W czasach radzieckich dzieci często były na utrzymaniu rodziców do wieku średniego, bo nie mogły osiągnąć takiej pozycji jak oni. To, co obserwujemy dziś, wynika raczej z procesów ostatnich dekad. W latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku młodzi ludzie jako pierwsi odnaleźli się w tej nowej rzeczywistości, do której starsi nie mogli nijak przywyknąć. Oprócz tego zdobycze technologiczne – komputer, gry komputerowe, które stanowią ważną część rynku, zorientowane są na młodych. To samo w muzyce – rock został wyparty przez rap, który nie jest chętnie słuchany przez dorosłych. Następuje wyparcie kultury dorosłych z dotychczasowych pozycji, a kultura młodzieżowa z subkultury staje się kulturą wiodącą.

W Rosji sprzyja temu działalność youtubera Jurija Dudia, który robi wywiady z różnymi znanymi osobistościami i ma olbrzymią oglądalność. Najpopularniejsze odcinki mają ponad dwadzieścia milionów odsłon. Szybko pojawili się jego naśladowcy, którzy też umieszczają w sieci nagrania wywiadów, ale nie są aż tak popularni. W przypadku Dudia ciekawy wydaje się wybór gości – można ich podzielić na dwie grupy. Jedna to ważne persony życia polityczno-kulturalnego, na przykład Władimir Żyrinowski, Aleksiej Nawalny, Ksenia Sobczak, Nikita Michałkow, Władimir Pozner, a druga – raperzy znani i mniej znani, a więc idole nastolatków i młodzieży. Dud' balansuje między tymi dwiema grupami publiki, stanowiąc jednocześnie pomost między nimi. Jego dorośli widzowie mimochodem zapoznają się z kulturą rapu, a młodzież – z oficjalnymi zjawiskami świata polityki i kultury. Ciekawe, że pojawiły się właśnie takie łączniki między światami dorosłych i nastolatków, które promują młodzieżową subkulturę.

eprasa.pl 53cf282579

W latach dziewięćdziesiątych XX wieku wpływowy był żargon przestępczy, mafijny. To już osłabło?

Osłabło. W jednej z książek pisałem o kolejnych żargonach, które opanowywały język ogólny. Jedna z nich to właśnie język bandycki w latach dziewięćdziesiątych. Przestępcy zawsze istnieli, ale wtedy wyszli na powierzchnię. Mieli rozpoznawalne atrybuty – czerwone marynarki, złote łańcuchy, gest „rogatej dłoni", kręcono o nich filmy. Dziś lata dziewięćdziesiąte nazywamy *lichije diewianostyje*, a *lichoj czełowiek* to jedna z nazw bandyty. To była dekada dominacji kultury przestępczej, a potem część bandytów zginęła albo straciła wpływy, reszta trafiła do więzienia lub w szeregi władzy. Przestali być znaczącą klasą społeczną, więc język również odrzucił ten żargon. Część słów wyszła z użycia, a część pozostała, ale straciła bandyckie konotacje. Na przykład *najazd* (żądanie od biznesmenów płacenia regularnej „daniny" grupie przestępczej) czy *krysza* (płatna ochrona przed inną grupą przestępczą) nieco zmieniły znaczenie. Dziś *krysza* to po prostu protektorzy, obrońcy, a *najeżdżać* – mówić do kogoś agresywnie, podniesionym głosem. To bardzo ciekawe zjawisko. Niektóre słowa zrobiły zawrotną karierę, na przykład *biespriedieł* (bezprawie, samowola) pochodzące z żargonu łagrowego zostało użyte w oficjalnej nocie Ministerstwa Spraw Zagranicznych w stosunku do terrorystów, a więc trafiło do języka urzędowego, nie utraciwszy przy tym do końca łagrowego wydźwięku.

Obecna władza, wywodząca się z szeregów służb specjalnych, też używa wyrażeń z żargonu przestępczego.

Niedawno komentowałem publiczne wystąpienie Wiktora Zołotowa – oficera, naczelnika Rosyjskiej Gwardii – w którym, używając słów z żargonu kryminalistów, wyzywał Aleksieja Nawalnego na pojedynek [grożąc, że zrobi z niego „soczystego schaboszczaka" – przyp. K.S.]. To w ogóle nowe zjawisko – rozwiązywanie konfliktów politycznych na drodze publicznych wystąpień nagranych na wideo. Jeśli przeanalizować to przemówienie pod kątem językowym, znajdziemy tam przeróżne rejestry i socjolekty. Arystokratyczny „pojedynek" czy „satysfakcja" sąsiadują z leksyką bandycką.

Zołotow robi to nieświadomie?

Najprawdopodobniej nie zdaje sobie sprawy z tego, jak różnych rejestrów używa w jednym tekście. Nie widzi komizmu wynikającego z takiego przemieszania stylów.

W swoich pracach analizował Pan też manierę retoryczną Putina. W Polsce język polityki zmienia się wraz ze zmianą władzy. W Rosji ci sami ludzie sprawują władzę od dwóch dekad. Czy publiczne wystąpienia Putina zmieniły się w tym czasie?

Nie ma jeszcze wyczerpujących naukowych opracowań tego tematu. Ale w ZSRR, a teraz w Rosji lider polityczny zawsze miał olbrzymi wpływ na społe-

eprasa.pl 53cf282579

czeństwo i piastował urząd długo, dlatego każdy lider – od Lenina do Putina – wyznaczał trendy językowe i komunikacyjne w społeczeństwie. Jeśli jednak po Chruszczowie, Breżniewie czy Jelcynie zachowały się w pamięci pojedyncze słowa albo ogólny styl komunikacji (Gorbaczow mówił zawile i mało efektownie, ale jako pierwszy przestał czytać z kartki), to Putin nie tyle wypromował jakieś wyrażenia (choć i takie są – słynne *moczit' w sortirie* – topić/zabijać w kiblu), ile zaczął wykorzystywać pewien ważny chwyt – nagłe obniżenie rejestru językowego. Do neutralnej, poprawnej ruszczyzny swoich wystąpień Putin wprowadza nagle jakieś niestosowne, wulgarne słowo, które szokuje słuchaczy, kształtując obraz silnego władcy. Liberalne media na ogół krytykują te „wypady", a jednocześnie niecierpliwie wyczekują kolejnego „putinizmu". Jeśli mówić o jakichś zmianach na przestrzeni lat – Putin dalej wysławia się bardzo poprawnie i gładko, ale te momenty obniżenia rejestru już się tak jaskrawo nie wyróżniają, bo jego przemówienia stały się w ogóle ostrzejsze. Efekt kontrastu osłabł. Ostatnio prezydent robi wrażenie, jakby się nudził na oficjalnych spotkaniach – widać, już wiek robi swoje. Na pewno natomiast stworzył pewien model retoryczny silnego lidera, macho. Wielu polityków próbuje kopiować tę manierę, ale do nich to nie pasuje. Próbował tego na przykład Dmitrij Miedwiediew (wyrażenia typu *koszmarit' biznes*) i efekt był komiczny. A dla Putina taki sposób mówienia jest naturalny.

A jeśli chodzi o Putina – to jego naturalny sposób mówienia czy przemyślana strategia?

Nie wiemy tego. Myślę, że to i to. To w jakimś stopniu część przemyślanego wizerunku. Na początku natomiast miałem wrażenie, że to jednak improwizacja, bo momenty obniżenia stylu, używania niestosownych wyrażeń następowały, kiedy Putin był poirytowany na przykład powtarzającym się nieprzyjemnym pytaniem. Zdaje się, że to były spontaniczne reakcje. Nawet jeśli stały się częścią jego wizerunku, naturalnie wpisują się w jego osobowość, temperament. Nie ma wrażenia dysonansu. U Miedwiediewa widać było, że nie jest dla niego naturalne wypowiadanie takich fraz.

Analizował Pan wizerunek prezydenta we współczesnych utworach literackich o Putinie (na przykład: Andriej Kolesnikow, *Ja Putina widieł*, Dmitrij Bykow, *Kak Putin stał prezydentom: no wyje russkije skazki*). Dochodzi Pan do ciekawego wniosku – że postać Putina jest tam nijaka, bohater bez cech. Dlaczego tak jest? W rzeczywistości to przecież wyrazista postać.

Myślę, że funkcja włodarza takiego wielkiego kraju jak Rosja (wcześniej ZSRR) jest o wiele ważniejsza niż jakieś indywidualne cechy konkretnego człowieka. Wszyscy, którzy z Putinem obcują lub opisują go, orientują się przede wszystkim na tę funkcję. Czasem przedstawiciele opozycji czy inteligencji mó-

eprasa.pl 53cf282579

wią o Putinie, że jest „pospolity", a jego otoczenie to „trójkowi uczniowie". To bzdura. Człowiek nijaki nie może tak skutecznie – jeśli sądzić z punktu widzenia mas – rządzić takim ogromnym krajem. Ale Putin jest powściągliwy i małomówny. Umie słuchać. Nie bez powodu ze spotkań Putina z inteligencją czy przedstawicielami kultury zapadły w pamięć wyraziste apele Sokurowa i Mironowa o wsparcie czy uwolnienie kogoś. Prezydent tego uważnie wysłuchiwał. Pozwala zaistnieć rozmówcy – to ważne. W ogóle późnoradziecka i rosyjska władza rzadko wchodziła w bezpośredni kontakt z obywatelami. Jeden z najciekawszych przypadków to rozmowa telefoniczna Stalina z Pasternakiem o Mandelsztamie [w której Stalin zapytał Pasternaka, czy Mandelsztam jest geniuszem – przyp. K.S.]. Pokazuje to, jak trudno rozmawiać z przedstawicielem władzy. Pasternak był wybitnym poetą, wiedział o tym, i mimo to nie potrafił ze Stalinem rozmawiać. Potem całe życie wyrzucał sobie, że powiedział coś nie tak, nie powiedział tego, co trzeba było, żeby ocalić Mandelsztama.

W tym sensie Putin rzeczywiście jest dość wyjątkowy – na jego tle ludzie potrafią się pokazać, wyrazić siebie. W kontakcie z Putinem bardziej efektowne są wypowiedzi jego rozmówców. Przypomnijmy sobie chociażby rozmowę Putina z Jurijem Szewczukiem (wokalista rokowej grupy DDT), w której Szewczuk przedstawił się jako „muzyk Jura" – to on zabłysnął, jego barwna replika pozostała w pamięci. Nie jest to zatem sytuacja, kiedy rządzący przemawia i tylko jego słowa są zapisywane, powtarzane itd. Putin daje rozmówcy się wyrazić. Niektórzy w tej sytuacji czują się zagubieni, mówią nieskładnie – i w ten sposób też jakoś pokazują siebie. Widać więc z jednej strony tę niezwykle ważną w Rosji funkcję głowy państwa, a z drugiej – dawanie rozmówcy przestrzeni, żeby się wypowiedział. Trudno wyobrazić sobie taki treściwy dialog obywatela z Jelcynem czy Gorbaczowem. Trudno mi przypomnieć sobie jakieś wyraziste riposty rozmówców Jelcyna.

Przychodzi mi do głowy porównanie z dziewiętnastowiecznym bohaterem – Cziczikowem z *Martwych dusz*. Gogol też opisuje go jako „nijakiego", a przy tym Cziczikow potrafi skutecznie rządzić, wpływać, mimo że jego kompani (wszyscy ziemianie, od których skupuje martwe dusze) wydają się bardziej wyraziści.

Wydaje mi się, że Cziczikow to jednak psychologicznie zupełnie inny typ. Racja, też był swego rodzaju tłem, na którym barwnie rysowały się inne postaci, ale to typowy awanturnik. O Putinie trudno tak powiedzieć, chociaż jego decyzje, działania są często całkowicie nieprzewidywalne. Na przykład trudno zgadnąć, kogo mianuje na ważną funkcję. Nikt nie spodziewał się też aneksji Krymu… To przeczy tezie, że Putin jest przeciętny. Jeśli chodzi o jego sposób mówienia i kontaktu z obywatela-

eprasa.pl 53cf282579

mi – z jednej strony charakterystyczna jest strategia nagłego obniżenia rejestru, z drugiej to, że daje ludziom mówić, dlatego często zapamiętujemy nie tylko jakieś konkretne wypowiedzi prezydenta, ale przede wszystkim to, jak zachował się wobec niego rozmówca „z ludu" – czy był bezczelny, dowcipny, zaczepny. Kilka lat temu na konferencji prasowej Putin zapytał dziennikarkę, jak ma na imię. Odpowiedziała, dajmy na to, Marija. On zwrócił się do niej per „Masza", na co ta odparła: „*spasibo*, Wowa". I dziś wszyscy to pamiętamy. Pokazała siebie na tle Putina i on daje taką możliwość.

A jeśli porównać manierę retoryczną Putina i Nawalnego?

Nawalny jest doskonałym oratorem w publicznych wystąpieniach. Chyba lepszym od Putina. Putin ma na swoim koncie bardzo ważne przemówienia, napisane prawdopodobnie przez profesjonalistów, na przykład wystąpienie o Krymie, i mimo to nie jest wyrazistym, wzbudzającym emocje mówcą. A Nawalny świetnie zarządza tłumem podczas masowych demonstracji. Jego maniera wykrzykiwania krótkich fraz, pytań, na które tłum odpowiada jednym głosem, jest efektowna. Co jest zaletą podczas masowych wystąpień, okazuje się jednak słabością w bardziej kameralnych sytuacjach. Nawalny chętnie bierze udział w dyskusjach jeden na jeden (czego Putin unika), ma logiczną argumentację, jest zdroworozsądkowy, a jednocześnie mało wyrazisty – prawie nic nie zostaje w pamięci z jego wypowiedzi. Często porównuje się Putina i Nawalnego, mówi się, że obaj są typami silnych liderów, ale jeśli chodzi o strategie komunikacyjne (nie oceniam tu poglądów politycznych) są całkiem różni. Mocną stroną Nawalnego są publiczne wystąpienia, komunikacja z tłumami, a mocną stroną Putina jest uważny, skupiony dialog z rozmówcą czy dziennikarzem przeprowadzającym wywiad, w którym Putin potrafi słuchać i odpowiada tak, że konkretne wypowiedzi pozostają w pamięci.

To ciekawe, bo dopuszczanie obywatela do głosu w rozmowie czy wywiadzie raczej nie przekłada się na styl rządzenia państwem.

Oczywiście – mówimy tu o języku. Chociaż poniekąd to, co powiedziane, w jakiś sposób staje się rzeczywistością. Na pewno wpływa to wizerunek Putina. Można nie zgadzać się ze stylem jego rządzenia, ale nie można zaprzeczyć, że podczas spotkań z obywatelami żywo odpowiada na słowa, skargi tych, którzy zostali dopuszczeni do głosu. Są to prawdopodobnie sytuacje wyreżyserowane, niemniej jednak umiejętność reagowania jest niezaprzeczalna. Trudno wyobrazić sobie taki dialog z Nawalnym, bo to typ, który zawczasu wie, co odpowiedzieć, a rozmówca jest dla niego pretekstem, żeby wyrazić własne poglądy. Uprawiają całkiem odmienne strategie komunikacyjne i preferują różne gatunki komunikacji – Nawalny publiczne przemowy, a Putin – raczej wywiady.

eprasa.pl 53cf282579

Ostatnio wśród polityków różnych państw modne stało się kontaktowanie się ze społeczeństwem za pośrednictwem Tweetera. Jak ten nowy gatunek (tweet) kontaktu władzy ze społeczeństwem lub polityków ze sobą wpływa na język?

W Rosji modę na Tweetera i Facebooka w polityce wprowadził Miedwiediew. To wpłynęło na zmianę standardów kontaktu władzy i urzędników ze społeczeństwem. W ZSRR system komunikacji urzędnika z obywatelem polegał na unikaniu kontaktu. Urzędnik albo się wykręcał od odpowiedzi, albo nie rozmawiał. Zawsze był wyżej od obywatela. Dziś urzędnik państwowy musi rozmawiać. Zazwyczaj to dla niego nieprzyjemny obowiązek, który zleca podwładnym, ale w razie pomyłki – odpowiada jak za własne słowa, więc nie jest to takie proste. Urzędnik musi rozmawiać mniej oficjalnie, wchodzić w osobisty kontakt, ale nie może sobie też pozwolić na zbytnią otwartość. Musi znaleźć jakiś wypośrodkowany sposób, bo wielu już zapłaciło za nieprzemyślane, nieostrożne słowa. W ciągu ostatniego roku było sporo dymisji. Pewna urzędniczka stwierdziła, że „Obywatele sami są winni, że rodzą dzieci. Państwo ich o to nie prosiło" – i poniosła konsekwencję tych słów. Wypowiedzi wyrażające lekceważenie czy pogardę dla społeczeństwa są karane. Dzięki temu kształtuje się styl kontaktu z ludnością oparty na szacunku. To ważne. Powstaje nowa przestrzeń komunikacyjna, w której urzędnik czy polityk nie jest już absolutnym władcą, stracił pozycję wyższą od rozmówcy – przedstawiciela społeczeństwa. Dziś osoby publiczne muszą rozmawiać grzecznie, uważać na słowa, co oczywiście nie usuwa całkowicie tego specyficznego biurokratycznego stylu. To zupełna nowość w historii rosyjskiej państwowości – od urzędnika wymaga się realnego kontaktu ze społeczeństwem.

Powstanie przestrzeni komunikacji internetowej, którą Pan nazywa „stylem przejściowym" między językiem mówionym a pisanym, sprawia, że nie do końca wiemy, jak się w niej poruszać, jakie obowiązują tam normy grzeczności, na jaki stopień formalności czy swobody powinniśmy sobie pozwolić.

Granice wciąż są płynne, ale wydaje mi się, że jakieś normy się wyłaniają. Staje się jasne, że nie wszystko wolno. Podam przykład. Jakiś czas temu popularne stało się pisanie skarg na usługi firm na Facebooku i umieszczanie w poście linku do strony danej firmy na tym portalu, żeby wiedziała o skardze. Jeśli były to wpisy osób, które mają wielu znajomych, firmy przepraszały i starały się zadośćuczynić. Jednak niedawno dwóch klientów „premium" w grubiański sposób poskarżyło się na usługi Aeroflotu i firma po raz pierwszy nie pokajała się, lecz ukarała ich odebraniem kart klienta, powołując się na punkt regulaminu dotyczący oszczerstwa pod adresem firmy. Okazało się, że internauta, jeśli oskarża o coś firmę, musi to

eprasa.pl 53cf282579

robić precyzyjnie i mieć realne podstawy, bo może ponieść konsekwencje. To ciekawy moment – internauci, firmy – wszyscy uczestnicy tej wirtualnej przestrzeni próbują nastroić się na podobne częstotliwości, szukają akceptowalnego dla wszystkich stron sposobu komunikacji. Od lat dziewięćdziesiątych i początku dwutysięcznych, czyli czasów internetu, w których wszystko było dozwolone, przeszliśmy do etapu społeczności sieciowej, w której zaczynają obowiązywać jakieś ogólnoludzkie granice. Jakie – to jeszcze kwestia sporna. Władza chce, żeby ograniczeń było więcej, społeczeństwo – mniej. Ale jasne jest, że jakieś powinny być.

Może się mylę, ale w Polsce ta dynamika chyba jest odwrotna. Pod wpływem poziomu debaty publicznej idziemy w kierunku coraz agresywniejszej komunikacji w mediach.

W Rosji też można to zaobserwować. Mówiłem o internecie. A w telewizji, która jest wpływowym kanałem komunikacji, w ostatnich latach, kiedy Rosja jest jakoś skonfliktowana z wieloma państwami, poziom debaty telewizyjnej też się zmienił. W cenie są awantury, skandale, wyzwiska, regularnie dochodzi nawet do fizycznej agresji na wizji – bójek lub imitacji bójek. Jest to korzystne dla programu, bo wzrasta oglądalność, korzyść odnoszą też politycy biorący w tym udział – dzisiejsza sytuacja polityczna sprzyja radykalizacji zachowań. Polityk zajmujący skrajne stanowisko (wszystko jedno, czy lewicowe, czy prawicowe – tym bardziej że w Rosji to pojęcia umowne), propaństwowe, antykremlowskie – przyciąga większą uwagę niż polityk umiarkowany. Polityk „środka" nie ma szans na zdobycie audytorium. Dochodzi do radykalizacji wypowiedzi, a telewizja i internet dają przestrzenie dla takich wypowiedzi. Kultura hejterstwa bardzo temu sprzyja. Wszak hejter też jest swego rodzaju fanem, też śledzi nasze wpisy na Tweeterze czy Facebooku i podnosi statystyki. A człowiek szukający złotego środka zostaje bez lajków i bez antylajków. Dlatego konflikt i awantura jako forma konfliktu, której towarzyszą jakieś aktywne działania, są popularne w telewizji i w internecie. W powszechnej komunikacji zwyciężają więc ogólnoludzkie ograniczenia, o których wspomniałem. A telewizyjne *show* coraz bardziej przypominają wyreżyserowane widowisko. Być może ta tendencja jest silniejsza, bo widzimy, że radykalizacja zachowań, chamstwo często są wynikiem wyreżyserowanej gry, a nie naturalnej ekspresji.

Czy mowa nienawiści jest tematem dyskusji w mediach, w środowisku dziennikarskim? Czy jest uważana za poważny problem?

O ile wiem, nie ma poważnej dyskusji na ten temat, choć mówi się o tym więcej niż, powiedzmy, pięć czy dziesięć lat temu. Mam głębokie przekonanie, że retoryka wrogości, nienawiści może mieć dwojakie skutki. Pierwszy scenariusz: konflikt słowny, obelgi przygoto-

eprasa.pl 53cf282579

wują grunt pod poważniejszą agresję fizyczną, bójkę czy nawet zabójstwo. Czyli słowa są w tym przypadku rozgrzewką do innego rodzaju agresji. Z drugiej strony agresja słowna może pomóc „spuścić parę", wyładować się i wtedy nie pójdą się bić na ulice, nie urządzą pogromu – wszystko skończy się na słowach. Trudno określić, kiedy i w jakich warunkach zadziała który ze scenariuszy – mają na to wpływ czynniki zewnętrzne. Wydaje mi się, że nie da się odgórnie zakazać mowy nienawiści w internecie i niekoniecznie miałoby to dobre skutki – niewykluczone, że agresja znalazłaby wtedy inne ujście, na przykład ludzie wyszliby na ulicę, urządzali bijatyki. Póki co lingwiści nie rozstrzygnęli, dlaczego czasem kłótnia, obelgi zmniejszają poziom agresji, a czasem go podnoszą.

Maksim Krongauz jest profesorem lingwistyki. Założyciel Instytutu Lingwistyki Rosyjskiego Państwowego Uniwersytetu Humanistycznego w Moskwie, obecnie pracownik naukowy Laboratorium Socjolingwistyki tego uniwersytetu. Autor wielu książek naukowych i popularnonaukowych poświęconych przemianom współczesnego języka rosyjskiego, między innymi: *Russkij jazyk na grani nerwnowo srywa* (*Język rosyjski na granicy załamania nerwowego*) (Moskwa 2008), *Slowo za slowo. O jazykie i nie tolko* (*Słowo za słowo. O języku i nie tylko*) (Moskwa 2015).

eprasa.pl 53cf282579

REKLAMA



Do kupienia w sklepie internetowym
kew.org.pl
i najlepszych polskich księgarniach

Kolegium Europy Wschodniej im. Jana Nowaka - Jeziorańskiego we Wrocławiu
Instytut Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk
Nowa Europa Wschodnia
New Eastern Europe

eprasa.pl 53cf282579

Ermenistan

Tekst i zdjęcia Maciej Falkowski

Co dziś zostało z Ermenistanu? Piękny cmentarz w Kyzyłszafag. Błękitny Meczet w Erywaniu. Popadające w ruinę lub specjalnie niszczone urokliwe cmentarze nad Sewanem. I nieliczne Azerki – żony Ormian, którym w 1989 roku pozwolono zostać.

Choć lato już się skończyło, w Dolinie Ararackiej jest wciąż gorąco. Drogę z położonego na północy Armenii sennego Stepanawanu, noszącego niegdyś nazwę Dżalaloglu (syn Dżalala), do gruzińskiej granicy spowija jednak gęsta mgła. Mży. W zamieszkałym przez Ormian katolików Mecawanie pytam o drogę. Nikt jednak nie wie, gdzie jest wieś Dzjunaszogh. Dopiero po jakimś czasie ktoś w końcu kojarzy, że chodzi o Kyzyłszafag, po azerbejdżańsku – Czerwony Świt. Choć nazwę wioski zmieniono w 1991 roku w ramach konsekwentnie wdrażanej od lat trzydziestych ubiegłego wieku armenizacji nazw topograficznych, zupełnie się nie przyjęła. Nie tylko w przypadku Dzjunaszogh. Dla wielu Giumri jest wciąż Leninakanem, Wanadzor – Kirowakanem, a ulica Hanrapetutian w Erywaniu (przy której notabene mieści się polska ambasada) – ulicą Alawerdian.

W końcu wydostajemy się z Mecawanu. Dziury jak kratery wulkanów w drodze prowadzącej przez przypominający step płaskowyż nie pozostawiają złudzeń, że zmierzamy do miejsca zapomnianego przez Boga i ludzi.

Czaj i kawa

– *Barew dzez?* Dzień dobry! Gdzie jest cmentarz w waszej wsi?

– *Hajkakan te turkakan?* Ormiański czy turecki? – Wąsaty pan w *kiepce* (charakterystycznej czapce z daszkiem), zupełnie nieprzypominający typowego mieszkańca Armenii, wcale nie robi się podejrzliwy, gdy wyjaśniam, że chodzi mi o cmentarz azerbejdżański. Nie określa miejsca wiecznego spoczynku tureckim ze złośliwości. W Armenii po prostu tak jest – Azerów rzadko nazywa się Azerami. Najczęściej mówi się o nich „Turcy". Z pełną świadomością, że Azerowie Turkami nie są.

– Wpadnijcie potem na *czaj*! – rzuca, gdy oddalamy się we wskazanym przez niego kierunku.

eprasa.pl 53cf282579

Na czaj… Wszystko jasne. Można śmiać się z mieszkańców Kaukazu, że po nieznaczących z naszego punktu widzenia detalach potrafią określić czyjeś pochodzenie czy przynależność etniczną. Po pewnym czasie człowiek jednak przyznaje im rację – coś w tym rzeczywiście jest. Jeśli ktoś w Armenii poczęstuje cię na dzień dobry herbatą, bądź pewien, że pochodzi z Azerbejdżanu. Ormianin z Armenii bez pytania zrobi ci kawę po ormiańsku, czyli po… turecku. Zwyczaj picia hektolitrów kawy przez cały Boży dzień rzeczywiście przyszedł do Armenii z Turcji wraz z uchodźcami po ludobójstwie, choć Ormianom trudno przez usta przechodzi nazwa „kawa po turecku". Co ciekawe, tak udanie zaimportowany do Armenii zwyczaj picia kawy niemal zamarł w Turcji, szczególnie w jej wschodniej części. W Azerbejdżanie, gdzie króluje kultura picia herbaty, zupełnie nie ma co liczyć na kawę. Chyba że w dobrej zachodniej kawiarni w Baku, do której uczęszczają obcokrajowcy. Na prowincji szczytem finezji będzie popularne również w Rosji i Azji Centralnej *tri w odnom* – proszek w saszetkach, który po zalaniu go wrzątkiem przekształca się w coś w rodzaju kawopodobnego ulepku.

Poszukiwana nekropolia leży na końcu wsi, tuż za ostatnimi domostwami. Już z daleka rzucają się w oczy różnokolorowe nagrobki. Dominuje błękit. Ostatnie pochówki datowane są na 1989 rok. Jak to często na Kaukazie pomiędzy nagrobkami szwenda się bydło, cmentarz wygląda jednak tak, jakby był używany po dziś dzień. Jakby chroniła go jakaś niewidzialna ręka, mimo że w dawnym Kyzyłszafag nie został ani jeden krewny tych, którzy na cmentarzu znaleźli wieczny odpoczynek.

Ocaleni przez sąsiadów

Oczywiście nikt nie wie, kiedy wioska dokładnie powstała, ani kto ją najpierw zamieszkiwał. Tak czy inaczej, w czasach carskich, gdy północna część współczesnej armeńskiej prowincji Lori była częścią guberni tyfliskiej (tbiliskiej), w Kyzyłszafag mieszkali tureckojęzyczni muzułmanie, zwani wówczas Tatarami, potem Turkami azerbejdżańskimi, wreszcie zaś Azerami (bądź, jak kto woli, Azerbejdżanami). Sąsiedni, znacznie większy Mecawan zamieszkiwała ludność ormiańska. Obie społeczności współżyły bez większych konfliktów. Region ominęły tatarsko-ormiańskie rzezie z 1905 roku oraz krwawe porachunki na tle etnicznym i religijnym, do jakich dochodziło choćby w Baku, Karabachu czy Zangezurze w okresie rewolucyjnego chaosu. Przyszedł jednak rok 1918. Masowe dezercje rosyjskich żołnierzy na froncie anatolijskim sprawiły, że jedyną siłą zbrojną próbującą powstrzymać ofensywę armii osmańskiej były nieliczne oddziały samoobrony ormiańskiej. Ponosiły jednak porażkę za porażką. Padły Erzurum, Kars, Aleksandropol (ówczesna nazwa Giumri). W maju Turcy podeszli pod Eczmiadzyn, Aparan i Karakilisę (obecny Wa-

eprasa.pl 53cf282579

nadzor). Bojąc się powtórki z roku 1915, ormiańska ludność tych terenów w popłochu uchodziła na wschód. Osmańscy żołnierze stanęli również w okolicach Dżalaloglu. Mieszkańcom Mecawanu groziło wyrżnięcie w pień. Prawda to czy nie, ale według miejscowych przekazów, do akcji ruszyli wówczas mieszkańcy Kyzyłszafag. Skutecznie przekonali dowódców tureckich, żeby oszczędzili sąsiadów.

Minęło siedemdziesiąt lat i sytuacja powtórzyła się. Tyle że tym razem rolę obrońców i potencjalnych ofiar odwróciły się. Nakręcający się w 1989 roku konflikt karabaski zawisł nad zamieszkującymi Armenię Azerami (podobnie jak nad Ormianami z Azerbejdżanu) jak katowski miecz. Choć do aktów przemocy dochodziło rzadko i miały one charakter indywidualny (nie było analogii z pogromami Ormian w Sumgaicie czy Baku), mieszkańcy rozsianych po całym kraju azerbejdżańskich wiosek żyli w strachu. Wielu zaczynało pakować manatki. Szczególnie obawiano się fedainów spontanicznie grupujących się w poszczególnych miejscowościach, aby wspólnie wyjechać do Karabachu. Podobna grupa sformowała się również w Stepanawanie. Niczym pieniacka szlachta zaściankowa z *Pana Tadeusza* przed wyruszeniem na wroga postanowili „oczyścić własny dom ze śmieci", za cel obierając kyzyłszafackich Azerów. Zmierzająca w kierunku wsi kolumna samochodów z uzbrojonymi brodaczami nieoczekiwanie napotkała jednak przeszkodę. Na drodze stanęli im mieszkańcy Mecawanu, którzy dowiedziawszy się o planowanej akcji, przypomnieli sobie rok 1918 i nie przepuścili bojowników.

Ocaleni przez sąsiadów miejscowi Azerowie wiedzieli, że w Armenii nie ma już dla nich miejsca. Nie musieli jednak uciekać w panice. Zebrali delegację, która wyruszyła do Azerbejdżanu w poszukiwaniu ormiańskiej wioski, której groził podobny los. Nie wiadomo, czy ktoś ich skierował, czy prowadzili poszukiwania na własną rękę, dość, że trafili do rejonu szemachińskiego w północnym Azerbejdżanie, do zamieszkanej przez Ormian wioski Kerkendż. Po długich negocjacjach i rewizycie kerkendżyńskiej starszyzny w Kyzyłszafag osiągnęli porozumienie. Postanowili dokonać wymiany. Wieś za wieś, dom za dom. Żeby w świetle prawa nie było żadnych wątpliwości, sporządzili odpowiednie akty notarialne. I zobowiązali się, że będą wzajemnie ochraniać swoje cmentarze. Nie wiem, jak to wygląda w Kerkendżu, ale kyzyłszaccy Ormianie dotrzymują danego słowa. Nie tylko dbają o „turecki" cmentarz. Do niedawna, zanim nie uszczelniono granicy armeńsko-gruzińskiej, potajemnie gościli nawet od czasu do czasu dawnych mieszkańców, którzy chcieli nawiedzić mogiły swoich krewnych. Dawniej spotykali się z nimi również na neutralnym gruncie, w Gruzji, aby wymienić się informacjami o rodzinnych stronach.

Czym jest historia Kyzyłszafag i Kerkendżu? Dowodem na pragmatyzm, zdrowy rozsądek i tolerancję prostych, niewykształconych ludzi w morzu szalejącego nacjonalizmu. Jeśli tylko politycy i ideologie nie mieszają im w głowach, potrafią znaleźć

eprasa.pl 53cf282579

modus vivendi na koegzystencję z sąsiadem. Elity nie zawsze to umieją, a jeszcze częściej nie chcą.

Ormianie o muzułmańskich nazwiskach

Jeszcze przed rozpadem Związku Radzieckiego Armenia była najbardziej homogeniczną etniczne republiką radziecką. Ponad 90 procent jej ludności stanowili Ormianie. Mimo to, jeśli popatrzylibyśmy na jej ówczesną mapę etniczną, odkrylibyśmy niejedną nieormiańską plamę. Ermenistan (po azerbejdżansku i turecku – Armenia) rozciągał się przede wszystkim na wschodnim wybrzeżu jeziora Sewan, zwanego po azerbejdżańsku Gökcza. W pasie od miasta Wardenis aż do drogi łączącej Dilidżan z Idżewanem rozsiane były azerbejdżańskie auły. Podobnie było w północno-zachodnim krańcu Armenii, wokół jeziora Arpi. Azerowie mieszkali również w okolicach Wanadzoru, w Sjuniku, Wajoc Dzorze, na Równinie Ararackiej. Stanowili natomiast mizerną część mieszkańców Erywania, koncentrując się w dzielnicy otaczającej dzisiejszy, zbudowany w latach dziewięćdziesiątych XX wieku, kościół Świętego Grzegorza Oświeciciela.

Przesiedlaniu ludności azerbejdżańskiej z Armenii towarzyszyła polityka niszczenia materialnych pozostałości po miejscowych muzułmanach.

Nie byli jednak w armeńskiej stolicy kimś obcym. Z pobliskiego Nachiczewania (autonomiczna republika stanowiąca azerbejdżańską eksklawę wciśniętą między Armenię, Turcję i Iran) codziennie tłumnie przybywali azerbejdżańscy chłopi, aby na stołecznych rynkach sprzedawać swoje owoce i warzywa. Czy zdarzały się konflikty między większością ormiańską a miejscowymi Azerami? Nikt nigdy mi o nich nie wspomniał. Przeciwnie, wszyscy twierdzili, że obie społeczności żyły w zgodzie. Zapraszali się wzajemnie na uroczystości rodzinne, wspólnie świętowali, do rzadkości nie należały mieszane małżeństwa. Większość armeńskich Azerów, określanych dziś w Azerbejdżanie mianem Jerazów (z ros. *jerewanskij azerbajdżaniec*), płynnie mówiła po ormiańsku. Nie w głowie był im azerbejdżański nacjonalizm czy – tym bardziej – islam.

Gdybyśmy cofnęli się do początków XIX wieku, do czasów sprzed rosyjskiej ekspansji na Kaukazie, sytuacja wyglądałaby inaczej. Korzystniej na rzecz Azerów. Choć żaden Ormianin tego nie przyzna, Ormianie stanowili mniejszość na terytorium dzisiejszej Armenii, której wówczas nie było na mapie. Mityczny Hajastan, Wielka Armenia obejmująca całą Wyżynę Armeńską istniała oczywiście w głowach Ormian, rzeczywistość polityczna była jednak zupełnie inna. Podzielona na wilajaty

eprasa.pl 53cf282579

(prowincje) tak zwana zachodnia Armenia była częścią Imperium Osmańskiego, wschodnia wchodziła w skład Persji sprawującej jedynie symboliczną kontrolę nad rządzonymi przez miejscowe tureckojęzyczne dynastie chanatami – erywańskim, giandżyńskim, nachiczewańskim i innymi. Erywań był Irewanem, Wanadzor Karakilisą, a Goris nosił nazwę Geriusy. Tysiące wiosek w całej Armenii nosiło tureckie nazwy. Podobnie jak na całym obszarze historycznej Armenii Ormianie żyli w rozproszeniu, wśród dominujących liczebnie i politycznie muzułmanów.

W jakim stopniu zachowali ormiańską tożsamość, pozostaje jedynie zgadywać. Z pewnością kluczowa była identyfikacja religijna. Aby przekonać się, jak było to skomplikowane, wystarczy choćby odwiedzić cmentarz przy kościele w Gandzasarze – najważniejszym klasztorze w Karabachu. Gdyby tamtejsze nagrobki ormiańskich melików (miejscowej arystokracji) nie były pisane alfabetem ormiańskim, nie sposób byłoby domyśleć się, że spoczywają tam Ormianie – dominują imiona i nazwiska muzułmańskie.

Ocalał tylko jeden meczet

Armenizacja czy też, jeśli mielibyśmy być bardziej sprawiedliwi historycznie, rearmenizacja (bo przecież zanim w wyniku kolejnych najazdów pojawili się tam tureckojęzyczni muzułmanie, terytorium Wyżyny Armeńskiej zamieszkiwali przede wszystkim Ormianie) dzisiejszej Armenii zaczęła postępować dopiero w XIX wieku. Pokonawszy Persów w dwóch kolejnych wojnach (1804–1813 i 1826–1828) zakończonych pokojem w Giulistanie i Turkmanczaju oraz przyłączeniem szeregu chanatów do Imperium Romanowów, Rosjanie zaczęli zachęcać tureckich i perskich Ormian do emigracji na Kaukaz. Posłuchały tysiące. Nie chcieli dalej żyć pod władzą muzułmanów, w państwach, gdzie choć przetrwali jako społeczność, byli ludźmi drugiej kategorii. Rozpoczął się exodus. Ormianie masowo osiedlali się nie tylko na terytorium dzisiejszej Armenii, ale na całym Kaukazie, zarówno południowym, jak i północnym.

Podobnie jak w masowym napływie rosyjskich Żydów na ziemie polskie w XIX wieku można upatrywać jednego ze źródeł późniejszego antysemityzmu, tak w przypadku niechęci Azerów i Gruzinów wobec Ormian winna była polityka ich masowego osiedlania na Kaukazie i faworyzowania przez władze carskie. W krótkim czasie wyrosły kolonie ormiańskie w Baku i innych miastach regionu, w odludnych miejscach, na pastwiskach wykorzystywanych dotąd przez muzułmańskich koczowników zakładano ormiańskie wioski, a nawet miasta (jak Nor Bajazet, dzisiejszy Gawar nad Sewanem), a ziemię przekazywano ormiańskim chłopom. Musiało to generować konflikty.

eprasa.pl 53cf282579



Nad jeziorem Arpi, gdzie kiedyś mieszkali Azerowie.



Sianokosy nad jeziorem Arpi, północno-zachodnia Armenia.

eprasa.pl 53cf282579



eprasa.pl 53cf282579



Droga z Mecawanu do Dzjunaszogh.

eprasa.pl 53cf282579







Cmentarz w Dzjunaszogh (Kyzyłszafag).


1911 - 19 8 IX 82
ГАСЫМОВА
МАЛАЙСА
МУСАГЫЗЫ
ГЫЗЫЛША
ФАТКЫНЫЗЫ
ОГЛУЛЫР-
МАММАТЗЫН
ХЕТИРА



Cmentarz w Dzjunaszogh (Kyzyłszafag).



Jezioro Arpi.



Wschodni brzeg Sewanu.

eprasa.pl 53cf282379

Jednocześnie władze carskie sprzyjały bądź nie utrudniały wyjazdów muzułmanom. Na Kaukazie Południowym nie przybrały one tak dużych rozmiarów jak w zachodniej części Kaukazu Północnego (exodus Czerkiesów i Abchazów do Turcji prowadzący do wyludnienia całych obszarów), wielu muzułmanów jednak decydowało się na emigrację. Proces ten ruszył pełną parą, z aprobatą władz w Moskwie, po utworzeniu radzieckiej Armenii.

Ormianki w Azerbejdżanie, choć nikt ich nigdy nie widział, gdzieś są. Sąsiedzi wiedzą, ale z litości milczą.

O ile pod koniec XIX wieku na terytorium dzisiejszej Armenii żyło około 300 tysięcy Azerów (według danych rosyjskiego spisu ludności w 1897 roku w Erywaniu mieszkało 12 tysięcy Ormian i tyle samo Azerów), o tyle w 1979 roku było ich już około 160 tysięcy, zaś w 1989 roku zaledwie 80 tysięcy. Przymusowo-dobrowolnemu przesiedlaniu ludności azerbejdżańskiej towarzyszyła polityka systematycznej armenizacji toponimii i, co tu kryć, niszczenia materialnych pozostałości po miejscowych muzułmanach. Dziś w Armenii ocalał tylko jeden meczet – przekazany w geście politycznej dobrej woli stronie irańskiej tak zwany Błękitny Meczet w Erywaniu. Po innych, w tym kilku świątyniach w ormiańskiej stolicy, nie pozostał nawet ślad.

Azerowie, rzecz jasna, odpłacali pięknym za nadobne. Dokładnie takie same procesy miały miejsce w Azerbejdżanie, szczególnie w Nachiczewaniu. Sytuacja w tej enklawie, niezwykle istotnej z punktu widzenia ormiańskiej kultury i historii, była dla Ormian szczególnie bolesna. Bolała nie tylko systematyczna azerbejdżanizacja Nachiczewania i skłanianie Ormian do wyjazdów, ale również planowe niszczenie zabytków ormiańskiej kultury materialnej – kościołów, klasztorów, cmentarzy. Radziecka drużba narodów w praktyce… Upiornym i pokazującym, jak kiepski PR mają Azerowie, zwieńczeniem kulturowego ludobójstwa Nachiczewania, jak mówią Ormianie, było zniszczenie w 2005 roku przy użyciu buldożerów wpisanego na listę światowego dziedzictwa UNESCO cmentarza ormiańskiego w Dżulfie, zwanej przez Ormian Dżugą. Tysiące bezcennych średniowiecznych chaczkarów (rzeźbionych w kamieniu nagrobków) uległo zagładzie. Azerowie na własne życzenie postawili się w jednym rzędzie z talibami z afgańskiego Bamianu i Państwem Islamskim z syryjskiej Palmyry.

Odwieczna walka

Co dziś zostało z Ermenistanu? Piękny cmentarz w Kyzyłszafag. Błękitny Meczet w Erywaniu. Popadające w ruinę lub specjalnie niszczone urokliwe cmentarze nad Sewanem. I nieliczne Azerki – żony Ormian, którym w 1989 roku pozwolono zo-

eprasa.pl 53cf282579

stać. Zmieniły imiona i nazwiska, zerwały kontakty z rodziną, wtopiły się w tłum, starają się nie obciążać dzieci opowieściami o tym, kim są. Lepiej niech nie wiedzą. Zapomną. Po co im taki bagaż? Podobnie jest z Ormiankami w Azerbejdżanie. Choć nikt ich nigdy nie widział, gdzieś jednak są. Sąsiedzi wiedzą, ale z litości milczą.

Uprzedzając myśl czytelnika o kaukaskich „barbarzyńcach", proponuję najpierw odszukanie żydowskiego lub ewangelickiego cmentarza w rodzinnym mieście. Tak to już jest, a przynajmniej do tej pory zawsze było, że dewastacja tego, co zostało po „tych, którzy byli tu przed nami", wpisana jest w cykl brutalnej historii. Jeśli coś gdzieś ocalało, to najczęściej przez przypadek, z powodów utylitarnych albo z lenistwa. Gdy jakaś świątynia była za wysoko w górach albo jej zniszczenie wymagało zbyt wiele pracy, była szansa, że ocaleje. Reszta przegrywała w odwiecznej walce krwiożerczej i egoistycznej natury ludzkiej z kulturą.

Maciej Falkowski jest prezesem Fundacji Solidarności Międzynarodowej. Wieloletni analityk Ośrodka Studiów Wschodnich im. Marka Karpia, ekspert w dziedzinie Kaukazu, Azji Centralnej. W latach 2010–2013 sekretarz ds. politycznych w Ambasadzie Polski w Erywaniu.

eprasa.pl 53cf282579

Recenzje

Wojtyła, czyli prometeizm w Watykanie



Paweł Kowal, *Testament Prometeusza. Źródła polityki wschodniej III Rzeczypospolitej*, Wydawnictwo KEW, Wojnowice 2019

Doskonała praca, której dotychczas brakowało na rynku naukowym. Opisana w niej została polska polityka wschodnia w latach 1989–1991 z analizą uzupełniającą genezy przełomu i ze szczególnym uwzględnieniem okresu po 1978 roku, kiedy „polski papież", Jan Paweł II, pojawił się w Watykanie. Już na pierwszy rzut oka widać teoretyczny warsztat naukowca, który choć dla przeciętnego czytelnika może nie jest zbyt porywający, to każdemu zainteresowanemu daje jasny sygnał: to jest praca naukowa.

Teza autora jest jednoznaczna: propolskie lobby światowe na czele z polskim papieżem i Zbigniewem Brzezińskim stworzyło odpowiednią atmosferę do tektonicznych przemian nie tylko w Polsce, ale również w całej Europie Wschodniej. Tezę tę autor popiera licznymi źródłami, również rosyjskimi. Równolegle stara się wyjaśnić znaczenie doktryny Jerzego Giedroycia, uwzględniając jej aspekt teoretyczny i praktyczny. Jednakże autor bierze pod uwagę różnorodność definicji doktryny polskiej polityki wschodniej, czyli wymiar geograficzny, polityczny, historyczny, kulturowy i cywilizacyjny. Z tego też powodu szybko przechodzi do spisu różnych definicji owej polityki na początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku: neojagiellonizm, neoprometeizm, polski prometeizm czy Międzymorze. Relacje tych pojęć z geopolityką uzupełniają kreślony obraz.

W efekcie Prometeusz staje się patronem polskiej polityki wschodniej, to znaczy prometeizm okresu międzywojennego przechodzi w neoprometeizm doktryny Giedroycia, której celem było odzyskanie niepodległości Polski i antykomunizm. Drogą wiodącą do tego celu był ruch skierowany przeciw imperializmowi rosyjskiemu, ale nie antyrosyjski. Podsumowując, doktryna sprowadzała się do „europeizacji" obszaru poradzieckiego, a nawet wsparcia demokratyzacji samej Rosji.

Kowal szczególnie podkreśla ciągłość polityki Rosji wobec Polski, a także rolę Polski w rosyjskiej przestrzeni imperialnej. Próba spojrzenia z rosyjskiego punktu widzenia na polski prometeizm jest

eprasa.pl 53cf282579

szczególną zaletą publikacji. Autor podkreśla wielokrotnie systemowo-geopolityczne aspekty zmian w polityce światowej i ich bezpośredni wpływ na polską politykę wschodnią. Uwzględnione są również międzynarodowe struktury i podmioty, na które Polska nie miała wpływu. Głównymi aktorami były USA, Watykan i Unia Europejska. W ocenie rosyjskiego obrazu Polski widoczna jest obawa przed Polską od czasu powstania Związku Radzieckiego aż do „katolickiego prometeizmu" papieża. Dla polskiego czytelnika istotne powinno być zrozumienie, że Bitwa Warszawska czy działania Piłsudskiego w okresie międzywojennym zdominowały perspektywę radzieckich elit na dziesiątki lat. Prometeizm był większym zagrożeniem dla Rosji, niż sądzili Polacy.

W drugim rozdziale dowiadujemy się, że powodem rozpadu Związku Radzieckiego były kryteria etniczne, na podstawie których powstał on w 1922 roku i które zostały potwierdzone w konstytucji z roku 1977. Potocznie używana fraza o „upadku komunizmu" jako przyczyny rozpadu Związku Radzieckiego jest dokładnie wyjaśniona i udokumentowana. Mimo czasowego ograniczenia pracy do roku 1991 autor wychodzi poza te ramy i analizuje imperializm rosyjski okresu poradzieckiego i definiuje datę 11 grudnia 1994 roku jako symboliczny koniec rozpadu imperium (po)radzieckiego.

Wojna w Czeczenii, która zapobiegła wyjściu kaukaskiej republiki ze struktur Federacji Rosyjskiej, może być interpretowana jako punkt zwrotny w historii Rosji. Przy okazji analizy imperium rosyjskiego okazuje się, że dla Polski historia poradziecka zaczyna się dopiero 17 września 1993 roku wraz z wyjściem wojsk radzieckich z terenów Polski. Zerwanie „imperialnych więzów" zostało potwierdzone przez wizytę prezydenta Borysa Jelcyna w Polsce. Pamiętając o tym, że odzyskanie niepodległości Polski odbywało się równolegle ze zjednoczeniem Niemiec i dominacją USA na arenie międzynarodowej, autor zwraca uwagę na fakt, że Polska była wspierana zarówno przez USA, jak i powstającą Unię Europejską jako pozytywny model „trzeciej fali demokratyzacji" na świecie. Wiązało się to ze stabilizacją gospodarczą, powstawaniem państwa prawa i neutralizacją konfliktów historycznych, jak również zapobieganiu nacjonalistycznym tendencjom.

Jednym z głównych warunków kształtowania polskiej polityki wschodniej było uznanie granic wschodnich Polski. Z biegiem czasu wszystkie polskie środowiska emigracyjne, począwszy od paryskiej „Kultury" po Londyn, granice te zaakceptowały. W tym samym czasie wewnątrz opozycji istniały nurty odmienne od neoprometeizmu reprezentowanego przez kręgi „Kultury". Idea finlandyzacji Polski była dyskutowana w latach siedemdziesiątych XX wieku i reprezentowana przez Stanisława Stommę, który był również orędownikiem pojednania polsko-niemieckiego. Autor wprawdzie tego nie uwzględnia, ale stanowisko Stommy jest tu bardzo ważne, ponieważ je-

eprasa.pl 53cf282579

go „uczniem" był Aleksander Hall, który w rządzie Tadeusza Mazowieckiego odegrał kluczową rolę w kształtowaniu polityki wobec Rosji. Ważnym wydarzeniem, które autor uwzględnia, jest wizyta Michaiła Gorbaczowa w Warszawie w lipcu 1988 roku i jego spotkanie z intelektualistami reprezentującymi różne środowiska.

Gorbaczow najpierw uciekł przed trudnym pytaniem na temat doktryny Breżniewa, ale kilka tygodni później odrzucił ją na arenie międzynarodowej. Bardzo ciekawa jest informacja o pobycie w Polsce Vytautasa Landsbergisa, który w 1981 roku podczas podpisywania Porozumień Gdańskich przepowiedział karierę Lecha Wałęsy. Jeśli chodzi o „mały kompromis" polskich elit w sprawie polityki wschodniej, to widoczna jest rola Ukrainy i roli komisji Mniejszości Narodowych w tworzeniu polityki wschodniej. Ciekawa jest rola Zbigniewa Brzezińskiego, który w maju 1989 roku reprezentował politykę USA w Warszawie, mimo że w tym czasie prezydentem USA był republikanin George Bush. Kluczowym sygnałem pozostaje jednak solidarnościowe „Posłanie do narodów…" z 1981 roku, choć nowe elity solidarnościowe zmieniły ton zaraz po stworzeniu rządu Mazowieckiego. Ostrożność wobec Gorbaczowa staje się widoczna, mimo że neoprometeizm w postaci umiarkowanych i maksymalistycznych przedstawicieli dominował w obozie solidarnościowym. Widoczne były jednak inne nurty, które umożliwiły porozumienie z przedstawicielami obozu Jaruzelskiego.

Rola Karola Wojtyły jako papieża Jana Pawła II jest nie do przecenienia. Zostawia wprawdzie autora „watykańskiej Ostpolitik" kardynała Agostino Casaroliego na stanowisku, ale kilka tygodni po inauguracji spotyka unickiego kardynała Josefa Slipy'ego, który przez lata był przez Watykan ledwie tolerowany. Warto w tym miejscu zapytać, dlaczego Giedroyc nie docenił wyboru Karola Wojtyły na papieża? To pozostaje do dziś tajemnicą. Nowy papież we wszystkich swoich wystąpieniach zwracał się do katolików na terenie Związku Radzieckiego i wywoływał wrogie reakcje w aparacie władzy radzieckiej. Niejasna pozostaje do dziś sprawa udziału radzieckich służb specjalnych w zamachu na papieża w maju 1981 roku. Faktem jest, że kręgi rządowe w Moskwie interpretowały działalność Watykanu na terenie Związku Radzieckiego, a szczególnie powiązania z Kościołem unickim na terenie Ukrainy, jako poważne zagrożenie. Przede wszystkim po nawiązaniu stosunków dyplomatycznych między USA i Watykanem oraz po spotkaniu papieża z Ronaldem Reaganem na Alasce w 1984 roku sytuacja uległa zaostrzeniu. Gorbaczow mimo głasnosti nie zmienił stanowiska Watykanu wobec Związku Radzieckiego. Autor posługuje się pojęciem „katolicki prometeizm", podsumowując politykę Jana Pawła II wobec Europy Wschodniej.

Zmiana władzy w Moskwie i objęcie stanowiska sekretarza generalnego KPZR przez Gorbaczowa doprowadziła do zbliżenia kręgów reformatorskich w PZPR

eprasa.pl 53cf282579

z KPZR, ale nie wpłynęło to na rozwój polityki wschodniej ekipy Jaruzelskiego. Sprowadzała się ona do nawiązywania kontaktów z Polonią na terenach wschodnich poprzez tworzenie konsulatów czy wspieranie działań propolskich Kościoła katolickiego. To neoendeckie spojrzenie na wschodnich sąsiadów było widoczne w działaniach MSZ po stworzeniu rządu przez Tadeusza Mazowieckiego i objęciu stanowiska ministra przez Krzysztofa Skubiszewskiego. Autor podkreśla również rolę Alexandra Halla, reprezentanta idei finlandyzacji Polski w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX wieku, i jego rolę w pierwszych miesiącach urzędowania niekomunistycznego rządu. Nikt z tej trójki nie był zwolennikiem opcji prometejskiej. Na to nakładają się relacje z Zachodem. Proces jednoczenia się Niemiec był skomplikowany, a udział Polski w rokowaniach dwa plus cztery – niejasny. Pamiętajmy o tym, że wojska radzieckie opuściły Polskę dopiero 17 września 1993 roku, były więc gwarantem bezpieczeństwa Polski w procesie jednoczenia się Niemiec. A głównym problemem polityki wschodniej były relacje z Litwą. Wizyta Mazowieckiego w USA i spotkanie z prezydentem Bushem wpłynęły na zorientowanie polskiej polityki wschodniej w kierunku prometejskim. Miało to wyraz w szerszym wsparciu ruchów narodowych u odradzających się wschodnich sąsiadów. Ze względu na powolne zmiany w oficjalnych strukturach administracji w latach 1989–1991 należy podkreślić rolę takich instytucji, jak Ośrodek Studiów Wschodnich czy Fundacja Batorego, które tworzyły w tym czasie awangardę polityki wschodniej. Przyjęcie strategii dwutorowości, czyli zachowanie stosunków dyplomatycznych ze Związkiem Radzieckim i rozwijanie kontaktów z poszczególnymi republikami radzieckimi, było strategicznym majstersztykiem Skubiszewskiego. Wizyta papieża w 1991 roku, a szczególnie jego wystąpienie w Przemyślu na temat relacji z Ukrainą, miały znaczny wpływ na zmiany strategiczne polityki zagranicznej. Oprócz wpływów papieskich i amerykańskich należy również uwzględnić powstawanie Unii Europejskiej w wyniku układu w Maastricht.

Jako symboliczną datę powstania nowej polityki wschodniej przyjmuje się 2 grudnia 1991 roku – moment uznania przez Warszawę Ukrainy jako niepodległego państwa. W okresie przejściowym od września do 2 grudnia 1991 dominowało podejście neoendeckie, ale pod wpływem wyżej wymienionych czynników rząd polski zmienił stanowisko. Przebiła się doktryna Giedroycia, mająca moralną legitymację, bardziej pasująca do demokratycznej Europy i mogąca być zaadaptowana do międzynarodowych trendów. W ten sposób ciągłość idei od okresu jagiellońskiego do upadku imperium radzieckiego została zachowana. Powrót tendencji imperialnych w polityce Rosji w połowie lat dziewięćdziesiątych XX wieku doprowadził do antagonizacji stanowisk Polski i Rosji, co jest widoczne do dziś.

eprasa.pl 53cf282579

Książka Kowala uświadamia, że rola papieża w kształtowaniu polityki wschodniej jest niedoceniana, szczególnie na Zachodzie. Autor udowodnił dobitnie, że kroki Jana Pawła II w kierunku Ukraińców i innych katolików za wschodnią granica Polski były od początku sprawowania pontyfikatu dokładnie przemyślane. „Katolicki prometeizm" jest czasami bardziej widoczny niż „prometeizm" polskiego rządu po 1989 roku.

Książka Kowala, ewentualnie jej okrojona wersja „międzynarodowa", powinna zostać przetłumaczona na język angielski, bo pokazuje czytelnikowi sposób myślenia polskich elit po roku 1989, który jest rezultatem stuletniego uzależnienia od imperializmu rosyjskiego. Zbyt często poza granicami Polski sprowadza się ów sposób myślenia do „antyrosyjskiej fobii" Polaków.

Cornelius Ochmann

Energetyczna układanka



Piotr Maciążek, *Stawka większa niż gaz. Ukryta wojna o niepodległość Polski*, Wydawnictwo Arbitror, Warszawa 2018

Na rynku literatury dotyczącej problematyki szeroko rozumianego Wschodu w ostatnim czasie ukazała się pozycja poświęcona perspektywie energetycznej, analizowanej przez pryzmat interesów państwa polskiego. Autorem publikacji jest znany w branży energetycznej analityk Piotr Maciążek. Motywem przewodnim książki jest hasło „niepodległość" przedstawiane w kontekście uzależnienia energetycznego Polski od Federacji Rosyjskiej.

Przywołana wyżej „niepodległość" nie stanowi w książce wyłącznie zabiegu retorycznego. Jest myślą przewodnią, w odniesieniu do której budowane są kolejne rozdziały. Interpretacji rzeczywistej niepodległości, bez wartości symbolicznej, została poświęcona przedmowa przygotowana przez Marcina Celińskiego. W wielu późniejszych fragmentach autor nawiązuje do obchodów stulecia niepodległości, wskazując na konieczność niezbędnych działań w sferze energetycznej jako celu dla jej pełnego urzeczywistnienia.

Takie też zadanie postawił sobie autor publikacji, który w epilogu wskazał na dwa kluczowe powody przygotowania tej publikacji. Pierwszy to „chęć przedstawienia czytelnikowi w maksymalnie przystępny sposób trudnej materii związanej z zagadnieniem bezpieczeństwa energetycznego Polski". Jako drugi powód Maciążek podaje ideę „pokazania niepokojącego zjawiska, jakim jest uzależnienie wielu newralgicznych obszarów polskiej gospodarki od Rosji". Jak z tak nakreślonymi zadaniami poradził sobie Maciążek?

W dziewięciu rozdziałach publikacji autor przedstawia najważniejsze aspekty dotyczące uwarunkowań i zagrożeń bezpieczeństwa energetycznego wskutek uzależnienia Polski od Rosji. I choć w ty-

eprasa.pl 53cf282579

tule książki mowa o gazie, to na kolejnych kartach publikacji zawarte są analizy dotyczące szerokiej mozaiki energetycznej związanej z ropą naftową, przemysłem petrochemicznym, a także energetyką atomową. Uzupełnieniem tej problematyki jest opis olbrzymiego oręża, jakie w zagwarantowaniu swoich interesów wykorzystuje Federacja Rosyjska, związanych z działalnością służb specjalnych, niejasnych sieci powiązań i wpływów na najwyższych szczytach władzy w poszczególnych państwach, a także propagandą będącą elementem szerszej polityki w ramach rosyjskiej *soft power*.

Przedstawiana problematyka należy do relatywnie często poruszanych tematów w debacie publicznej, która jednak sprowadza się do ogólnych haseł związanych z koniecznością dywersyfikacji dostaw surowców energetycznych i uniezależnienia się pod tym względem od Rosji. Maciążek w tej dyskusji idzie zdecydowanie dalej i w przedstawionych analizach pokazuje, jak bardzo pod względem energetycznym Polska jest uzależniona od Rosji. Materia ta jest złożona i choć autor postawił sobie za cel jej przedstawienie w najbardziej prosty i przystępny sposób, to jednak do jej pełnego zrozumienia konieczna jest spora wiedza nie tylko w zakresie aspektów energetycznych, ale również uwarunkowań geopolitycznych, sieci wzajemnych zależności oraz interesów poszczególnych państw, jak również strategicznych i doraźnych sojuszy w regionie Europy Środkowej i Wschodniej. To jest podstawa do odczytania intencji książki, w której zawarte są zarówno interpretacje i ocena oficjalnych decyzji władz państwowych, jak również wnikliwa autorska analiza zakulisowych działań mających miejsce w ramach nieformalnych sieci powiązań na styku polityki, biznesu, dyplomacji i służb specjalnych.

Na podstawie analiz zawartych w książce można stwierdzić, że poruszona problematyka została przedstawiona w kompetentny sposób. W wielu miejscach czytelnik może mieć odmienne zdanie od autora, niemniej może je sobie wyrobić na podstawie przedstawionych faktów i omówionych procesów. Należy jednak podkreślić, że autorowi w wielu fragmentach książki nie udało się uniknąć uproszczeń lub wręcz błędów merytorycznych.

Jednym z aspektów z tym związanych jest kwestia prezentowania niezwykle istotnych dla poruszanej materii danych. I choć autor podkreśla, że książka nie ma charakteru naukowego, to jednak przedstawianie danych, często bez jednoznacznego wskazania okresu, którego dotyczą, jest sporym uproszczeniem. Jako przykład należy podać informację o tym, że Ukraina na tranzycie rosyjskiego gazu zarabiała ponad dwa miliardy dolarów. Informacja ta bez odniesienia do konkretnego okresu jest nieścisła, szczególnie w kontekście znaczących zmian w tym aspekcie pomiędzy Ukrainą a Rosją. Mało precyzyjnie i bez wyjaśnienia dalszego rozwoju sytuacji została również przedstawiona historia z porwaniem na Morzu Bałtyckim statku Arctic Sea i jego uprowadzeniem na Wyspy Zielonego Przylądka.

eprasa.pl 53cf282579

Przy opisie właściciela Acronu Mosze Kantora zabrakło wnikliwej analizy przesłanek jego „przetrwania" w kontekście pełni władzy Władimira Putina. W jednym z fragmentów autor pisze, że „właściciel Acronu przetrwał, choć nie było mu łatwo". W innymi miejscu podkreśla, że „Kantor nie tylko przetrwał trudny okres wczesnych lat rządów Putina, ale z czasem doskonale się odnalazł w nowych realiach". Znając losy wszechwładnych oligarchów, którzy stracili pozycje wraz z umacnianiem władzy przez Putina, z pewnością kluczowym aspektem „przetrwania" Kantora nie była jego niezależność, a jakaś forma lojalności i współpracy z Kremlem.

Sporym uproszczeniem jest również część dotycząca wojen gazowych między Rosją a Ukrainą i presji na władze w Kijowie, które, jak pisze autor, w jej wyniku w 2010 roku zdecydowały się podpisać umowę w formule „flota za gaz". Oczywiście po pomarańczowej rewolucji mieliśmy okazję obserwować kilka odsłon wojen gazowych i presji Rosji na Ukrainę, związanej z geopolityczną zmianą polityki Wiktora Juszczenki, a także priorytetowego określenia kierunku polityki zagranicznej i bezpieczeństwa skierowanych na integrację z Unią Europejską i NATO. W niejednej wypowiedzi z tamtego okresu ówczesne władze Ukrainy podkreślały, że wojny gazowe związane są z próbami wyjścia Kijowa z rosyjskiej strefy wpływów. I faktycznie w okresie prezydentury Juszczenki takie działania Gazpromu były stałym elementem stosunków ukraińsko-rosyjskich. Sytuacja ta zmieniła się znacząco po wygraniu wyborów przez prezydenta Wiktora Janukowycza w 2010 roku. Należy jednak podkreślić, że negocjacji „umowy charkowskiej" nie poprzedziła wówczas wojna gazowa. Co więcej, wybrany prezydent elekt w jednym z pierwszych wywiadów dla rosyjskich mediów zadeklarował możliwość pozostania rosyjskiej floty w Sewastopolu po 2017 roku w zamian za obniżenie ceny gazu, czym zdecydowanie zmniejszył sobie możliwości negocjacyjne w trakcie dalszych rozmów z Rosjanami.

Pewne zaskoczenie budzi również fragment dotyczący szczytu klimatycznego w Paryżu w 2015 roku. Po pierwsze, szczyt ten błędnie został nazwany wyłącznie jako COP 21, podczas gdy równoległa nazwa wspomnianych obrad to CMP11, co jest wynikiem rozstrzygnięć zawartych w ramowej konwencji Narodów Zjednoczonych w sprawie zmian klimatu. W tym samym miejscu autor przytacza kolejne nieprecyzyjne określenia. W pierwszej części jest bowiem mowa, że obrady w Paryżu pokazały, że „istnieje globalny konsensus odnośnie do problematyki zmian klimatu". Z kolei w następnym fragmencie pojawia się informacja, że „większość państw uznała je za fakt i postanowiła im przeciwdziałać za pomocą redukcji emisji gazów cieplarnianych". Powyższe rozbieżne stwierdzenia nabierają zdecydowanie większej wagi w kontekście późniejszych losów ustaleń z Paryża, szczególnie polityki Stanów Zjednoczonych po zmianie na sta-

eprasa.pl 53cf282579

nowisku prezydenta i dojściu do władzy Donalda Trumpa. Do tej znaczącej kwestii autor się nie odnosi, mimo że książka została ukończona w połowie 2018 roku, a ostatnie poprawki wprowadzono jeszcze kilka miesięcy później.

Powyższa uwaga odnośnie do terminu zakończenia prac nad książką jest istotna w kontekście omawianych w niej procesów i decyzji politycznych. W wielu miejscach czytelnik z pewnością zastanowi się, z jakiej perspektywy czasowej jest analizowany dany proces. W tym aspekcie przedstawienie czytelnikowi tej ważnej informacji na początku książki byłoby zdecydowanie lepszym rozwiązaniem.

We współczesnym świecie bezpieczeństwo energetyczne stanowi jedną z podstaw niezależności i niepodległości państwa, nie tylko w sferze symbolicznej. Dlatego też tak istotny jest konsensus polityczny oraz konsekwentna polityka zmierzająca do jego zagwarantowania i tym samym wzmocnienia suwerenności Polski. Istotnym elementem tych działań musi być również merytoryczna debata publiczna w tym zakresie, w której oddawana do rąk czytelników książka będzie ważnym elementem.

Piotr Bajor

Elementarz czeskości



Jiři Gruša, *Czechy. Instrukcja obsługi*, tłum. Andrzej S. Jagodziński, Międzynarodowe Centrum Kultury, Kraków 2018

Jiři Gruša, zmarły w 2011 roku czeski pisarz, jest w Polsce słabo znany. Jego najgłośniejsza powieść (jedyna wydana w polskim tłumaczeniu), mianowicie *Kwestionariusz, czyli modlitwa za pewne miasto i przyjaciela* z 1975 roku, przeszła u nas w zasadzie bez echa. A szkoda, bo ten karykaturalny portret rzeczywistości czasów Husakowskiej normalizacji, oddany za pomocą biurokratycznej nowomowy, jest jednym z najważniejszych dzieł czeskiej literatury powojennej. W Czechach legendy przysporzyła tej książce także opozycyjna działalność Grušy oraz fakt, że *Kwestionariusz…* ukazał się poza oficjalnym obiegiem (w emigracyjnej oficynie Sixty-Eight Publishers w Toronto, którą zarządzał Josef Škvorecký wraz z małżonką). Niedługo po opublikowaniu tej powieści, którą władze czeskie uznały za pozycję obrazoburczą, Gruša został sygnatariuszem Karty 77, czym umocnił tylko niechęć oficjeli wobec własnej osoby. Gdy więc w 1981 roku wyjechał na stypendium do Stanów Zjednoczonych, został pozbawiony obywatelstwa czechosłowackiego. Po powrocie na Stary Kontynent zamieszkał w Niemczech – od po-

eprasa.pl 53cf282579

łowy lat osiemdziesiątych XX wieku kolejne książki wydaje już po niemiecku. Po aksamitnej rewolucji był ambasadorem Czech w Niemczech (1991–1997) i Austrii (1998–2004), przez krótki okres był ministrem oświaty w rządzie Václava Klausa, zaś w latach 2004–2009 pełnił funkcję prezydenta PEN Clubu.

Streszczam jego życiorys nie bez przyczyny – wyjaśnia on bowiem, jakie powody stały za napisaniem ostatniej książki Gruši, noszącej tytuł *Czechy. Instrukcja obsługi* (napisanej po niemiecku, potem przetłumaczonej przez autora, który dopisał jeszcze kilka rozdziałów – ta wersja, uznawana za kanoniczną, stała się podstawą polskiego tłumaczenia). Historia powstania tej książki sięga końca lat dziewięćdziesiątych XX wieku, kiedy monachijskie wydawnictwo Piper, specjalizujące się między innymi w publikacji ambitnych przewodników, zgłosiło się do pisarza, by stworzył przewodnik po Czechach. Był to – z wielu powodów – pomysł niezwykle trafny. Po pierwsze, Gruša był Czechem, który doskonale posługiwał się językiem niemieckim. Po drugie, łączył temperament powieściopisarza z erudycją eseisty (doskonałe połączenie dla wydawnictwa, które stawiało na przewodniki nieoczywiste, ciążące w stronę ambitnej literatury). Po trzecie, miał doświadczenie w przekazywaniu wiedzy. I po czwarte – i najpewniej dla samego autora najważniejsze – propozycja ta pozwoliła mu nawiązać po niemal czterdziestu latach do kultowego *Kwestionariusza…*, który także był wszak „instrukcją obsługi" ojczyzny Grušy, ale dotyczył jedynie lat siedemdziesiątych XX wieku. No i był literacką fikcją, choć opartą na ówczesnej rzeczywistości.

W przewodniku pisanym dla Pipera Gruša miał okazję spojrzeć na temat w sposób historyczny, na dodatek z zastosowaniem znacznie szerszej perspektywy czasowej. W rezultacie powstało obszerne eseistyczne kompendium, ukazujące całość czeskich dziejów – od powstania państwa czeskiego aż po Praską Wiosnę. *Czechy. Instrukcja obsługi* to prawdziwa literacka encyklopedia, w której mieszczą się najważniejsze na przestrzeni wieków wydarzenia w czeskiej polityce, kulturze i życiu społecznym. To, jeśli zerkniemy na indeks nazwisk, Czechy od A (Agnieszka z Pragi, zwana też Czeską, królewna, święta) do jakże czeskiego Ž (Žižka Jan, bohater narodowy). Oprócz tych dwojga znalazło się tutaj także miejsce dla między innymi Jana Husa, Jana Nepomucena, królów Przemysła Ottokara i Wacława IV, Aloisa Jiráska, Josefa Lindy, Karela Čapka, Jaroslava Haška, Karela Havlička, Franza Kafki i Mileny Jesenskiej, Antonína Dvořáka, Leoša Janáčka oraz Bedřicha Smetany. Poza osobami historycznymi Gruša zajmuje się także bohaterami fikcyjnymi, które zaludniają czeskie książki, legendy, mity i baśnie. Niestety są oni w indeksie nieobecni, a przecież Szwejk czy Rumcajs to esencja czeskości…

Ze względu na specyfikę publikacji (pisana po niemiecku, z myślą o niemieckojęzycznym odbiorcy) Gruša obiera strategię autorską, w myśl której opisuje rzeczy

eprasa.pl 53cf282579

interesujące z punktu widzenia zachodniego, przede wszystkim niemieckiego (i austriackiego) czytelnika. Polscy czytelnicy mogą się nieco zżymać na marginalizowanie naszego z Czechami sąsiedztwa, ale tutaj akurat musimy uznać wyższą konieczność historyczną. Wszak Czesi postrzegani są na świecie czasem jako Niemcy mówiący śmiesznym językiem. Ta konstatacja była dla Grušy punktem wyjścia – skupił się on na tych wydarzeniach, które mogą być atrakcyjne dla niemieckojęzycznego czytelnika, zwracając uwagę (o co akurat w czeskiej historii nietrudno) na wątki niemieckie i austriackie oraz pochylając się nad lingwistycznymi smaczkami, ukazującymi meandry czeszczyzny oraz jej związki z językowym pniem germańskim. Czasami Gruša idzie zbyt daleko, widząc choćby w źródłosłowie Karkonoszy celtyckie *kork* i germańskie *nes* (czyli określenia góry), ale sam przyznaje, że niekiedy porywa go fikcja („Wydaje mi się, że to jedno z najbardziej prawdopodobnych wytłumaczeń i będę się przy nim upierał nawet wtedy, gdyby miała to być tylko kolejna bajka tej baśniowej krainy"). Na żarty i lekki ton pozwala sobie Gruša nader często, „podmieniając" choćby Szwejka (dolnobawarski Schwaig, który przypadkiem osiadł na czeskiej ziemi) i Fausta („To wy nie wiecie, że ów zapalony doktor, który chciał wszystko wiedzieć, początkowo nazywał się Šťastný? Że to to po łacinie znaczy Faustus?").

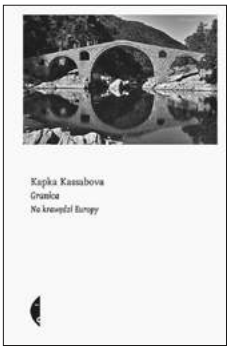
Niemieckocentryzm książki Grušy objawia się też w jej układzie „geograficznym". Opisując swoją ojczyznę, autor posuwa się bowiem od niemieckiej granicy ku granicy wschodniej, przystając na chwilę w Karkonoszach i na Szumawie oraz na dłuższy czas zatrzymując się w Pradze (to jedyny fragment książki, w którym Gruša pozwala sobie na osobisty ton). W podróży z zachodnich Czech na ich wschodnią część autor trafia na Morawy, dokonując symbolicznego przekroczenia wewnętrznej granicy, która stanowi nie tylko miejsce działu wód Europy, ale również rozdziela kultury i języki oraz, co za tym idzie, charaktery narodowe (co Gruša opisuje, porównując Czechów Bedřicha Smetanę, Edvarda Beneša i Václava Havla do Morawian Leoša Janáčka, Tomáša Garrigue Masaryka i Milana Kundery). Ta różnica charakterologiczna uwidacznia się także w umiłowaniu konkretnych trunków. Czeski Morawianin, jak pisze Gruša, „żyje bardziej dramatycznie, ale mówi radośnie, a kiedy dopadnie go smutek, bywa *weinselig*, czyli »winnobłogi«". Czeski Czech natomiast, „przyzwyczajony do naszej buffo o *Sprzedanej narzeczonej*, prawi *klid* (spokój), a jak przychodzi co do czego, jest zawsze *bierernst*, czyli »piwno-poważny«". Gruša nawiązuje tu do najsłynniejszej chyba czeskiej opery, czyli *Sprzedanej narzeczonej* Bedřicha Smetany, uznawanej za najwyższy stopień emanacji czeskiego ducha. Nie powinno zatem nikogo dziwić, że właśnie to dzieło zawiera „najpiękniejszy hymn o piwie", czyli pieśń śpiewaną przez knajpiany chór: „*Pivečko to věru je nebeský dar, vše psoty a trampoty vede nazmar*".

eprasa.pl 53cf282579

Rzecz jasna, to nie Smetana był autorem libretta, a Karel Sabina (nie tylko czeski Czech, ale też prażanin pełną gębą!), ale jakie to ma znaczenie wobec mało znanego faktu przypomnianego przez Grušę – otóż Smetana, twórca uważany za prekursora czeskiej szkoły narodowej, był synem piwowara z browaru w Litomyšli! Nie powinno nas to dziwić – wszak czeska kultura wywodzi się w prostej linii z gospody, można nawet powiedzieć, że tam się narodziła. Gospoda jest bowiem centrum czeskiego świata, ale też… czeskim niebem. „Samo słowo *hospoda* (gospoda, knajpa) po czesku ma w sobie coś sakralnego. W naszym języku oznacza co prawda zwykłą knajpę, ale trochę przywołuje *Hospodina* (Gospodina), czyli Pana życia i śmierci wszelkiego stworzenia, Władcę Wszechświata. Ta językowa bliskość w jakimś sensie sugeruje, że Czech oczekuje od swej gospody czegoś boskiego" – twierdzi Gruša. I jest to doskonałe podsumowanie tej „instrukcji obsługi" – od czeskiego stereotypu nie ma bowiem ucieczki (jednemu z rozdziałów swojej książki Gruša nadaje nawet tytuł *Pochwała stereotypu*). Na szczęście jest on pozytywny.

Maciej Robert

Ostygły kocioł bałkański



Kapka Kassabova, *Granica. Na krawędzi Europy*, tłum. Maciej Kositorny, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2019

Zgodnie z tytułem książki, Kapka Kassabova zabiera nas na krawędź południowo-wschodniej Europy: do Tracji, znajdującej się na pograniczu bułgarsko-turecko-greckim. Głównym bohaterem opowieści można byłoby uczynić historię regionu, prześledzić dzieje żyjących tu ludzi od czasów starożytnych Traków przez podboje rzymskie, napływ Słowian, ekspansję turecką, wreszcie rozpad Imperium Osmańskiego i podział między Bułgarię, Grecję i Turcję. Autorka wybiera inną drogę – oddaje głos i wchodzi w dialog z mieszkańcami wyludniających się wsi, uchodźcami z Bliskiego Wschodu koczującymi przy granicy, Niemcami wspominającymi próby ucieczki z bloku wschodniego, pogranicznikami, którzy musieli do nich strzelać, ludźmi, którzy „rzucili wszystko i wyjechali w Bieszczady" (w tym przypadku są to Rodopy) czy przemytnikami, dla których granica to biznes.

Kapka Kassabova jest pisarką oraz poetką bułgarskiego pochodzenia, publikującą w języku angielskim. Jako nastolatka wyjechała wraz z rodziną z Bułgarii tuż po upadku komunizmu, żyła potem w Nowej Zelandii, następnie przeniosła się do

eprasa.pl 53cf282579

Szkocji. Ta droga życiowa wpłynęła na jej zewnętrzne spojrzenie na Bałkany, czego wyraz dała w wydanych w 2008 roku wspomnieniach dotyczących dorastania w komunistycznej Bułgarii *Street Without a Name*. Kassabovej za swoją twórczość otrzymała wiele nagród. Sama recenzowana książka otrzymała wiele prestiżowych wyróżnień, między innymi Nagrodę im. Nayefa Al-Rohana, Nagrodę im. Edwarda Stanforda i Williama Dolmana czy Nagrodę Londyńskiego Highland Society i „The Highland Times". Polski czytelnik mógł poznać autorkę z reportażu dotyczącego tanga – *Dwanaście minut miłości* (Warszawa 2016). Najnowsza książka Kassabovej zabiera nas w zupełnie inne realia, odległe Europie, jakkolwiek wciąż znajdujące się w jej granicach.

Tracja nie jest popularnym tematem książek czy modną destynacją turystyczną. Strandża, Rodopy, Adrianopol mało komu cokolwiek mówią. Kassabova stara się przedstawić charakter tego nieznanego regionu, przywołując mozaikę doświadczeń ludności miejscowej, historii z przeszłości dalekiej i bliskiej, lokalnych zwyczajów, codzienności. Tracja to egzotyczny folklor: nestinarstwa (rytuału chodzenia po ogniu), legend o żmijach i złych oczach. Tracja to historie o poszukiwaniu starożytnych skarbów, które staje się obsesją bułgarskich dygnitarzy komunistycznych, rodem z przygód Indiany Jonesa. Tracja to fale migrantów i uchodźców, którzy od starożytności po czasy współczesne przepływały przez ten region. Tracja to też nieodkryte przez turystów wieloetniczne miasta, takie jak Adrianopol, Sliwengrad czy Harmanli, które przez burzliwe dzieje, ale i ostatni napływ migrantów z Bliskiego Wschodu, nabierają kosmologicznego kolorytu. Tracja wreszcie przedstawiona jest jako region znajdujący się na dalekim marginesie głównych wydarzeń rozgrywających się w Europie i Azji, którego mieszkańcy ciągle są doświadczeni przez odpryski pożarów historii i współczesności.

Ważnym polem refleksji Kassabovej są uchodźcy – „ofiary granicy": muzułmanie wygnani w okresie wojen bałkańskich z Bałkanów, Grecy przesiedleni z Azji Mniejszej po wymianie ludnościowej z 1923 roku, Niemcy z NRD (tak zwani sandalarze) starający się przekroczyć Strandżę jako najmniej szczelny odcinek żelaznej kurtyny, Turcy wyjeżdżający z komunistyczno-nacjonalistycznej Bułgarii w 1989 roku, wreszcie kurdyjscy uchodźcy uciekający przed koszmarem ISIS do Europy. Migracje nie tylko ukształtowały Trację w przeszłości, region ten ciągle ich doświadcza i wciąż pod ich wpływem się zmienia. Autorce udaje się oddać tragedię losu uchodźcy, uciekiniera, wygnanego, a tym samym postawy ludzkie w obliczu niszczenia lokalnych wspólnot, odebrania domu, wyrywania korzeni. Równocześnie pokazuje, jak wielką szansą są migracje dla ludzi, którzy wszystko stracili i chcą ułożyć sobie życie na nowo.

Jeżeli mielibyśmy doszukać się jakiegoś elementu wspólnego dla pograniczności, terminu popularnego, ale rozmytego i nie-

eprasa.pl 53cf282579

jasnego, byłoby to właśnie doświadczenie migracji. Uchodźcy i migranci tworzą ten region, nikt tu nie jest u siebie, nawet ci, którzy pozornie są uznawani za ludność autochtoniczną: Bułgarzy wygnani przez Greków i Turków na drugą stronę masywów górskich, Grecy, którzy utracili swoje domy w Anatolii, wreszcie potomkowie muzułmanów – muhadżirów z niemalże każdej części Bałkanów, którzy stali się główną ofiarą rozpadu Imperium Osmańskiego. Jest to sedno zrozumienia tego regionu, w którym należy zrezygnować z prostych konstrukcji tożsamościowych i etnicznych. Bułgar i Grek wcale nie musi wyznawać prawosławia, a Turek islamu. Mieszkają tu Pomacy – bułgarskojęzyczni wyznawcy islamu, których w Bułgarii ma się za Bułgarów, w Turcji za Turków. Istnieje społeczność posługująca się karamandlikiem – językiem tureckim zapisywanym za pomocą alfabetu greckiego. Wszyscy są świadomi, że nikt nie ma tu czystej krwi, na punkcie której w innych częściach Bałkanów ludzie mają obsesję. Gdy każdy jest obcy, obcość staje się równoznaczna ze swojskością.

Czy mamy do czynienia z „najdzikszym regionem Europy", jak czytamy w opisie książki? Nie jest to wschodnia odmiana Dzikiego Zachodu, a raczej wyludnione, dziewicze stoki górskie pokryte gęstymi lasami. To nie są ogarnięte burzą i nienawiścią Bałkany, gdzie sąsiad sąsiadowi stara się urżnąć głowę przy akompaniamencie turbofolku wygrywanego na akordeonie. To te bardziej senne Bałkany, gdzie Bułgar, Grek i Turek siedzą obok siebie w kawiarni, w ospałej atmosferze powoli sącząc kawę po turecku. Tworzą społeczność wyznającą komszuluk – ideę dobrosąsiedztwa. Wojny i krzywdy dawno minęły – wprawdzie wspomina się wojny bałkańskie, wojnę turecko-grecką lat 1919–1923, represje ze strony różnych okupantów czy wreszcie wygnanie Turków z Bułgarii w 1989 roku, jednak w Tracji nie spotkamy oprawców, a raczej ofiary tych wydarzeń. Oprawcy żyją w centrach świata, a czym na pewno nie jest ten region.

Książka ma kilka wad. Kassabova wprawdzie wędruje po pograniczu bułgarsko-grecko-tureckim, jednak tematy bułgarskie zdają się dominować w tej opowieści. Jest to w pewien sposób zrozumiałe z powodu pochodzenia autorki. Opowieść o regionie nieraz przeradza się w historię Bułgarii, Turcji czy Grecji, czasem też bardziej odległych tematów: rzeczywistości bloku wschodniego przez zwrócenie szczególnej uwagi na ucieczki Niemców z NRD przez Strandżę czy kryzysu migracyjnego, z jakim boryka się współczesny świat. W efekcie czytelnik ma wrażenie, że pewne dygresje rozrastają się do zbyt dużych rozmiarów. Czasem książka budzi wrażenie nieuporządkowanej – powraca się w kilku miejscach do tych samych wątków, niektóre zjawiska są omawiane w sposób niedostateczny, inne w sposób nadmierny, trudno czasem doszukiwać się płynnego przechodzenia z tematu na temat.

Granica. Na krawędzi Europy jest pozycją świeżą. Zamiast pisać kolejną książ-

eprasa.pl 53cf282579

kę o wojnie w byłej Jugosławii czy reportaż o Turcji bądź Bułgarii, autorka przybliża nam region stanowiący dla świata *terra incognita*. Jak sama Kassabova podkreśla: po co jechać do zatłoczonego i nieco sztampowego Stambułu, kiedy można odwiedzić znajdujący się poza szlakami turystycznymi Adrianopol\Edirne\Odrin, który ma równie wiele do zaoferowania?

Krzysztof Popek

Birobidżan: odległa ziemia obiecana



Agata Maksimowska, *Birobidżan. Ziemia, na której mieliśmy być szczęśliwi*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2018

Historia Żydowskiego Obwodu Autonomicznego (ŻOA) w składzie Związku Radzieckiego i Federacji Rosyjskiej stanowi marginalny element dziejów żydowskich w XX wieku, naznaczonych wydarzeniami dużo większej wagi: Zagładą i powstaniem Państwa Izrael. Nie oznacza to bynajmniej, że jest to temat mało interesujący. Dowodem tego jest doskonała książka Agaty Maksimowskiej.

Cezurę czasową pracy stanowią początki Związku Radzieckiego. Już w 1918 roku władze powołały instytucje, których zadaniem było organizowanie życia żydowskich obywateli kraju: Komisariat Żydowski, Jewkom, stanowiący sekcję Ludowego Komisariatu ds. Narodowości, oraz żydowską sekcję Rosyjskiej Komunistycznej Partii (bolszewików), czyli jewsekcję, będącą integralną częścią partii. W 1921 roku ogłoszono tezy nowej polityki narodowościowej, korienizacji, które formalnie zakładały przyznanie mniejszościom narodowym szerokich praw językowych, kulturalnych i oświatowych, a także unarodowienia aparatu państwowego i partyjnego. Służyło to podporządkowaniu kultury mniejszości narodowych ideologii komunistycznej, zwiększeniu monopolu partii w życiu publicznym oraz centralizacji i konsolidacji władzy radzieckiej.

Wynikiem tak przyjętych założeń było tworzenie żydowskich autonomicznych jednostek administracyjnych na terenie poszczególnych republik radzieckich w postaci miejskich i wiejskich rad narodowych. Z definicji wrogie tradycyjnej żydowskiej tożsamości, nigdy nie uzyskały one uznania ludności, a w drugiej połowie lat trzydziestych XX wieku większość z nich zlikwidowano. Podobny los spotkał tworzone od 1927 roku na terenie ówczesnej Ukrainy i Krymu żydowskie rejony narodowościowe.

Niepewność dotycząca politycznego statusu ludności żydowskiej szła w parze z problemami natury gospodarczej. Przed rewolucją ludność żydowska skupiała się w miasteczkach zachodniej części Rosji i głównie wykonywała prace związane z handlem lub rzemiosłem. Wraz z nastaniem władzy radzieckiej większość z nich uległa radykalnej pauperyzacji i utraci-

eprasa.pl 53cf282579

ła tradycyjne źródła dochodów, zasilając rzesze osób uznawanych za „nieproduktywne". W tych okolicznościach rozwiązania upatrywano w osiedleniu na roli i zatrudnieniu ludności żydowskiej w kolektywnym rolnictwie. Realizacją tej polityki zajął się utworzony w 1924 roku Państwowy Komitet ds. Osiedlenia Pracujących Żydów na Roli (KOMZET), wspierany przez Towarzystwo ds. Aktywizacji Rolniczej Pracujących Żydów (OZET) o identycznym celu. Zgodnie z przyjętymi założeniami, celem akcji osiedleńczej było między innymi przebudowanie tradycyjnej struktury społeczności żydowskiej i zarazem stworzenie nowego radzieckiego obywatela. Wśród wielu projektów stworzenia administracyjnej jednostki żydowskiej szczególną uwagę zwrócono na słabo zaludniony obszar znajdujący się na Dalekim Wschodzie, u zbiegu rzek Biry i Bidżanu, ograniczony rzeką Amur od południa i trasą kolei transsyberyjskiej od północy.

Region przydzielony pod osadnictwo żydowskie charakteryzowały niekorzystne warunki naturalne, co jednak nie przeszkodziło władzom w rozpoczęciu intensywnej akcji propagandowej. Za podjętą decyzją przemawiał szereg względów o charakterze politycznym: zwiększenie potencjału obronnego Związku Radzieckiego, wykorzystanie bogactw naturalnych regionu, a także zadanie ciosu ideologii syjonistycznej. Ponadto, liczono na łatwe rozwiązanie problemów ekonomicznych i społecznych ludności żydowskiej.

Pierwsi osadnicy musieli mierzyć się z brakiem materiałów budowlanych, żywności, opieki lekarskiej, dróg i środków transportu. Spośród 20 tysięcy przybyłych w latach 1928–1933 osób aż 11,5 tysięca zdecydowało się na powrót w poprzednie miejsce zamieszkania. Agata Maksimowska w doskonały sposób obrazuje początki istnienia Birobidżanu. Z przeprowadzonych przez nią kwerend i wywiadów wyłania się obraz nie pionierskiego heroizmu, ale założycielskiej traumy związanej z walką z przeciwnościami losu i niesprzyjającym porządkiem gospodarczym i ideologicznym.

Historia Birobidżanu, jak wskazuje autorka, była uzależniona od aktualnej sytuacji politycznej oraz każdorazowych zmian linii partii. Birobidżan nie uniknął Wielkiego Terroru, który spowodował tam paraliż życia społecznego i kulturalnego. Lokalni działacze pod abstrakcyjnymi zarzutami byli skazywani na karę śmierci lub trafiali do obozów pracy. Na fali terroru zlikwidowano większość instytucji żydowskich, a w 1941 roku wstrzymano imigrację do Birobidżanu.

Wkrótce po wojnie wzrosło zainteresowanie osadnictwem w ŻOA. Trudności w ponownej adaptacji zdemobilizowanych żołnierzy oraz wrogość lokalnych społeczności w stosunku do powracających w swoje strony Żydów, którzy zdołali przeżyć Holokaust, spowodowały falę niezorganizowanej migracji od 1945 roku. Już rok później władze radzieckie zdecydowały o oficjalnym wznowieniu osadnictwa w nadziei na rozładowanie

eprasa.pl 53cf282579

napięć społecznych na Ukrainie, gdzie lokalna ludność przejęła znaczną część mienia żydowskiego. Liczono także na odwrócenie uwagi od narastającego ruchu syjonistycznego i osadnictwa żydowskiego w Palestynie. Zezwolono na ograniczone wznowienie życia kulturalnego społeczności żydowskiej.

Kolejna fala represji nadeszła w końcu lat czterdziestych XX wieku. Doszło do masowych aresztowań, ataków na twórców i instytucje oraz zamykania szkół nauczających w jidysz. W latach 1951–1952 ośmiu liderów Birobidżanu oskarżono o działalność kontrrewolucyjną, ujawnienie tajemnic wojskowych, szpiegostwo i próbę ustanowienia państwa żydowskiego na Dalekim Wschodzie. Na fali antysemickich czystek przygotowywano także proces lekarzy, który wstrzymany został po śmierci Józefa Stalina w 1953 roku. W wyniku tej kampanii życie żydowskie w Obwodzie stało się fikcją. Autorka przytacza szokujące dane dotyczące niszczenia księgozbioru w jidysz w trakcie nasilenia represji w latach 1949–1950. Fakt spalenia 29 tysięcy pozycji książkowych uświadamia czytelnikowi, jak podobne były w swoich działaniach systemy totalitarne XX stulecia.

Opis tego etapu historii Birobidżanu skłania Agatę Maksimowską do przedstawienia ogólnej charakterystyki radzieckiego antysemityzmu, który był stale obecny pomimo deklarowanego braterstwa ludzi pracy. Osoby pochodzenia żydowskiego dyskryminowano nie tylko na uczelniach lub przy podejmowaniu pracy, ale także w życiu codziennym. Wszystko to skłaniało do ukrywania swojej tożsamości.

Życie żydowskie, które powróciło do Birobidżanu w latach odwilży, było cieniem tego, co istniało przed okresem prześladowań. Liczba ludności żydowskiej sukcesywnie spadała, podobnie zresztą jak znajomość języka jidysz. W latach osiemdziesiątych XX wieku coraz częściej emigrowano do Izraela, a proces ten nasilił się po 1991 roku. Trudności ekonomiczne, brak więzi pokoleniowej ze starszymi mieszkańcami regionu oraz masowe wyjazdy młodych dopełniły obrazu porażki birobidżańskiego projektu. W rezultacie w spisie powszechnym z 2010 roku do narodowości żydowskiej przyznało się w Obwodzie 1628 osób, czyli 1 procent ludności. Rozmówcy Agaty Maksimowskiej podkreślają jednak, że faktyczna ich liczba jest wyższa, a część mieszkańców po prostu nie uznaje siebie za Żydów. Paradoksalnie, historia żydowskiej migracji do Birobidżanu okazała się także historią ucieczki i wyparcia.

Dzisiejszy Birobidżan to miasto o poradzieckiej architekturze, którego jedynym wyróżnikiem jest jego żydowski koloryt. Przyjezdnych witają napisy i nazwy ulic w jidysz, pomniki nawiązujące do tradycji żydowskiej i „żydowskie" pamiątki, trudno jednak oprzeć się wrażeniu sztuczności i fasadowości tych działań. Autorka z dużą dozą empatii i unikając jednoznacznych ocen, opisuje dyskusje na ten temat toczone przez mieszkańców Obwodu.

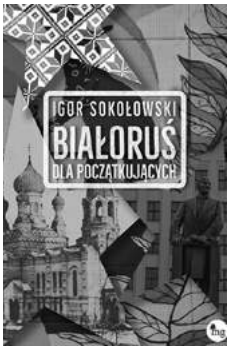
eprasa.pl 53cf282579

Ogromna wartość książki Agaty Maksimowskiej wynika z umiejętności oddania głosu zwykłym ludziom i wykorzystania ich jednostkowych doświadczeń do zilustrowania szerszych procesów społecznych i politycznych. Autorka, przytaczając praktycznie nieznane w Polsce świadectwa i wykorzystując wywiady przeprowadzone z mieszkańcami Birobidżanu, ani na moment nie zapomina, że za dekretami i uchwałami władz stoją trudne ludzkie losy. Wartość dodaną stanowią także cytaty utworów poetyckich tłumaczonych z jidysz, które służą wzbogaceniu i uatrakcyjnieniu narracji, oraz krótkie wyjaśnienia terminów odnoszących się do elementów tradycji żydowskiej, stanowiące ukłon w kierunku czytelnika, który może nie być z nią obeznany.

Agata Maksimowska nie uzupełnia swoją książką luki w polskiej literaturze dotyczącej ŻOA. Uświadamia ją czytelnikowi i wypełnia. *Birobidżan. Ziemia, na której mieliśmy być szczęśliwi* to praca przełomowa, w sposób kompleksowy traktująca bezprecedensową historię tego mało znanego epizodu historii żydowskiej.

Tomasz Filipiak

W sam raz na pierwszy raz



Igor Sokołowski, *Białoruś dla początkujących*, Kraków 2014 (wznowienie 2019)

Książka Igora Sokołowskiego *Białoruś dla początkujących* wydana pierwotnie w 2014 roku i wznowiona na początku bieżącego roku jest lekturą dla osób, które po raz pierwszy mają styczność z tym wschodnim sąsiadem Polski. Autor, który jest z wykształcenia filologiem wschodniosłowiańskim i absolwentem Studium Europy Wschodniej Uniwersytetu Warszawskiego, ma dość sporą wiedzę na temat Białorusi. Bywał tam wielokrotnie, a nawet przez pewien czas studiował oraz nawiązał bliższe i dalsze znajomości z Białorusinami. W związku z tym dość umiejętnie prowadzi czytelnika przez różne aspekty białoruskiej rzeczywistości. Ukazuje sytuację polityczną, społeczno-gospodarczą, stan infrastruktury, mentalność społeczeństwa, przyrodę, tereny skażone po wybuchu elektrowni w Czarnobylu czy w końcu atrakcje turystyczne, często pozostające w ruinie. Stara się zaznajomić czytelników z historią miejsc, do których dociera. Wskazuje na polskie wątki w swojej opowieści.

Polskiego czytelnika, niezbyt orientującego się w realiach Białorusi, mogą zdziwić problemy z zameldowaniem turysty w hotelu, mnogość kwestii procedural-

eprasa.pl 53cf282579

nych związanych z przekraczaniem granicy, liczne w całym kraju pomniki Włodzimierza Lenina, trącące myszką muzea Wielkiej Wojny Ojczyźnianej oraz symbole Związku Sowieckiego. Zaskoczyć może również ogromne poparcie Białorusinów mieszkających na prowincji dla prezydenta Aleksandra Łukaszenki. Zwraca uwagę także dominująca w centrach miast architektura socrealistyczna, a na ich obrzeżach blokowiska, rzucająca się w oczy czystość ulic w największych białoruskich miastach, czy w końcu niezły stan głównych białoruskich dróg, dworców i kolei. Autor próbuje wyjaśnić czytelnikom przyczyny powyższych zjawisk. Ponadto opisuje sposób ubierania się Białorusinów, dominujące fryzury (tapiry i pstrokate kolory u dojrzałych pań oraz niemodne uczesanie *à la* wczesny Beckham u młodych panów), estymę, jaką otaczana jest tradycyjna bania i wszechobecną propagandę prołukaszenkowską (radiowęzły w mieszkaniach oraz dominacja państwowych kanałów telewizyjnych). Autor obserwuje również mecz Białoruś–Albania w ramach eliminacji do mistrzostw Euro 2012 rozgrywany w Mińsku pod nadzorem ogromnej liczby milicjantów i przy ograniczonym zainteresowaniu kibiców. Sokołowski zagląda również do największych białoruskich miast: Brześcia, Grodna, Homla, Mińska czy Mohylewa.

Uwagę przykuwa pięć fragmentów książki. Pierwszy z nich dotyczy miejscowości Prużany, leżącej na skraju Puszczy Białowieskiej. Pochodzi z niej były wicepremier i przewodniczący Narodowego Banku Białorusi Piotr Prokopowicz, bliski współpracownik Łukaszenki. W związku z tym miasto jest dofinansowane przez władze centralne w sposób niezwykle szczodry. Znajdują się w nim nowoczesne budynki administracyjne, nowy i oświetlony ministadion z profesjonalnymi trybunami, pałace – lodowy i wodny, czyli lodowisko i basen, drogi są pozbawione dziur. Podobnie jest w miasteczku Kopyś, z którego pochodzi sam Łukaszenka. Wybudowano tam nową przychodnię, supernowoczesny urząd, kompleks sportowy i trzygwiazdkowy hotel. Autor wskazuje na absurdy towarzyszące tym „inwestycjom". Budynki te może i nieźle się prezentują, jednak wykorzystane są zaledwie w kilku procentach, a kosztowały krocie. Nieważna jest logika, ważne jest to, że z miejscowości tych pochodzą włodarze Białorusi i musi to być widoczne.

Drugi najbardziej interesujący fragment dotyczy podróży autora na motorze z autochtonem po bagnisto-błotnistym Polesiu, które zajmuje sporą część Białorusi. Tereny te mają dziewiczy charakter, są słabo zaludnione i (pomimo niewątpliwych walorów krajobrazowo-turystycznych) nie są przygotowane na odwiedziny przyjezdnych z innych krajów. Miejscowy przewodnik, pytany przez autora o pomysł rozwoju infrastruktury agroturystycznej, nie krył niechęci wobec takiego pomysłu, tłumacząc, że cały urok tych terenów polega właśnie na oddaleniu od wszelkiej cywilizacji: „Wprowadzić tu ludzi będzie łatwo i da się to zrobić zawsze.

eprasa.pl 53cf282579

Ale jak już tu zaczną przyjeżdżać, odwrotu nie będzie. Póki nie ma takiej potrzeby, pojedynczy przyjezdni nam wystarczą". Sokołowski zapuszcza się również na terytorium, gdzie w przeszłości był położony sporej wielkości poligon wojskowy. Gdzieniegdzie znajduje porzucone i pordzewiałe samochody, jednak większość sprzętu wojskowego miejscowa ludność już dawno oddała na złom w celach zarobkowych.

Interesująca jest również część książki, w której autor opisuje tereny Białorusi skażone przez wybuch elektrowni atomowej w Czarnobylu. Dopiero kilka lat po katastrofie z rejonu wietkowskiego została wysiedlona ludność ponad pięćdziesięciu wiosek oraz zlikwidowano osiem kołchozów i sowchozów. Po kilkunastu latach część ludzi, szczególnie tych starszych, wróciła w rodzinne strony, nie potrafiąc się dostosować do życia w nowych miejscach. Teren ten charakteryzuje się opuszczonymi wsiami, zrujnowanymi budynkami oraz hektarami ziemi i lasów zamkniętych (przynajmniej teoretycznie) dla ludzi. Miejscowa społeczność wydaje się bagatelizować wciąż występujące zagrożenie. Autorowi udaje się dostać do strefy zamkniętej. Niby jest ona strzeżona, jednak wjeżdżają do niej swobodnie samochody, ponieważ przebiega przez nią droga pomiędzy dwoma miastami – Wietką i Czeczerskiem.

W końcu ciekawym fragmentem zbioru reportaży jest relacja z wizyty autora w wiosce Khatyń. W czasie II wojny światowej w tej maleńkiej białoruskiej wiosce doszło do akcji odwetowej wojsk niemieckich na miejscowej ludności. Cała społeczność, łącznie z dziećmi i kobietami, została spalona w stodole. W 1969 roku w miejscu tym postawiono sporych rozmiarów pomnik, przedstawiający mężczyznę niosącego zwłoki chłopca. Nawiązuje on do historii ocalałego cudem z pogromu Białorusina, który znalazł wśród zwłok ofiar rzezi jeszcze żyjącego syna. Zmarł on w męczarniach na jego rękach z powodu rany postrzałowej. Na ziemiach białoruskich dokonano sześciuset osiemnastu analogicznych pogromów, jednak nieprzypadkowo w celu upamiętnienia zbrodni wybrano wioskę o nazwie niemalże identycznej jak nazwa miejsca, gdzie Rosjanie dokonali mordu na polskich żołnierzach. Celem propagandy sowieckiej było, aby mylono te dwa miejsca oraz zbrodnię nazistowską z sowiecką, co prowadziłoby do utrwalenia wizji mordu katyńskiego jako ludobójstwa popełnionego przez Niemców. Miejsce to odwiedzali Fidel Castro, Richard Nixon czy Władimir Putin.

Najciekawsze jest ostatnie kilkadziesiąt stron książki traktujące o wyborach prezydenckich w 2010 roku oraz represjach Łukaszenki wobec opozycyjnych kandydatów i demonstrantów zgromadzonych w wieczór głosowania w centrum Mińska. Autor przygląda się tym wydarzeniom osobiście w towarzystwie białoruskich kolegów opozycjonistów. Cudem udaje mu się uciec z milicyjnej zasadzki. Ukazuje brutalność reżimu Łukaszenki oraz rozbicie i bezradność opozycji.

eprasa.pl 53cf282579

Pewne zastrzeżenia można mieć do języka autora. Momentami jest on nazbyt potoczny i młodzieżowy. Niektóre refleksje można uznać za trochę banalne. Ponadto piszący zamieścił w książce niewiele zdjęć ukazujących miejsca, które odwiedza, i osoby, które poznaje. Do tego fotografie te są czarno-białe. Szkoda również, że wznowienie książki z 2019 roku nie zostało poszerzone o kolejne podróże autora oraz o omówienie sytuacji politycznej w tym kraju w ostatnich latach.

Sokołowski nie oszczędza Białorusi. Ukazuje jej zacofanie, biedę, w szczególności na prowincji, autorytarny system władzy, odseparowanie od świata zewnętrznego i absurdy biurokratyczne. Pomimo to w książce można dopatrzyć się podskórnej fascynacji i serdeczności autora wobec tego kraju.

Wojciech Wojtasiewicz

Żelazna miotła



Peter Whitewood, *Czystka Stalina w Armii Czerwonej*, Editiohistoria, Gliwice 2019

W czerwcu 1937 roku w Moskwie grupa najwybitniejszych oficerów Armii Czerwonej została skazana przez tajny sąd wojskowy na śmierć. Na krótko przed wybuchem największej w dziejach ludzkości wojny Stalin pozbył się najzdolniejszych i najwybitniejszych dowódców, na czele z marszałkiem Michaiłem Tuchaczewskim. To wydarzenie odbiło się echem w innych krajach europejskich, ale przede wszystkim miało głębokie konsekwencje dla ZSRR w kolejnych latach. Jak do tego doszło? Na to pytanie starał się odpowiedzieć autor książki *Czystka Stalina w Armii Czerwonej*. Brytyjski historyk Peter Whitewood, w kolejnych rozdziałach śledził ruchy w Armii Czerwonej i w najbliższym otoczeniu Stalina. Wszystko po to, żeby dać czytelnikom wyjaśnienie, dlaczego Stalin dokonał szeroko zakrojonej czystki w szeregach własnej armii szykującej się do wielkiej wojny. Autor jest wykładowcą akademickim York St. John University, specjalizuje się w badaniach nad historią polityczną i dyplomatyczną państwa radzieckiego i okresu stalinowskiego.

Skazani w procesie czerwcowym byli oskarżeni o domniemany spisek, współpracę z nazistami i dążenie do obalenia Stalina. Na tym głośnym wyroku nie poprzestano, zainaugurował on kolejne fale represji wojskowych oskarżanych o zdradę. Czystka w armii rozpoczęła okres wielkiego terroru, który dotknął nie tylko mundurowych, a dużo szerszą grupę obywateli ZSRR, nawet tych, którzy nie wyrażali sprzeciwu wobec stalinowskiej dyktatury. Przywoływane przez autora liczby, znane też z innych publikacji naukowych, zatrważają. Ponad milion osób zostało uwięzionych w obozach pracy, a około 750 tysięcy zamordowano. Większością ofiar byli chłopi, robotnicy i oso-

eprasa.pl 53cf282579

by innej narodowości, w tym także Polacy, Niemcy i Koreańczycy.

Zimnowojenna historiografia ukazywała czystkę wojskową w Armii Czerwonej zazwyczaj w kontekście kolejnego etapu eskalacji represji politycznych, które miały ugruntować autorytet Stalina i zniwelować wszystko, co mogło zagrażać jego osobistej władzy. Armia była postrzegana przez historyków jako kolejna instytucja, którą musiał ujarzmić Stalin, żeby utrzymać się przy władzy. W kolejnych dekadach po II wojnie światowej w pracach historycznych Stalin jawił się jako wytrawny i bezwzględny planista, eliminujący wszystkie przeszkody do osiągnięcia pełni władzy. Dostęp do nieznanych dotąd dokumentów pozwolił Peterowi Whitewoodowi na zadanie nowych pytań, a w rezultacie do wysnucia zaskakujących wniosków dotyczących czystki i wielkiego terroru lat 1937–1938.

Analizę autor rozpoczyna od rewolucji rosyjskiej z 1917 roku. Obawy o bezpieczeństwo Armii Czerwonej narastały przez kolejne dwie dekady, aż do apogeum roku 1937. Whitewood opisuje rolę i organizację armii w kolejnych okresach funkcjonowania państwa radzieckiego. Porusza kwestie spuścizny Lwa Trockiego w armii, politykę przyjmowania do służby, obecność oficerów byłej armii carskiej w Armii Czerwonej, opisuje operację „Wiosna" skierowaną przeciwko specjalistom wojskowym podejrzanym o sprzyjanie „białym" (1930–1931), nieudaną rewoltę Nachajewa, zabójstwo Kirowa, polowanie na szpiegów, a także gęstniejącą atmosferę zbliżającej się wojny. W 1937 roku Nikołaj Jeżow, szef NKWD, był w pełni przekonany, że Armię Czerwoną opanowali zagraniczni szpiedzy. Szpiegomania i coraz częściej pojawiające się pogłoski o związkach między niemiecką a radziecką elitą wojskową ogarnęły także Stalina. Marszałek Kliment Woroszyłow chciał, żeby czystka z armii „wymiotła żelazną miotłą nie tylko te szumowiny, ale wszystko, co może przypominać o tej obrzydliwości".

Omawiana książka na nowo objaśnia przyczyny masowych operacji, które rozpoczęły się krótko po czystce z czerwca 1937 roku. Okazuje się, że władze reżimu były głęboko, ale i błędnie przekonane o spenetrowaniu Armii Czerwonej, na wszystkich jej szczeblach, przez zagranicznych agentów. Stalin i jego współpracownicy naprawdę uwierzyli w odkrycie „piątej kolumny". Sam Tuchaczewski był dla nich śmiertelnie niebezpiecznym prawicowcem współpracującym z hitlerowcami. Kolejnym krokiem było oczyszczenie społeczeństwa w wyniku masowych represji. Zadziałał także efekt tłumu, wywołano ogromną panikę, falę donosów i bezpodstawnych aresztowań. Według Whitewooda czystkę zapoczątkowała gorączkowa reakcja na źle zrozumiane i wyolbrzymione zagrożenie szpiegostwem. W 1937 roku Stalin błędnie zinterpretował zagrożenie ze strony własnej armii. Autor dowodzi, że radzieccy przywódcy sami wywołali wewnątrz armii panikę zagrożenia obcymi siłami, która miała katastrofalny bilans.

eprasa.pl 53cf282579

Publikacja ma charakter popularnonaukowy, została podzielona na sześć rozdziałów i opatrzona bogatą bibliografią. Whitewood obficie wykorzystuje zasoby rosyjskich archiwów, które wcześniej nie były udostępniane, a więc autor miał szansę porównać dotychczasowe ustalenia historyków z materiałem źródłowym. Po upadku ZSRR odtajnione zostały wewnętrzne dokumenty armii, partii komunistycznej oraz policji politycznej – bezcenny materiał, który pozwala historykom na lepsze zrumienienie przebiegu represji.

Atutem książki jest także jej język. Autor, mimo że jest akademikiem, posługuje się zrozumiałą i prostą frazą. Logiczny układ i syntetyczne podsumowania kolejnych części pozwalają na sprawne poruszanie się po książce. Badane zagadnienie ma skomplikowany charakter, a mimo to książka nie tylko prezentuje nową interpretację Wielkiej Czystki, ale jest także ciekawą i wciągającą lekturą.

Sonia Knapczyk

Spotkanie po latach



Obertyn. Opowieści o życiu miasteczka (*Обертин,* ויטערעבאָ. *Оповіді про життя містечка*), red. M. Jakimowicz, P. Zubowski, Ośrodek „Pamięć i Przyszłość", Wrocław 2018.

„Wyobraźmy sobie spotkanie po latach mieszkańców małego miasteczka, jakich wiele było kiedyś w wieloetnicznej i wielowyznaniowej Galicji Wschodniej, których drogi z różnych powodów rozeszły się dawno temu" (s. 9) – proponuje Piotr Zubowski, współredaktor i główny inicjator powstania recenzowanej publikacji. Spotkanie sąsiadów, choć nie jest już fizycznie możliwe, odbywa się zaocznie na kartach książki.

Obertyn, dawniej miasteczko, jest obecnie osiedlem typu miejskiego w obwodzie iwanofrankiwskim na Ukrainie. Liczy około trzech tysięcy mieszkańców. Po zakończeniu I wojny światowej było ich niemal pięć tysięcy, a proporcje między największymi grupami wyznaniowo-narodowościowymi rozkładały się w zbliżony sposób. Prawdopodobnie najliczniejsi byli greckokatoliccy Rusini\Ukraińcy, nieco mniej było katolickich Polaków. Trzecią z największych społeczności stanowili Żydzi – zamieszkujący zwarcie niemal całe centrum miasteczka.

Losy mieszkańców Obertyna w XX wieku nie doczekały się dotąd omówienia w literaturze naukowej, choć dzieje przesiedlonych stamtąd Polaków są przedmiotem uwagi organizacji „kresowych". Dzięki wysiłkom zespołu autorów, redaktorów i tłumaczy bezpowrotnie utracony, choć bynajmniej nie idylliczny, mikrokosmos miasteczka na Pokuciu powraca na kartach publikacji, która powstała jako rezultat projektu badawczego Ośrodka „Pamięć i Przyszłość". Książka łączy w sobie cechy pracy z zakresu historii mówionej,

eprasa.pl 53cf282579

studium przestrzeni miejskiej, a także swoistej księgi pamięci przypominającej *memorial books* dawnych gmin żydowskich autorstwa ich ocalałych z Zagłady członków.

Główną intencją twórców było utrwalenie pamięci mieszkańców miasteczka, ich dzisiejszego postrzegania dawnej koegzystencji różnych grup religijnych i narodowościowych oraz okoliczności jej tragicznego zaburzenia podczas II wojny światowej. Próbowano także udokumentować miejsce pamięci o małej ojczyźnie w dalszym życiu dawnych mieszkańców Obertyna. Pod względem chronologicznym uwaga skoncentrowana została na czasie od zakończenia I wojny światowej do końca lat pięćdziesiątych XX wieku. Przykład Obertyna miał też posłużyć przedstawieniu „w pewnym sensie historii i doświadczenia całej Galicji Wschodniej" (s. 43). Tak ambitne założenia ze względu na niekompletność źródeł i zawodność ludzkiej pamięci były trudne do pełnego zrealizowania. Czytelnik otrzymał jednak cenny, nierzadko wstrząsający, obraz skomplikowanych stosunków między sąsiadami, członkami w istocie jednej, choć podzielonej społeczności, którą po 1939 roku unicestwiły kolejne fale „wielkiej historii". Choć publikacja ma wszelkie cechy opracowania naukowego (recenzenci: Grzegorz Hryciuk, Leonid Zaszkilniak i Anna Wylegała), wydana została w sposób przyjazny tak zwanemu zwykłemu czytelnikowi.

Książkę opracowano w równoległej polsko-ukraińskiej redakcji (za tę drugą odpowiedzialna była Tetiana Batanowa). Jedną z konsekwencji dwujęzyczności jest spora objętość (512 stron) i format (A4) pracy. W tytule przywołano trzy wersje nazwy miejscowości – polską, ukraińską i żydowską (w jidysz). Sygnalizuje to chęć równouprawnienia trzech, często nader umownych (wystarczy wspomnieć o małżeństwach mieszanych i ich potomkach – tak zwanych *połowińczykach* czy grupie ukraińskojęzycznych łacinników) perspektyw narodowych. Z oczywistych względów najtrudniejsze okazało się przedstawienie żydowskiego punktu widzenia.

Podstawą źródłową pracy były zebrane w ramach projektu relacje ustne trzydziestu ośmiu byłych i obecnych mieszkańców Obertyna. Warto odnotować, że w badanej grupie znalazły się też cztery osoby przesiedlone z Polski do Związku Radzieckiego w latach 1944–1946. Problemy z dotarciem do respondentów, zwłaszcza żydowskich, starano się zrekompensować włączeniem do materiału źródłowego relacji już opublikowanych lub zapisanych wcześniej, w tym opisu żydowskiej społeczności Obertyna autorstwa Markusa Willbacha, wydanego w 1946 roku, czy dramatycznych wspomnień Krystyny Carmi wydanych trzy lata temu. Przeprowadzono również imponującą kwerendę archiwalną i biblioteczną.

Książkę otwierają trzy artykuły problemowe. Włodzimierz Mędrzecki w syntetyczny sposób nakreślił dzieje najważniejszych grup etnicznych wschodniej Galicji

eprasa.pl 53cf282579

przed 1939 rokiem. Pewien niedosyt budzi sposób opisania przez tego doświadczonego badacza okresu międzywojennego, w którym proponuje on uproszczoną wizję mieszkańców miasteczka, pragnących żyć spokojnym, lokalnym życiem, zaburzanym przez działalność agitacyjną działaczy politycznych – „agentów nowej rzeczywistości – rzeczywistości totalitaryzmów" (s. 35). Obrazowi temu, zgodnemu z wypowiedziami wielu bohaterów książki, przeczą liczne wzmianki o działalności mieszkańców Obertyna w organizacjach społeczno-politycznych czy gospodarczych o wyraźnym obliczu narodowym lub/i ideologicznym. Marcelina Jakimowicz (współredaktorka tomu) i Jolanta Kluba zaprezentowały cel projektu, wybraną metodę badawczą (Fritza Schützego), a także – co nie mniej istotne – okoliczności, które utrudniały prowadzenie badań zgodnie z pierwotnymi założeniami. Marcin Musiał podjął udaną próbę przedstawienia dziejów samego Obertyna i dynamiki rozwoju jego przestrzeni miejskiej. Wobec niezadowalającego stanu badań, autor oparł się w dużej mierze na źródłach kartograficznych oraz ikonografii.

Sami mieszkańcy Obertyna przemawiają do czytelników w kolejnej części pracy. Podzielono ją na trzy rozdziały obejmujące kolejno: czasy II Rzeczypospolitej do 1939 roku, II wojnę światową i okres powojenny do końca lat pięćdziesiątych XX wieku, każdy poprzedzony krótkim wstępem historycznym (Serhii Hladyshuk, Piotr Zubowski, Pavel Ablamski). Wypowiedzi bohaterów ułożono w porządku chronologiczno-problemowym (między innymi *Życie społeczne*, *Jarmarki*, *Getto*, *Polacy i Ukraińcy ratujący Żydów*, *Obertyniacy w „nowej ojczyźnie"*). Poszczególne relacje przeplatają się ze sobą, tworząc spójną, wartką opowieść oraz swoisty dialog między mieszkańcami. Powtarzają się tu niekiedy wspomnienia o tych samych osobach i wydarzeniach, często wzajemnie sprzeczne, co potęguje walor ich autentyczności, podkreślony także zachowaniem oryginalnego języka wypowiedzi. Każda wypowiedź opatrzona została fotografią bohatera, co dodatkowo wzmacnia wrażenie realnego spotkania i dialogu. Relacje opatrzone zostały przypisami, w których starano się zweryfikować podawane przez rozmówców informacje oraz wyjaśnić mniej znane pojęcia. W aneksie zamieszczono biogramy „świadków historii" wraz ze wskazaniem daty i miejsca sporządzenia relacji.

Cennym uzupełnieniem wspomnień i artykułów problemowych są ilustracje, głównie niepublikowane dotąd fotografie ze zbiorów placówek archiwalnych i osób prywatnych. Na wewnętrznych stronach okładki zamieszczono plany centrum Obertyna – przed 1939 rokiem i w czasach obecnych, z zaznaczeniem części powtarzających się w tekście obiektów.

Opowieści… nie służą krzewieniu polskiego mitu kresowego, ale ich lektura może okazać się boleśniejsza dla Ukraińców niż Polaków ze względu na sposób uporządkowania narracji (kontrowersyjny podrozdział o napadach ukraińskich

eprasa.pl 53cf282579

nacjonalistów, choć w samym Obertynie nie były one przeprowadzane; brak wyodrębnienia problemu polskiej polityki narodowościowej w okresie międzywojennym). Wciąż niski poziom ukraińskiej debaty o „problematycznych" kartach II wojny światowej, w tym udziale Ukraińców w Holokauście, sprawia, że niektóre wspomnienia mogą być szokujące dla nieprzygotowanego odbiorcy ukraińskiego.

Praca nie jest też naiwną próbą pogodzenia dawnych sąsiadów i ustalenia jednej, poprawnej politycznie wersji historii. Uważny czytelnik zauważy, że pod pozornie niewinnymi wspomnieniami drobnych sąsiedzkich złośliwości i utarczek często kryje się zapis nieporozumień i obcości, która łatwo mogła przerodzić się we wrogość.

„Od kiedy wyjechałem z Obertyna, nie mam ojczyzny" (s. 347) – wspominał Leon Nachwalger, syn żydowskich sklepikarzy. W książce powtarza się charakterystyczny lejtmotyw graficzny – pinezka, znacznik umieszczany na mapach. Zamiarem twórców książki było zapewne podkreślenie, że dawnych sąsiadów już na zawsze połączył obertyński *genius loci*, miejsce na ziemi i związane z nim wspomnienia, których wybór udostępniono właśnie polskim i ukraińskim czytelnikom.

Marcin Gaczkowski

Luksusowy pociąg z chaosem na pokładzie



Torbjørn Færøvik, *Orient Express. Świat z okien najsłynniejszego pociągu*, tłum. Anna Kurek, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2018

Orient Express uwodzi, nęci, rozbudza wyobraźnię. Nazwą najsłynniejszego pociągu pasażerskiego obdarzane są sklepy, restauracje, spotkania dyskusyjne, cykle wystaw i koncerty. Nawet jeśli podziękować za to trzeba by bardziej Agacie Christie i jej kultowej powieści detektywistycznej niż magii samego pojazdu spółki Compagnie Internationale des Wagons-Lits, to niemało jest takich, którzy chcieliby choć raz w życiu odbyć wielotygodniową podróż z Paryża do Stambułu. Jeżeli komuś nie jest (i prędko nie będzie) to dane, sięga po książkę Torbjørna Færøvika, która już w tytule gwarantuje taką wyprawę i… zastanawia się, dlaczego na pokładzie początkowo panuje chaos, a przez brudne okna podobno luksusowego pociągu widać tylko drewnianych aktorów z podrzędnego teatru, odgrywających role możnych tego świata z minionych epok. Na szczęście, gdy pociąg wyjeżdża z Europy Zachodniej, robi się czyściej i jaśniej. W ostatecznym rozrachunku niewiele to jednak zmienia.

Wieloletni dziennikarz, norweski historyk i pisarz Torbjørn Færøvik wyru-

eprasa.pl 53cf282579

szył w podróż śladami dawnego Orient Expressu. Zmienił jednak trasę: „Dziś Orient Express jest tylko pieśnią przeszłości, ale kolej wciąż żyje. Pomyślałem więc: dlaczego nie wybrać się w podróż tymi samymi torami, nie z Paryża do Stambułu, ale z Londynu do Samarkandy, w przedłużoną trasę Orient Expressem z historią w tle?". Czytelnik ma więc nadzieję na reporterską wyprawę, w której na pierwszym planie będą współcześni ludzie, ich życie, problemy i obraz krajów, w których mieszkają. Początkowo zamiast tego dostaje ogromną dawkę poszatkowanej historii i postaci związanych z państwami oraz miastami, przez które przejeżdża pociąg i w których zatrzymuje się Færøvik. Trasa wiedzie między innymi przez Paryż, Monachium, Wiedeń, Budapeszt, Bukareszt, Sofię, Stambuł, Ankarę, Batumi, Tbilisi, Baku, Turkmenbaszy i Samarkandę. Autor wydaje się nie mieć pomysłu na wykorzystanie tak wielu wodzów, pisarzy i artystów, których biografie zasadzały się w odwiedzanych przez niego miejscach lub chociaż je muskały. Zamiast niczym reżyser, którym pisarz powinien przecież w dużej mierze być, rządzić swoimi aktorami z minionych wieków, autor pozwala, aby to oni oraz wydarzenia z przeszłości rządziły nim. W rezultacie powstaje ciężkostrawna papka dat, nazwisk i zdarzeń, które często bez żadnego ostrzeżenia i uzasadnienia wyskakują jedne po drugich. W tym gąszczu raz na jakiś czas zdarzy się mniej znana historia, która pobudza wyobraźnię: „Trocki mieszkał w Wiedniu na początku XX wieku. Jak pozostali rosyjscy rewolucjoniści, uciekł przed tajną policją cara. Pewnego dnia w 1913 roku siedział tu razem z przyjacielem, gdy nagle otworzyły się drzwi. Do środka wszedł mężczyzna niskiego wzrostu z bliznami na twarzy. (…) Trocki nie słyszał o nim [Józefie Stalinie] nigdy wcześniej, a teraz zobaczył przyszłego kompana i rywala. Pewnego dnia zjawił się tam także Lenin, niski, łysy, i o wrogim spojrzeniu. On także uciekł z ojczyzny. Niedługo po tym do środka wkroczył młody i pewny siebie Chorwat. Z biegiem czasu miał zapisać się na kartach historii jako Josip Broz Tito" – pisze autor o spotkaniu Lenina, Stalina i Trockiego w wiedeńskiej Cafe Central.

Gdy pociąg wjeżdża do krajów posowieckich robi się ciekawiej, a w niektórych fragmentach historia rzeczywiście staje się ważnym tłem pomagającym zrozumieć bohaterów, których spotyka Færøvik. W większości nie przestaje jednak przytłaczać swoją fragmentarycznością, przerywać bohaterom, urywać ich losy i ukrywać się sama. Chaos panujący w książce skutecznie zniechęca czytelnika. Z pewnością przyczyniła się do niego rozbudowana bibliografia, licząca ponad trzysta pozycji, którą możemy podziwiać na końcu. Jak na książkę reklamowaną jako reporterska, to chyba rekord. Nie zachwyca również język i stylistyka (liczne powtórzenia, banalnie odtwarzane dialogi), które przy tak obszernym reportażu powinny być dopracowane w szczegółach, aby zatrzymać czytelnika na dłużej,

eprasa.pl 53cf282579

pozwolić mu dojechać do końca lektury. Trudno wyrokować, czy to bardziej wina tłumaczenia, czy też redakcji tekstu, a może samego autora.

Orient Express. Świat z okien najsłynniejszego pociągu to odpowiednia książka dla osób, które chcą zrobić niezobowiązujący przegląd postaci, wydarzeń i historii z zarysowanego przez autora obszaru Europy oraz Azji, może nawet uzupełnić luki w ogólnej wiedzy z tego zakresu. Jeżeli jednak czytelnik spodziewa się dobrego i przemyślanego reportażu podróżniczego, z którego mógłby wydobyć naczelną myśl lub choćby kilka ważniejszych refleksji – będzie zawiedziony.

Martyna Słowik

Tribute to Václav Burian



Jan Jeništa, Anna Militz, *Budoucím čtenářům starých novin. Výbor polonistických textů Václava Buriana z let 1981–2014*, Vydavatelství Filozofické fakulty Univerzity Palackého v Olomouci, Olomouc 2017

Václav Burian dla stosunków polsko-czeskich zrobił tyle, ile Robert Lewandowski dla odczarowania stereotypu Polaka w Niemczech, Aleksander Dumas dla popularności historii z cyklu płaszcza i szpady czy The Clash dla historii punka. Jan Jeništa i Anna Militz wspólnie przygotowali publikację, która jest czymś na kształt hołdu złożonego popularnemu czeskiemu poloniście, poecie, tłumaczowi, wydawcy i dziennikarzowi, przez lata także obecnemu na łamach „Nowej Europy Wschodniej".

Już patrząc na sam tytuł książki – *Przyszłym czytelnikom starych gazet. Wybór polonistycznych tekstów Václava Buriana z lat 1981–2014* – można się domyśleć, że redaktorom książki przyświecały przynajmniej dwa cele. Pierwszy, uznajmy, że spełniony z nawiązką, to przypomnienie niezwykłej postaci Buriana. Jeništa i Militz przejrzeli przeszło 1200 jego tekstów, które powstały w ciągu ponad trzydziestu lat, rozmawiali z jego przyjaciółmi i współpracownikami, dokonali wyczerpującej kwerendy w czeskich i polskich bibliotekach. Z ich pracy wyłania się nadzwyczaj interesujący obraz niezwykłego człowieka, który z pewnością wywarł wpływ na życie wielu osób zajmujących się czeską kulturą czy historią i relacjami polsko-czeskimi.

I choć Václava Buriana znałem osobiście, miałem zaszczyt uczyć się Czech i Europy Środkowej z jego tekstów i anegdot opowiadanych w Ołomuńcu, Krakowie czy Cieszynie, autorom udało się zebrać informacje powszechnie nieznane. Burian, podobnie jak wielu Czechów, Polskę odwiedził w młodości, z rodzicami odpoczywał nad morzem. Raczej zimnym, co wielu z nich później zniechęcało do odwiedzenia tego dalekiego kraju północy, jakim z perspektywy Czechosłowa-

eprasa.pl 53cf282579

cji jawiła się Polska. Taka jest przecież polska historia choćby reżysera Petra Zelenki. Czy popularny czeski tłumacz zmarzł podczas pierwszego pobytu w Polsce, kiedy wylegiwał się na plaży w Międzyzdrojach? Tego autorom książki nie udało się ustalić, a przynajmniej nie dzielą się tymi informacjami z czytelnikami. Wiemy za to o pierwszej już samodzielnej wizycie Buriana w Polsce, kiedy w 1977 roku, w wieku osiemnastu lat, wybrał się na festiwal Jazz Jamboree do Warszawy. Jeništa i Militz ustalili, że do roku 1982 odwiedził Polskę cztery razy. Przyjeżdżał na jazzowe koncerty i filmowe projekcje, między innymi filmów Milosza Formana, które w Czechosłowacji nie były wyświetlane. To nic zaskakującego, po nastaniu „normalizacji" Polska dla wielu Czechów była oknem na świat.

Poznajemy też historię polskich przyjaźni Buriana, pierwszych zmagań z wydanym w samizdacie w 1981 roku jego czeskim tłumaczeniu *Ocalenia* Czesława Miłosza. Teraz już dokładniej znamy krakowskie historie Buriana, który pod Wawelem przebywał na rocznym stypendium podczas studiów, z przyczyn politycznych mógł je rozpocząć dopiero po trzydziestce. Wiemy, że na Uniwersytecie Jagiellońskim chodził na wykłady księdza Józefa Tischnera, Marty Wyki, Jana Błońskiego, Aleksandra Fiuta. Poznamy historię wstąpienia do redakcji „Tygodnika Powszechnego", gdzie szybko zadebiutował tekstem o Karlu Krylu. I wreszcie są tutaj opowieści o spotkaniach z Miłoszem i innymi przedstawicielami polskiej kultury, opis potężnej działalności translatorskiej, wydawniczej, dziennikarskiej Buriana i jego miłości do Polski i naszej kultury.

Wracając do tytułu książki, można wskazać też drugi cel, który – jak mniemam – przyświecał autorom. By stworzyć wybór tekstów, które poruszą niejako przyszłych czytelników starych gazet. Czy kolejne pokolenie, które – pozwolę sobie na zdrobnienie – Vaszka osobiście nie poznało i nie mogło doświadczyć jego niecodziennego ciepła, chęci pomocy, sympatii i otwartości na innych, może czytać te teksty z uwagą i zainteresowaniem, wykraczającymi poza zwykłą próbę odtworzenia tego, co już było? To właśnie pytanie zajmowało moją uwagę podczas lektury.

Jan Jeništa i Anna Militz podzielili wybór tekstów na trzy części. W pierwszej Burian jako świadek historii przybliża osobisty pogląd na wydarzenia w Polsce lat osiemdziesiątych XX wieku, od powstania „Solidarności", przez stan wojenny, aż po transformację. W drugiej części dzieli się impresjami z pobytu w Polsce w pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych. Z kolei w ostatniej – wybrane teksty Buriana mapują niejako najważniejsze dla niego problemy polskiej literatury.

Burian w swoich tekstach jest niezwykle inteligentnym obserwatorem rzeczywistości, znawcą skomplikowanych relacji polsko-czeskich, które dziwnym trafem wyrzuciliśmy z pamięci, autorem przyjaznym, który w rozmówcach i bohaterach tekstów szuka dobra i usprawiedliwienia

eprasa.pl 53cf282579

dla ich nie zawsze godnych uznania czynów. Nieważne, czy czeski dziennikarz i tłumacz pisze o dziwnym nieco dla Czecha zwyczaju polskich mężczyzn całowania kobiecych dłoni, czy o udziale Polski w rozbiorze Czechosłowacji w 1938 roku, te teksty mogą ciągle przykuwać uwagę przyszłych czytelników starych gazet. Nawet jeśli historia o Czechach, którzy nie potrafią zrozumieć, dlaczego milicja nie ma pretensji o ich tygodniowe koczowanie na warszawskim Dworcu Centralnym, bo w tym czasie w Czechosłowacji mieliby problemy z powodu nieco dłuższych włosów, zdaje się znajoma. Prawdopodobnie została gdzieś do tych polskich opowieści o relacjach polsko-czeskich włączona dzięki Burianowi. Myślę, że jego wpływ na autorów piszących o Czechach jest ogromny i nie do przecenienia.

Wśród anegdot między innymi o Czesławie Miłoszu, Adamie Michniku i Tadeuszu Mazowieckim jest tekst, który szczególnie mnie poruszył. Burian opisuje w nim polskie referendum w sprawie wstąpienia do Unii Europejskiej i entuzjazm polskich przyjaciół, którzy wyrażali ogromną radość i trzymali kciuki za pomyślność referendum akcesyjnego w Czechach. „Dlaczego właściwie chcę się tymi głosami podzielić. Ponieważ dzięki nim jeszcze bardziej sobie uświadomiłem, o czym byłem przekonany od dawna, że Unia Europejska jest wielką ideą. Że godzi z Europą i ludzi, którzy z nią mają te najgorsze doświadczenia. I że daje nadzieję młodszym. Że pontyfikat Jana Pawła II nie był bezużyteczny, podobnie jak życiowe dzieło Václava Havla, jak polska Solidarność, Karta 77 i listopad 1989. I że są chwilę, kiedy patos jest dozwolony". Ten tekst, choć powstał zupełnie niedawno, dziś brzmi jak ostrzeżenie.

W tym roku będziemy obchodzili piątą rocznicę śmierci Buriana. Najbardziej brakuje mi jego trzeźwego i mądrego spojrzenia na to, czego świadkami jesteśmy dzisiaj. Chciałbym mu zadać dziesiątki pytań, ale niestety zostały nam już tylko stare gazety.

Łukasz Grzesiczak

eprasa.pl 53cf282579

REKLAMA

WROCŁAW MIASTO KRASNALI

Miasto jest szczególnie przyjazne dzieciom – mnóstwo zabawy zapewni im wizyta w Hydropolis, Humanitarium – parku rozrywki edukacyjnej, Kolejkowie – największej w Polsce makiecie kolejowej czy na licznych placach zabaw, ale najbardziej ekscytujące są zawsze poszukiwania niemal 400 krasnali rozsianych po całym mieście! Wrocławianie zaprzyjaźnili się z nimi i obecnie skrzaty są jednym z miejskich symboli. Raz w roku we wrześniu mają nawet swoje święto – Wrocławski Festiwal Krasnoludków. To prawdziwie bajkowa uroczystość, kilka dni radosnej, kolorowej fiesty, w której uczestniczą mali i duzi. Szczegółowy wykaz wrocławskich skrzatów znajduje się na stronie www.krasnale.pl.

VisitWroclaw.eu

Podróż do Wrocławia warto wcześniej zaplanować – tu nieocenioną pomocą służy Oficjalny Serwis Turystyczny Wrocławia visitwroclaw.eu, a w szczególności Informator turysty (visitwroclaw.eu/informator), który zawiera wiele praktycznych wskazówek dotyczących wizyty w mieście. Na bieżąco na nurtujące turystów pytania odpowiada także chatbot na facebookowym profilu Visit Wroclaw (@visitwro). Dużym udogodnieniem w zwiedzaniu jest także Wrocław Tourist Card, która pozwala zwiedzać najważniejsze atrakcje miasta taniej. Wrocław Tourist Card to także specjalna oferta na usługi transportowe (w tym komunikację miejską) oraz rabaty w najciekawszych punktach gastronomicznych i noclegowych we Wrocławiu.

eprasa.pl 53cf282579

REKLAMA



Czy wiesz, jakie miasto w Polsce zamieszkuje ponad 400 krasnali?

visitWroclaw.eu

The Official Travel Guide

eprasa.pl 53cf282579

W numerze między innymi:

Ossolineum jest skarbcem, do którego kolejne polskie pokolenia, tak jak we Lwowie i teraz we Wrocławiu, sięgać będą, by wzbogacać swą wiedzę i formować tożsamość. Duże znaczenie będzie mieć sposób udostępniania zbiorów. Ossolińskie Muzeum Pana Tadeusza pokazuje, w jakim kierunku pójdą zmiany. Jego multimedialna ekspozycja pomaga zrozumieć historię Polaków od końca XVIII do przełomu XX i XXI wieku, od rozbiorów do zrzucenia jarzma komunizmu – mówi **Adolf Juzwenko**.

Dorobek naukowy Ryszarda Torzeckiego wpisał się na trwałe do polskiej historiografii. Nie wyobrażam sobie, że jakikolwiek badacz mógłby bez odwołania do prac Torzeckiego napisać książkę o dwudziestowiecznych relacjach polsko-ukraińskich. Nie zdążył napisać książki o latach trzydziestych XX wieku, co do dziś jest odczuwalnym brakiem. Był takim typowym profesorem, skłonnym do długich opowieści, nie zawsze zrozumiałych dla słuchaczy. Przypomnijmy, że w końcu lat sześćdziesiątych XX wieku prawie nikt się nie orientował w tej tematyce, dlatego, kiedy na przykład wymieniał kolejne nazwiska działaczy OUN, to tylko on wiedział, o kim mowa – Ryszarda Torzeckiego wspomina **Grzegorz Motyka**.

Kolegium
Europy Wschodniej
im. Jana Nowaka - Jeziorańskiego
we Wrocławiu

eprasa.pl 53cf282579